

AUTORKA
BESTSELLEROWYCH

Pamiętników
Wampirów

L.
J.
S
M
I
T
H



Wizje
w mroku

TAJEMNICZA MOC
OPĘTANY
PASJA



Pasja

*Pat McDonald, nadzwyczajnej
redaktorce, której obserwacje pomogły
ukształtować moje wizje i której nieograniczona
cierpliwość dała mi szansę je doszlifować.*

Rozdział 1

Nocną ciszę przerwało szczekanie psa. Gabriel uniósł głowę, jego wyostrzone zmysły przed czymś go ostrzegały. Po chwili wrócił do majstrowania przy zamku.

Mechanizm w końcu ustąpił. Drzwi stały otworem. Gabriel się uśmiechnął.

W środku były cztery osoby. Wciąż jeszcze nie spały. Jedną z nich była Kaitlyn. Piękna Kaitlyn ze złocistorudymi włosami. Szkoda, że może będzie musiał ją zabić - teraz byli wrogami. Nie mógł sobie pozwolić na żadną słabość.

Pracował dla pana Zetesa. Jego nowy pracodawca pragnął za wszelką cenę coś zdobyć - odłamek z idealnego kryształu, ostatniego na świecie. Należał do Kaitlyn... A Gabriel miał go skraść.

Proste jak drut.

Jeśli ktoś spróbuje go powstrzymać, to mu się oberwie. Dotyczy to również Kaitlyn.

Na krótką chwilę ścisnęło go w piersiach, lecz potem jego rysy stwardniały i chyłkiem wsunął się do ciemnego domu.

Kaitlyn, poddaj się.

Dziewczyna spojrzała w ciemnoszare oczy Gabriela.

- Jak się tu dostałeś?

Gabriel uśmiechnął się triumfalnie.

- Włamania to moja nowa specjalność.

- To dom Marisol - odezwał się za jego plecami Rob. - Nie możesz tak po prostu...

- Ależ ja właśnie to zrobiłem. Nie liczcie na pomoc; wszyscy inni śpią, zatroszczyłem się o to. Pewnie się domyślacie, dlaczego tu jestem.

Wszyscy gapili się na niego: Kaitlyn, Rob, Lewis i Anna -uciekiniery z Instytutu Zetesa.

Rodzina Marisol przyjęła ich pod swój dach. W domu nie było tylko Marisol, byłej asystentki naukowej w Instytucie, która niestety za dużo wiedziała i dlatego postarano się o to, żeby zapadła w śpiączkę. A teraz Kaitlyn wpakowała się w kłopoty.

Niedawno wybiła północ. Cała czwórka siedziała w pokoju, który dziewczynom przydzielił brat Marisol. Rozmawiali i starali się zdecydować, co mają zrobić. I wtedy otworzyły się drzwi, i pojawił się w nich Gabriel.

Kaitlyn, która właśnie opierała się o mahoniowe biurko, znieruchomiała. Próbowwała oczyścić umysł ze wszystkich myśli, które mogłyby coś zdradzić.

Anna i Lewis siedzieli w milczeniu na łóżku. Na ich twarzach nie malowało się żadne uczucie. A umysł Roba był niczym złocista poświata. Pustka. Gabriel nie mógł niczego wyczytać w ich myślach.

Nieważne. Spojrzał na biurko za Kaitlyn. Uśmiechnął się promiennie i groźnie.

- Poddajcie się - powtórzył. -I tak to dostanę.

- Nie mamy pojęcia, o czym mówisz - powiedział beznamiętnie Rob i zrobił krok.

Gabriel nawet nie zerknął na niego. Nadal się uśmiechał, ale jego oczy pociemniały.

- Odłamek idealnego kryształu - odpowiedział. - Chcecie się zabawić w ciepło-zimno? A może sam mam go wziąć?

Znowu spojrzał na biurko.

- Gdybyśmy go mieli, na pewno byś go nie dostał - oznajmił Rob. - Już dawno byłoby po twoim szefie... Bo chyba nim jest, prawda?

Uśmiech zamarł Gabrielowi na ustach. Zmrużył lekko oczy i Kaitlyn zobaczyła, jak wypełnia je ciemność. Jednak jego głos nadal brzmiał spokojnie i lekko:

- Pewnie, że jest moim szefem. I lepiej trzymajcie się od niego z daleka, bo jak nie, to będzie z wami źle.

Kaitlyn poczuła pieczenie pod powiekami. W głowie jej się nie mieściło, że to się dzieje naprawdę. Gabriel, jak zupełnie obcy człowiek, stoi tu przed nimi i ostrzega, żeby się nie zbliżali do pana Zetesa. Tego, który chciał z nich zrobić psychopatycznych morderców i sprzedać za gigantyczne pieniądze. A kiedy się zbuntowali, próbował ich zabić. Którego deptał im po piętach aż do Kanady. Teraz, gdy wrócili, by z nim walczyć, najwyraźniej nadal nie odpuszczał. Liczyli na to, że w domu Marisol będą bezpieczni, ale się pomylili.

- Jak możesz. - Anna mówiła niskim, wyraźnym głosem. Kaitlyn od razu się domyśliła, że koleżanka czuje to samo. Okolona ciemnymi warkoczami twarz Anny Evy Whiteraven, zwykle pogodna, była teraz nachmurzona. - Jak mogłeś stanąć po jego stronie? Zapomniałeś o wszystkim, co zrobił...

- I o tym, co jeszcze zrobi... - wtrącił się Lewis.

Lewis Chao, zazwyczaj pogodny i roześmiany, patrzył posępnie na intruza.

- To zły człowiek, Gabrielu. Dobrze o *tym* wiesz - powiedział Rob, podchodząc do niego od tyłu.

Rob Kessler raczej nie miał wrodzonych skłonności do zabijania, ale ze zmierzwionymi jasnymi włosami i *złocistymi* oczami wyglądał jak anioł zemsty.

- I ciebie też w końcu dopadnie - westchnęła Kaitlyn, dołączając do chóru.

Należała do tej grupy: Kaitlyn Fairchild, nie tak łagodna jak Anna czy Lewis, nie tak dobra jak Rob, dziewczyna z ognistymi włosami i temperamentem. I z oczami, o których ludzie mówili, że to oczy czarownicy - niebieskie z ciemniejszymi obwódkami wokół tęczy. W tym momencie Kait spiorunowała wzrokiem Gabriela.

Gabriel Wolfe odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Kaitlyn aż dech zaparło. Był przerażająco przystojny. Jasna karnacja kontrastowała z ciemnymi włosami przypominającymi jedwabistą sierść zwierzęcia - może tego, którego nosił nazwisko. Miał coś z wilka, któremu przyjemność sprawiało osaczenie ofiary i zabawa z nią.

Oczywiście, że jest zły, powiedział Gabriel. Kaitlyn usłyszała te słowa w myślach. Ton głosu Gabriela był taki szyderczy. **Ja też jestem zły. Nie wiedziałaś?**

Kaitlyn poczuła lekkie, bolesne ukłucia w skroniach.

Powstrzymała jęk, ale wiedziała, że Anna, Lewis i Rob też coś słyszą.

Gabriel zrobił się silniejszy.

Sprawiła to zdolność telepatii, która połączyła całą ich piątkę, i to wszystko przez Gabriela.

Ta zdolność miała na nich oddziaływać do czasu, aż jedno z nich umrze. Każde z nich odznaczało się inną mocą: Rob był uzdrowiaczem, Kaitlyn przewidywała przyszłość, Lewis posługiwał się psychokinezą, a Anna potrafiła kontrolować zwierzęta. Gabriel był telepatą. Potrafił łączyć umysły. Przez przypadek połączył ich umysły, i teraz żyli, jakby stanowili część jednego organizmu.

Z całej piątki zawsze Gabriel był najsilniejszy, lecz teraz Kaitlyn aż się zachwiała pod naporem jego mocy. Jego wewnętrzny głos parzył niczym rozpalony do białości pręt, znacząc słowa w jej mózgu.

Dla kontrastu myśli Lewisa brzmiały słabo i jakby z oddali. **Boję się.**

Kaitlyn zerknęła na niego przelotnie i zorientowała się, że wcale nie chciał, by ktokolwiek to usłyszał. Na tym polegał problem z telepatią. Łączyła ich zbyt mocno i czasem zdarzało się, że do ich umysłów trafiała myśl, której nikt inny nie powinien usłyszeć. Dlatego nie mogli mieć przed sobą tajemnic. Nic się nie dawało ukryć.

Kaitlyn coś sobie właśnie uświadomiła. Spojrzała na Gabriela.

- O to chodzi, prawda? - zapytała. - Odszedłeś, bo nie mogłeś tego znieść. To było zbyt intymne...

- Nie.

- Wszyscy czujemy tak samo - powiedziała Anna, podejmując temat, który poruszyła Kaitlyn.

- Każdy potrzebuje czasem trochę prywatności. Ale jesteśmy twoimi przyjaciółmi...

Gabriel skrzywił się w uśmiechu.

- Nie potrzebuję przyjaciół.

- Ale i tak ich masz, chłopie - zauważył cicho Rob. Zrobił kolejny krok i położył koledze rękę na ramieniu.

Szybkim ruchem odwrócił Gabriela do siebie.

Kaitlyn wyczuła zaskoczenie i wściekłość chłopaka. Rob to zignorował. Mówił cicho i z powagą, patrząc Gabrielowi prosto w oczy. Zniknął gdzieś cały jego gniew, podobnie jak rywalizacja, która zawsze pojawiała się między nimi, męska rywalizacja i walka o pozycję. Rob zmagał się z własną dumą. Pomagała mu ją pokonać wrodzona uczciwość. Zmusił się do odstonięcia się przed Gabrielem.

- Łączy nas więcej niż przyjaźń - wyznał. - Stanowimy jedność, my wszyscy. To twoje dzieło. Połączyłeś nas i uratowałeś przed śmiercią. A teraz zdezerterowałeś i *przeszedłeś* na jego stronę? Połączyłeś siły z wrogiem? - Pokręcił głową. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Bo jesteś idealistycznym idiotą - syknął Gabriel. Jego głos był równie cichy, co głos Roba, ale przesycony gniewem i groźbą. Nawet nie próbował wyrwać się Robowi. - Lepiej w to uwierz. Jeśli ze mną zadrzesz, to gorzko tego pożałujesz.

Rob nadal nie ustępował. W jego oczach malował się upór, który Kaitlyn dobrze знаła. Zacisnął szczękę.

- Nie nabierzesz mnie, Gabrielu. Zachowujesz się jak tępny mięśniak, ale wcale taki nie jesteś. Masz głowę na karku. Jesteś jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam. Mógłbyś wiele zdziałać...

- Jestem... - zaczął Gabriel, ale Rob ciągnął dalej, łagodnie, ale nieustępliwie.

- Zachowujesz się tak, jakby ci na nikim nie zależało. A przecież to nieprawda. Uratowałeś nas, gdy Joyce i pan Zetes próbowali nas zabić za pomocą kryształu. Uratowałeś nas po raz kolejny, gdy byliśmy uwięzieni w Instytucie. Pomogłeś Kaitlyn zablokować telepatyczny atak w furgonetce.

I wtedy Rob zrobił coś, co zupełnie zaskoczyło Kaitlyn. Potrząsnął Gabrielem. Przez ich umysły przepłynęła fala wściekłości i zaskoczenia. Ale nim Gabriel zdążył cokolwiek powiedzieć, Rob ciągnął dalej, *ostro* i z zapamiętaniem:

- Nie mam pojęcia, co próbujesz udowodnić, ale to się na nic nie zda. Na nic. Zależy ci na nas, nie jesteś w stanie tego zmienić. Dlaczego się nie poddasz i w końcu nie przyznasz, Gabrielu? Dlaczego nie przerwiesz tego bezsensu?

Kaitlyn aż oddech uwiązał w gardle. Bała się odetchnąć, bała się nawet drgnąć. Rob balansował na cienkiej linii. To było szaleństwo, ale skuteczne.

Ciało Gabriela odrobinę się rozluźniło, jakby uleciało z niego napięcie. Choć Kaitlyn nie widziała oczu chłopaka, domyśliła się, że pojaśniały, że nabrały cieplejszego odcienia. Nawet połączenie między nimi uległo zmianie: Kaitlyn już nie odbierała lodowatych obrazów.

- Zależy nam na tobie - powiedział Rob, ani na chwilę nie spuszczając z tonu. - Twoje miejsce jest tutaj. Wróć do nas i pomóż nam pozbyć się pana Zetesa. Dobrze, Gabrielu? I wtedy popełnił błąd.

Mówił szybko i atakował słowami, a Gabriel go słuchał, jakby nie miał wyboru. Prawie tak, jakby był zahipnotyzowany. Lecz teraz Rob *przeszedł do* komunikacji poza werbalnej, postanowił dotknąć umysłu Gabriela. Kaitlyn wiedziała, dlaczego tak postąpił - telepatia to silne, intymne narzędzie. Zbyt intymne. Jej ostrzegawczy krzyk zagłuszył wybuch Gabriela. *Wróć, mówił Rob. Wróć, Gabrielu, dobrze?*

Kaitlyn wyczuła wściekłość Gabriela narastającą niczym tsunami. *Rob*, pomyślała. *Rob, nie.., Zastaw mnie w spokoju!*

Ten okrzyk był niczym uderzenie. Dosłownie. Rob zatoczył się do tyłu. Jego ciałem wstrząsnęły spazmy. Mózg przesyłał mu sprzeczne sygnały. Rob upadł na ziemię. Jego mięśnie się napięły, twarz się wykrzywiła, a palce wygięły w szpony. Kaitlyn poczuła

szarpnięcie czystego przerażenia. Chciała do niego podbiec, ale nie mogła. Między nimi stał Gabriel. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Anna i Lewis też stali, jakby ich wmurowało. *Nie potrzebuję żadnego z was*, powiedział Gabriel z taką siłą, że Kaitlyn aż zdrętwiała. *Wasze towarzystwo mnie mierzi. Nie należę do was. Nie macie pojęcia, kim jestem, kim się stałem.*

- Ja mam - wydyszała Kaitlyn.

Myślała o tym, co zrobił z niego kryształ pana Zetesa, w co go przemienił. W telepatycznego wampira, który potrzebuje życiowej energii innych. Pamiętała dotknięcie jego zębów na karku.

To wspomnienie przyniosło ze sobą strach, ale nie odrazę. Bardzo chciała pomóc Robowi, ale chciała też pomóc Gabrielowi.

- To nie twoja wina, Gabrielu - wyszeptała. - Myślisz, że jesteś zły, bo możesz wpływać na innych, ale zmusił cię do tego kryształ. To nie twoja wina. Nie prosiłeś o to. Nie jesteś zły. - I tu się mylisz. - Odwrócił się do niej. Zdążył się uspokoić. Lecz w jego oczach znowu był *lodowaty* chłód, gorszy niż napad wściekłości. Gdy Gabriel się uśmiechnął, na ramionach Kait wystąpiła gęsia skórka. - Od dawna wiedziałem, kim jestem - mówił. - Kryształ mnie nie odmienił, wyostrzył tylko moje umiejętności. I pomógł mi zaakceptować samego siebie. - Wytrzeszczył zęby i Kaitlyn zapragnęła uciec stąd jak najdalej. - Jeśli ciemność leży w twojej naturze, to równie dobrze możesz czerpać z tego przyjemność. I pójść tam, gdzie przynależysz.

- Do pana Zetesa - wyszeptała Anna, a jej śliczna twarz wykrzywiła się z odrazy.

Gabriel wzruszył ramionami.

- On ma wizję. Uważa, że miejsce telepatów takich jak ja jest na samym szczycie. Jestem lepszy od całej reszty marnego rodzaju ludzkiego. Jestem inteligentniejszy i silniejszy. Zasluguję na to, by rządzić światem. I nie pozwolę, by ktokolwiek mnie powstrzymał. Kaitlyn pokręciła głową, z trudem znajdując odpowiednie słowa.

- Nie wierzę w to. Nie jesteś...

- Jestem. I jeśli przeszkodzisz mi w zdobyciu odłamka, to ci to udowodnię.

Znowu patrzył na biurko. Kaitlyn wyprostowała się odrobinę. Rob nadal leżał bez ruchu na ziemi, a Lewis i Anna zastygli w bezruchu. Tylko ona mogła mu przeszkodzić.

- Nie możesz go wziąć - powiedziała.

- Z drogi.

- Powiedziałam, że nie możesz go wziąć.

Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że jej głos brzmi stanowczo.

Zbliżył się do niej, jego szare oczy wypełniły jej całe pole widzenia, cały świat.

Nie zmuszaj mnie do tego, Kaitlyn. Nie jestem już twoim przyjacielem. Poluję na ciebie.

Wracaj do domu i trzymaj się z daleka od pana Zetesa. Wtedy nic ci się nie stanie.

Kaitlyn wpatrywała się w jego przystojną, bladą twarz. *Jeśli chcesz odłamek, będziesz go musiał wziąć siłą.*

- Jak sobie życzysz - mruknął Gabriel.

Jego oczy były koloru pajęczej sieci. Kaitlyn poczuła dotknięcie jego umysłu, a potem cały świat eksplodował bólem.

Rozdział 2

Kaitlyn! Kait słyszała okrzyk Roba jak przez mgłę. Z trudem próbował się dźwignąć na równe nogi. Gdy mu się nie udało, zaczął pełznąć w jej stronę. Ledwie go wyczuwała, bo wszystko zagłuszył koszmarny ból głowy.

Anna i Lewis byli bliżej. Oni również krzyčili.

- Puść ją!

- Co jej robisz?

Gabriel przeszkodził im i dalej atakował. Ból przybrał na sile - niczym pożar. Kaitlyn miała tylko jedno wspomnienie, do którego można było to porównać: kontakt z kryształem. Z dużym kryształem, tym nieczystym, którego pan Zetes używał do zwiększenia nadprzyrodzonych mocy oraz do tortur.

Przychodziły fale agonii, jedna za drugą, poprzecinanej pasmami czerwieni. Bardzo szybko osiągały szczyt, a później zamierały. Kaitlyn nie mogła się ruszyć ani krzyknąć. To nie było bohaterstwo. Nie była w stanie złapać oddechu.

Przestań, do cholery! Przestań!

Rob dotarł do niej jakimś sposobem. Dotknął jej i zalała ją złocista, uzdrawiająca energia, która walczyła z czerwonym bólem. Jego moc ją chroniła.

- Zostaw ją - wycharczał Rob i odciągnął Kaitlyn w stronę łóżka.

Gabriel spojrział z namysłem na wolną drogę.

- Tylko tego chciałem - mruknął.

Otworzył środkową szufladę mahoniowego biurka i wyjął z niej odłamek kryształu.

Kaitlyn z trudem łapała oddech. Rob położył ją na łóżku. Cały czas otaczał ją opiekuńczo ramieniem. Kait czuła, jak się trzęsie ze złości. Wyczuwała również szok i wściekłość Lewisa oraz Anny - ze zdziwieniem stwierdziła jednak, że sama nie czuje do Gabriela urazy. Nim ją zaatakował, w jego oczach coś błysnęło - jakby się zmuszał, by to zrobić. Jakby zablokował własne emocje.

Teraz odwrócił się do nich i odłamek kryształu zamigotał w jasnym świetle lampy.

Przypominał róg jednorożca, miał mniej więcej trzydzieści centymetrów długości i liczne fasety. Lśnił nie jak kryształ, lecz jak brylant.

- Nie należy do ciebie - powiedziała Anna niskim głosem. Oboje z Lewisem stali po obu stronach Roba i Kaitlyn, tworząc tarczę obronną przed Gabrielem. - Bractwo dało go Kait.

- Bractwo - prychnął Gabriel. - Te pocziwiny bez jaj. Gdybym żył w dawnych czasach, wstąpiłbym do Ciemnej Łoży i ich wszystkich wytępił.

Wcale nie są bez jaj, pomyślała Kaitlyn. Słowa Gabriela sprawiły, że przed oczami stanęły jej twarze członków Bractwa: Timona, kruchego, ale bardzo mądrego; Mereniang, spokojnej i spostrzegawczej; LeShana, skośnookiego i narwanego. Byli ostatnimi potomkami starej rasy, rasy, która używała kryształów. Nie wtrącali się w sprawy gatunku ludzkiego - z wyjątkiem grupy Kaitlyn. Zrezygnowali ze swojej mocy, by Kaitlyn mogła walczyć z panem Zetesem.

- A teraz pan Zetes tworzy własną Ciemną Łożę - powiedziała, wpatrując się intensywnie w Gabriela.

- Można tak powiedzieć. Telepatyczny zespół uderzeniowy. Stanę na jego czele - oznajmił niedbale Gabriel, głaszcząc kryształ.

Kaitlyn wiedziała, że to było niebezpieczne. Jedna z faset zacięła go w palec. Spojrział z roztargnieniem na kroplę krwi. Chyba nie czuł żadnego zagrożenia ze strony obecnych; nawet na nich nie spojrział.

- I tak wam się to nie przydało - westchnął. - Zamierzaliście połączyć odłamek z kryształem, prawda? Wywołać rezonans, który by go zniszczył.

Kaitlyn nie wiedziała, jakie jest naukowe wyjaśnienie. LeShan powiedział im, że ten odłamek jest w stanie zniszczyć kryształ pana Zetesa. Nic więcej nie wiedzieli. Patrzyła na kroplę krwi Gabriela, która spadła na drewnianą podłogę.

- Lecz żeby tego dokonać, musielibyście zdobyć kryształ -ciągnął Gabriel. - To niemożliwe. Staruszek trzyma go w sejfie. Psychokineza na nic się tu nie zda, co, Lewis? Trzeba by zgadnąć osiem przypadkowych cyfr.

Sprawiał wrażenie rozbawionego. Kaitlyn wiedziała, że mą rację. Lewis potrafił przesuwać przedmioty siłą umysłu, ale nie umiał rozgryźć ośmiocyfrowego szyfru.

Lewis zarumienił się lekko, ale nie odpowiedział na pytanie Gabriela. Zamiast tego zapytał:

- Czy Lidia nadal jest z wami?

- Twoja ukochana? - Gabriel uśmiechnął się ironicznie. -Odpuść sobie. Wróciła pod skrzydła tatusia. Zresztą i tak nigdy cię nie lubiła.

Szkoda, pomyślała Kaitlyn. Lidia Zetes była szpiegiem i zdrajczynią, którą ojciec tu wysłał, by miała na nich baczenie, gdy szukali w Kanadzie Braetwa - lecz Kaitlyn było jej żal. Nikomu nie życzyła takiego ojca jak Zetes.

- Wracajcie do domu - ciągnął spokojnie Gabriel. - Nie zdobędziecie kryształu. Policja wam nie uwierzy, staruszek już o to zadbał. A tak na marginesie, zajął się też osobami, z którymi skontaktowali się rodzice Anny. No, a członkowie Bractwa nawet samym sobie nie potrafią pomóc. Naprawdę nie ma najmniejszego sensu, żebyście tu tkwili. Lepiej wracajcie do domu, zanim znowu będę musiał zrobić wam krzywdę.

Rob do tej pory milczał - był tak zły na Gabriela, że nie mógł znaleźć słów. Ale teraz wiedział, co chce powiedzieć. Stał twarzą w twarz z wrogiem. *Kaitlyn* nie potrzebowała telepatii, by wyczuć jego wściekłość - promieniowała z każdej cząstki jego ciała.

- Ty zdrajco - syknął. - Jeśli nie przejdiesz na naszą stronę, będziemy z tobą *walczyć. Do upadłego.*

Mówił cicho, a głos mu drżał. Rob cierpiał - czuł się zdradzony. Wciąż nie wierzył, że Gabriel mógłby skrzywdzić Kait. To teraz była ich bitwa - Roba i Gabriela. Zresztą zawsze, ze sobą walczyli.

Obaj wiedzieli, w który punkt uderzyć, by zabolalo najbardziej. Rob mówił dalej. Jego głos nie był już cichy, *tylko przyspieszony* i gniewny.

- Wiesz, co? Myślę, że Kait się pomyliła... To nie naszego połączenia nie możesz znieść. Nie chodzi o bliskość. Nie umiesz znieść wolności. Sytuacji, w której sam podejmujesz decyzje i ponosisz za nie odpowiedzialność. Nie możesz tego znieść. Wolisz być niewolnikiem kryształu niż zmierzyć się z *wolnością*.

Gabriel opuścił odłamek. Jego oczy pociemniały. Kaitlyn złapała Roba za rękę, ale nie zwracał na nią uwagi.

- To prawda, co? - Rob zaśmiał się krótko, dziwnie, jakby czerpał przyjemność z ranienia Gabriela. Było w tym mnóstwo nienawiści i pogardy, zupełnie nie w stylu Roba. - Pan Zetes mówi ci, co masz robić. I tobie to odpowiada. Przyzwyczaiłeś się po tylu latach za kratkami. Pewnie nawet tęsknisz za więzieniem...

Gabriel zrobił się biały jak ściana i go uderzył.

Nie zrobił tego myślą. Kaitlyn odniosła wrażenie, że był za bardzo rozgniewany. Uderzył Roba pięścią, prosto w nos. Głowa Roba odskoczyła do tyłu i chłopak osunął się na ziemię. Zręcznymi i płynnymi ruchami drapieżnika Gabriel znalazł się przy ciele nieszczęśnika. Kaitlyn zerwała się na równe nogi i próbowała zagrozić mu drogę.

- Nie.

Chciała złapać Gabriela. Albo go powstrzymać. Jej ręce trafiły jednak na kryształ. Był zimny i twardy. Zacisnęła na nim dłonie.

Lewis i Anna dopadli Gabriela. Złapali go mocno i nie puszczali. Kaitlyn zdołała odsunąć się od przyjaciół. Cofnęła się, przyciskając kryształ do piersi. Gabriel nie zwrócił na nią uwagi, cały czas wpatrywał się w potencjalną ofiarę.

Rob próbował wstać z podłogi. Otarł wierzchem dłoni krew z ust. Fakt, że udało mu się wytrącić Gabriela z równowagi, dostarczył mu dzikiej satysfakcji. Kaitlyn nagle sobie uświadomiła, że Gabriel zagubił się w cierpieniu, poczuciu zdrady oraz gniewie i walił na oślep. Nigdy go takim nie widziała.

Boże, ale się zmieniliśmy, pomyślała z rozczarowaniem.;' Byliśmy sobie tacy bliscy. Robem targa wściekłość... tak jak u normalnego człowieka, dokończył jej umysł niepytany.

I nie ma racji. Muszę to powstrzymać. Zanim się pozabijają.

- No, dalej - warknął Rob. - Masz odwagę ze mną walczyć? Żadnych sztuczek, tylko pięści. Pokażesz, jaki z ciebie mężczyzna, chłopcze?

Pomimo wysiłków Anny i Lewisa Gabriel udało się zdjąć kurtkę. Do przedramienia miał przymocowany nóż sprężynowy.

Pięknie, pomyślała Kaitlyn. Zacisnęła dłoń na odłamku kryształu. Wiedziała, że powinna go zabrać w bezpieczne miejsce - tylko gdzie? Gabriel mógł wyczytać w jej myślach, gdzie ukryła kryształ. A poza tym nie mogła dopuścić do bójki.

Postanowiła zaryzykować.

- Kryształ - powiedziała. - Mam go. Możesz go zdobyć tylko w taki sposób, jak poprzednio. *Ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz*, dodała w myślach. *Sam powiedziałeś, że to nic nie da. Nie mamy jak się dostać do kryształu pana Zetesa, więc co za różnica? Dlaczego nie wrócisz do niego i nie powiesz mu, że niczego nie znalazłeś?*

Próbowała podpowiedzieć mu, jak się wycofać z tej sytuacji. Jeśli rzeczywiście nie chciał ich zranić...

Gabriel się zawahał. Zacisnął wargi, jego spojrzenie stwardniało. Na twarzy malowała się jednak niepewność. Przez chwilę stał bez ruchu, a potem nagle ruszył w jej stronę.

Kaitlyn sparaliżowało ze strachu i z zaskoczenia. Za jej plecami otworzyły się drzwi.

- Hej, jeszcze nie śpicie...? - rozległ się zaspany głos.

To był Tony, brat Marisol. Miał na sobie *obcięte szorty* zamiast spodni od piżamy. Rozcierał oczy i marszczył czoło. Najwyraźniej środek, za *pomocą* którego Gabriel uspił rodzinę Diazów, przestał działać.

- Kto to? - zapytał Tony i wbił wzrok w obcego. Po czym zamrugął i jego czoło się wygładziło.

- Hej, to ty. Pamiętam cię. Wróciłeś po *brujo*, co? Wygląda na to, że cieszy się na widok Gabriela, pomyślała

Kait. Może dlatego, że mógł się z nim utożsamić, w końcu obaj byli twardzielami. A może dlatego, że to właśnie Gabriel miał największe szanse dopaść pana Zetesa. Tony szczerze nienawidził tego gościa. Nazywał go *El Diablo* albo *El Goto*. Chciał go wysłać do *abajo* - do piekła - gdzie było jego miejsce.

Pięcioro połączonych zastygło bez ruchu w obecności obcego. Tony kontynuował niewzruszony. Chyba nie zauważył ani napiętej atmosfery, ani krwi na brodzie Roba.

- Widzę, że masz *cuchillo*: magiczny nóż dla Marisol. W głowie się nie mieści.

Najprawdziwsza stara magia, co? A lekarze mówili, że już się nie obudzi. Jeszcze im pokażemy!

Wyszczrzył zęby, a jego posępna twarz się rozpromieniła. Niewiele brakowało, a klepnąłby Gabriela w plecy.

Kaitlyn zerknęła na Gabriela i zobaczyła to, czego się spodziewała - Gabriel nie wiedział, że odłamek może wyleczyć Marisol. Być może powinna mu to powiedzieć, ale nie chciała dostarczać panu Zetesowi żadnych dodatkowych informacji. Na pewno by to wykorzystał przeciwko nim.

Gabriel się zawahał. Dobry humor Tony'ego zbił go z tropu. Zawstydził.

- No, cóż, Gabriel pomógł nam zdobyć odłamek - powiedziała Kait, co zresztą nie było kłamstwem. W końcu, gdyby im wtedy nie pomógł, kryształ Bractwa nie rozpadłby się na kawałki. - Wszyscy chcemy, by Marisol wyzdrowiała.

Rob w milczeniu wycierał okrwawione usta. Cofnął się, gdy do pokoju wszedł Tony. Kaitlyn wyczuwała, że powoli się uspokaja. Gabriel spojrział na niego, potem na Kaitlyn i wreszcie na brata Marisol.

- Gdy będzie już po wszystkim, urządzimy wielką imprezę - obiecał Tony. - Prawdziwą fetę. Mam paru kumpli, którzy grają w zespole. Niech tylko Marisol lepiej się poczuje.

Przejechał dłonią swoje kręcone, mahoniowe włosy. Kaitlyn przycisnęła kryształ do piersi. Cały czas spoglądała na Gabriela.

Przez chwilę się w nią wpatrywał. Jego oczy były ciemne i nieprzeniknione niczym burzowe chmury. Po raz pierwszy tego wieczoru dostrzegła bliznę na jego czole - ślad w kształcie półksiężyca, który pozostał mu po spotkaniu z kryształem pana Zetesa. Teraz jakoś mocniej odcinał się od bladej skóry.

Po chwili Gabriel wzruszył ramionami, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie. Zamknął oczy.

- Muszę iść - rzucił.

- Zostań - zaproponował natychmiast Tony. - Tu jest mnóstwo miejsca.

- Nie, nie mogę. Ale wrócę. - Ostatnie zdanie było skierowane do Kaitlyn i Roba. Kait dobrze wiedziała, co miał na myśli.

Podniósł kurtkę i wyszedł na korytarz. Kaitlyn poczuła, jak powietrze uchodzi jej z płuc.

Zaciskała dłoń na odłamku tak mocno, że sprawiało jej to ból.

Tony ziewnął.

- Idziecie spać? Rozłożyłem wam śpiwory na podłodze.

- Za minutę - odpowiedział Rob. - Musimy jeszcze

0 czymś porozmawiać.

Rob zaniknął drzwiami za Tonym, po czym odwrócił się do pozostałych.

Kaitlyn uświadomiła sobie, że wcale nie jest spokojny. Rob miał zaciśniętą szczękę, a pod opalenizną jego skóra pobraźniała.

- Co robimy? - zapytał. Kaitlyn przestąpiła z nogi na nogę.

- Poszedł sobie - zauważyła. - Bez kryształu. Rob zmroził ją wzrokiem.

- Bronisz go?

- Nie, ale...

- To dobrze. Bo to bez znaczenia. Wróci. Sama słyszałaś, co powiedział.

Anna otworzyła usta, po czym je zamknęła i westchnęła. Przyłożyła dłoń do czoła. Zniknął gdzieś jej spokój, którym się zwykle otaczała.

- Rob ma rację, Kaitlyn - powiedziała powoli. - Gabriel wróci.

Kaitlyn opuściła rękę i wbiła wzrok w kryształ. Był ciężki i zimny, a na jednej fasetce było coś różowawego. Krew Gabriela.

- Ale co możemy zrobić? - zapytała.

- Właśnie to chcę wiedzieć. - Okrążyła twarz Lewisa była cała napięta. - Jak się przed nim obronimy? Wie, gdzie jesteśmy...

- Musimy się stąd wydostać - zaproponował Rob. - To oczywiste. I jeszcze jedno: teraz Gabriel jest naszym wrogiem.

Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że będziemy z nim walczyć do upadłego.

Kaitlyn ogarnął chłód.

Lewis oprzytomniał.

- Rany - sapnął. - No, ale skoro mamy go powstrzymać, to tak zrobimy. Nawet jeżeli będziemy musieli go wytropić i pozbyć się jego i pana Zetesa. Nie mamy wyboru.

Lewisowi nie podobało się to, co usłyszał, ale pokiwał wolno głową. Kaitlyn zwróciła się do Anny. Śliczna twarz koleżanki była nieruchoma.

- Zgadzam się - powiedziała cicho. - Chociaż liczę na to, że się opamięta i nie będziemy musieli się do tego posunąć. Jest naszym wrogiem. I tak go musimy traktować. - W jej ciemnych oczach malował się smutek, ale też i stanowczość.

Kaitlyn to rozumiała - Anna miała pokojowe usposobienie, ale była również pragmatyczna.

Czasem trzeba podjąć trudną decyzję. Czasem trzeba się poświęcić.

Stanęli murem przeciwko Gabrielowi. A teraz patrzyli na nią wyczekująco.

I wtedy do Kaitlyn dotarło, że ona też musi się z nimi zgodzić.

Nagle do głowy przyszedł jej szalony plan. Nie mogła pozwolić, żeby Gabrielowi coś się stało. I to nie tylko ze względu na niego, ale również dla dobra samego Roba. To by go odmieniło na zawsze.

Pierwszy punkt jej planu polegał na tym, że nikt nie mógł się o nim dowiedzieć.

Dlatego zapanowała nad swoją mimiką i z całej siły starała się ukryć swoje myśli. To nie było łatwe zadanie, na szczęście przez ostatnie tygodnie miała sporo okazji do ćwiczeń. Zrobiła zrezygnowaną minę i powiedziała:

- Ja też się zgadzam.

Martwiła się, że jej nie uwierzą, ale była w towarzystwie najmniej podejrzliwych ludzi na świecie. Rob kiwnął głową. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Zresztą wszyscy byli smutni.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego - westchnął Rob. - A tymczasem powinniśmy się przespać. Jutro musimy wcześniej wstać i się stąd wynieść.

A to znaczy, że mam mało czasu, zauważyła Kaitlyn, po czym szybko próbowała pozbyć się tej myśli.

- Dobry pomysł. - Podeszła do biurka i schowała odłamek kryształu.

Lewis się pożegnał i wyszedł, obgryzając kciuk. Był zamyślony. Myślał o Gabrielu? -

zastanawiała się Kaitlyn. A może o Lidii? Anna schowała się w łazience. W pokoju zostali tylko Kait i Rob.

- Przykro mi - odezwał się Rob - że cię skrzywdził. To było... potworne.

Jego oczy przypominały ciemne złoto.

- Nieważne.

Kaitlyn drżała i ciepło Roba przyciągało ją niczym płomień ćmę. Zwłaszcza teraz, gdy nie mieli przed sobą przyszłości... Nie mógł się o rym dowiedzieć. Wyciągnęła do niego rękę, a on wziął ją w ramiona.

Pierwszy pocałunek był desperacki. Potem Rob się wyciszył, a jego spokój udzielił się Kait.

Och, jak miło. Ciepłe mrowienie, miła złota poświata.

Coraz trudniej było jej zapanować nad swoimi myślami. Ale musiała. Nie mógł się domyślić, że wkrótce się rozstaną. Odkąd się poznali, byli zawsze razem. Kaitlyn przywarła do niego i skoncentrowała się na myśleniu o tym, jak bardzo go kocha. Chciała zapamiętać tę chwilę...

- Kait, wszystko w porządku? - wyszeptał. Ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w jej oczy.

- Tak, ja tylko... Chcę być blisko. Żarłocznie pragnęła jego bliskości.

Odmieniłeś mnie, pomyślała. Nie tylko pokazałeś mi, że nie wszyscy faceci to szumowiny.

Zmieniłam się przy tobie. Dałeś mi wizję.

Och, Rob, Kocham cię.

-Kocham cię, Kait - odpowiedział szeptem.

Musiała to przerwać. Traciła kontrolę: czytał jej w myślach. Z ociąganiem odsunęła się od niego.

- Idziemy spać - oznajmiła.

Zawahał się, skrzywił. Po czym skinął głową. Poddał się.

- Do zobaczenia rano.

- Słodkich snów.

Jesteś taki dobry, pomyślała, gdy zamykały się za nim drzwi; I taki opiekuńczy. Nie pozwoliłbyś mi tego zrobić...

Na biurku leżała mapa Oakland. Kupili ją, by znaleźć drogę do domu Marisol. Włożyła ją do worka marynarskiego razem z całą resztą jej ziemskiego dobytku - ciuchami na zmianę, które kupiła za pieniądze Bractwa, oraz przyborami do malowania. Ukryje torbę w łazience... A na ubranie włoży koszulę nocną...

- Szukasz czegoś? - Usłyszała za plecami głos Anny. Kaitlyn zamarła.

Rozdział 3

Nie myśl! Powtarzała sobie Kaitlyn. Została przyłapana na gorącym uczynku. Myślała o rzeczach, które na pewno wzbudziły podejrzliwość Anny.

- Zastanawiam się tylko, co jutro na siebie włożyć - Kait powiedziała lekkim tonem, udając, że przetrząsa torbę. - Nie żebym miała z czego wybierać. Zaczynam się czuć jak Thoreau*.

- Z jego jednym, starym garniturem? - zaśmiała się Anna, a Kaitlyn poczuła, jak ucisk w żołądku trochę znika. - Marisol na pewno by ci coś pożyczyła, gdyby wiedziała. Dlaczego nie zajrzysz do szafy? - I Anna podeszła do szafy. - Rany!

Ta dziewczyna kocha ciuchy. Założę się, że obie coś dla siebie znajdziemy.

Kocham cię, pomyślała Kaitlyn. Anna wyciągnęła tymczasem długą, wąską sukienkę z dzianiny i powiedziała:

- To coś w twoim stylu, Kait.

Kocham cię i Lewisa prawie tak samo jak Roba. Jesteście za dobrzy - i właśnie dlatego on was pokona, jeśli nie będziecie uważać.

Zmusiła się do porzucenia tej myśli i rozejrzała się po wnętrzu. Pokój Marisol był taki, jak sama Marisol - mieszanina przeróżnych rzeczy. Porządku z bałaganem, starego z nowym. Tak jak to duże mahoniowe biurko z podrapaną czerwoną politurą - nieprzemysłany do końca prezent od babci, o który teraz nie dba wnuczka, trzymając na nim swoje perfumy i od-twarzacz CD. Albo skórzana minispódniczka wystająca z kosza ustawionego tuż pod świętym obrazem.

Pod łóżkiem leżała para drogich okularów przeciwsłonecznych. Kait podniosła je i odruchowo wyprostowała wykrzywiony złoty zauszniak.

- A co powiesz na to? - rzuciła Anna i Kait aż zagwizdała.

Była to bardzo seksowna, kobieca sukienka: gorset sięgający poniżej bioder rozchodził się w szeroką spódnicę z szyfonu. Małe rękawki były przymocowane za pomocą maleńkich złotych zatrzasków. To była sukienka, w której zawsze wygląda się szczupło.

- Dla ciebie? - zapytała Kait.

- Nie, głupia, dla ciebie. Chłopaki się pozabijają. - Anna już miała odłożyć sukienkę z powrotem na miejsce, ale się zawahała. - No, ale skoro o tym mowa, nie potrzeba ci chyba kłopotów z chłopakami. Już i tak dwóch nie może przestać o tobie myśleć.

- Taka sukienka mogłaby raczej wybawić człowieka z kłopotów - powiedziała szybko Kait i wzięła od Anny wieszak.

Szyfon się nie gniece. Jeśli jej plan ma się powieść, przyda się każda broń. W tej kreacji przykuje uwagę Gabriela i go uwiedzie. To był pierwszy punkt jej planu.

* Henry David Thoreau, autor *Walden, czyli życie w lesie* (1854), w którym opisuje ponaddwuletni eksperyment „prostego życia” z dala od cywilizacji i postępu (przyp. tłum.).

Zwinęła sukienkę i wsadziła ją do swojego worka marynarskiego. Anna zachichotała i pokręciła głową.

Czy ja to naprawdę robię? Zastanawiała się Kait. Ja, Kaitlyn Brady Fairchild, która uważa dzinsy za szczyt mody? Lecz skoro mam się wcielić w rolę Mary Hari, to zrobię to porządnie. Na głos powiedziała:

- Anno, interesujesz się chłopakami?

- Co?

Anna znowu szperała w szafie.

- Robisz wrażenie kogoś, kto dużo wie o tych sprawach. *Zawsze jesteś* w stanie przewidzieć, co się *stanie*. Nigdy jednak nie wspominasz o żadnym chłopaku.

Anna się roześmiała.

- No cóż, ostatnio mieliśmy inne rzeczy na głowie. Kaitlyn przyjrzała jej się z zaciekawieniem.

- Ale ktoś wpadł ci w oko?

Nim odpowiedziała, Anna się zawahała. Przeglądała kolejne sukienki, muskała cekiny. Następnie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Owszem, był ktoś, na kim mi zależało.

- I co?

- I nic.

Kaitlyn nadal przyglądała się koleżance wyczekująco. Ze, zdziwieniem stwierdziła, że Anna ukryła swoje myśli. Przypominało to patrzenie przez papierową ściankę na zapaloną lampkę - można wyczuć kolory, ale nie widać kształtów. Czy inni też tak to odbierają? Zastanawiała się. Oprzytomniała i zapytała:

- Dlaczego?

- Och... Beznadziejna sytuacja. On już wtedy z kimś był. Z moją przyjaciółką.

- Poważnie? - Kaitlyn była zdezorientowana. Nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. - Trzeba było walczyć. Założę się, że byś go zdobyła. Z twoją urodą...

Anna uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

- Nie zrobiłabym tego. Nie mogłabym. - Odwiesiła sukienkę z cekinami z powrotem do szafy.

- A teraz pora iść spać -zakończyła stanowczo.

- Eee...

Kaitlyn nadal była rozkojarzona. Starła się myśleć: zachowuję się jakby nigdy nic, jestem spokojna i opanowana, jestem pewna siebie. Szybko poszła do łazienki. Wróciła z niej w obszernej flanelowej koszuli nocnej, którą dostała u Anny w domu w Puget Sound. Pod spodem miała ubranie.

Zdobyła tę koszulę podczas podróży do Kanady. W drodze powrotnej nigdzie się nie zatrzymywali. Od Bractwa dostali pieniądze oraz chevroleta bel air z 1956 roku, więc wrócili autostradą 101 wzdłuż wybrzeża. Jechali przez trzy dni, unikając rodziców Anny. Nie skontaktowali się z rodziną Lewisa w San Francisco, krewnymi Roba w Karolinie Północnej ani ojcem Kaitlyn w Ohio. To było konieczne. Dorośli tylko by się denerwowali. I nie zgodziliby się, by ich dzieci robiły takie rzeczy.

Z tego, co mówił Gabriel, wynikało, że rodzice Anny byli na policji. Mieli dowód na to, do czego jest zdolny pan Zetes - teczki, które Rob skradł z Instytutu. Zawierały opisy okrutnych eksperymentów na grupie studentów. Najwyraźniej jednak dowody na nic się zdały. Pan Zetes miał swoich ludzi w policji.

Nikt z zewnątrz nie mógł go zniszczyć.

Kaitlyn westchnęła i otuliła się kołdrą. Koncentrowała się na Annie, która leżała obok niej w łóżku Marisol. Wsłuchiwała się w oddech koleżanki i była czujna.

Gdy była już pewna, że Anna śpi, szybko wyskoczyła spod kołdry.

Idę się zobaczyć z Kobern, szepnęła w myślach, starając się nie obudzić koleżanki. Miała jednak nadzieję, że gdy Anna zauważy jej nieobecność za kilka godzin, po prostu pomyśli, że Kaitlyn jest w salonie, i nie będzie się niczym martwić.

Kait wyszła na palcach do łazienki, gdzie zostawiła swój worek marynarski. Zdjęła flanelową koszulę i wepchnęła ją do środka. Pod spodem były czarna sukienka i markowe okulary przeciwsłoneczne Marisol. Następnie prześliznęła się przez korytarz i wyszła bezszelestnie tylnymi drzwiami.

Była bezksiężycowa noc. Tylko blade gwiazdy świeciły zimno na nocnym niebie. Oakland było zbyt dużym miastem, by mogły się popisać swoim światłem. Kaitlyn nagle poczuła ukłucie tęsknoty za domem. Przy Piqua Road w Thoroughfare niebo byłoby czarne jak smoła, ogromne i spokojne.

Nie pora teraz o tym myśleć. Rusz się i poszukaj budki telefonicznej, dziewczyno.

Gdy jeszcze mieszkała w Thoroughfare, sama myśl, że miałaby chodzić po nocy po obcym mieście, by ją przeraziła - nie wspominając o strachu związanym z zadaniem. Musiała się dostać do kolejnego obcego miasta, i to położonego przynajmniej pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów stąd. Ale teraz była inną osobą. Radziła sobie ze sprawami, o jakich tamta Kaitlyn nawet nie marzyła. Pojechała do Kanady i wróciła z niej, i to bez opieki dorosłych. Nauczyła się polegać na sobie. Teraz nie miała wyboru. Nie mogła czekać do rana - w dzień nigdy by się nie urwała. Nie miała pieniędzy na taksówkę. Musi być jednak jakiś sposób na przedostanie się do San Carlos, na drugą stronę zatoki. Po prostu musiała ten sposób znaleźć. Ruszyła przed siebie.

To nie była zła dzielnica. Udało jej się znaleźć budkę z telefonem i niemal całą książką telefoniczną. Zajrzała na *strony* z informacjami lokalnymi, żeby sprawdzić transport publiczny. Dowiedziała się, że - na jej szczęście - autobusy jeżdżą przez całą dobę. Była tam nawet schematyczna mapka trasy, którą musiała pokonać: na północ, do San Francisco, by dostać się na drugą stronę zatoki, a potem na południe, do San Carlos.

Tylko jak znaleźć autobus, który jeździ o tej porze? Najpierw trzeba zlokalizować linię autobusową. Wzdrygnęła się lekko i wyrwała stronę z mapą lokalnych linii autobusowych - wredna rzecz, ale była w podbramkowej sytuacji. Korzystając z mapy autobusowej oraz mapy Oakland, dotarła do ulicy MacArthur, którą jeździły nocne autobusy.

Gdy tam dotarła, odetchnęła z ulgą. Na rogu MacArthur i Siedemdziesiątej Trzeciej była całodobowa stacja benzynowa. Pracownik powiedział jej, że autobusy jeżdżą co godzinę i następny powinien przyjechać siedem po trzeciej. Robił miłe wrażenie. Może był studentem? Miał lśniąca czarną skórę i krótko przystrzyżone włosy. Kaitlyn została przy jego stanowisku aż do przyjazdu autobusu.

Kierowca również był miły i pozwolił jej usiąść zaraz za sobą. Był to gruby mężczyzna z niekończącym się zapasem kanapek z szynką owiniętych w przetłuszczony papier. Wyjmował je z torby, która leżała pod siedzeniem. Zaproponował nawet jedną Kait. Przyjęła ją z grzeczności, ale jej nie zjadła. Patrzyła przez okno na ciemne budynki i żółtawe światła.

To była prawdziwa przygoda. Podczas podróży do Kanady była w towarzystwie przyjaciół, a teraz jechała sama. Mogła krzyczeć w myślach, a i tak nikt by jej nie usłyszał.

Zbliżali się właśnie do mostu Bay z pylonami podświetlonymi niczym choinka. Kaitlyn się skuliła. Obie ręce zacisnęła na worku marynarskim i znieruchomiała.

Gdy dotarli na dworzec autobusowy, gdzie Kait miała przesiadkę, kierowca, drapiąc się po brodzie, powiedział:

- Teraz wsiądziesz do autobusu jadącego do San Mateo. Przejdź na drugą stronę ulicy i czekaj na 7B. Będzie za jakąś godzinę. Budynek dworca jest zamknięty ze względu na bezdomnych, więc musisz poczekać na zewnątrz. - Na pożegnanie zawołał jeszcze: Powodzenia, mała! Kaitlyn przełknęła ślinę i przeszła przez ulicę.

Nie boję się bezdomnych, powtarzała sobie w myślach. Sama byłam kiedyś bezdomna; spałam na pustej działce, w furgonetce na plaży i...

Ale gdy w jej stronę ruszył mężczyzna z kraciastą marynarką zarzuconą na głowę, pchając przed sobą wózek sklepowy, serce zabiło jej szybciej w piersiach.

Był coraz bliżej. Nie widziała, co ma w wózku, bo wszystko było przykryte gazetami. A twarz miała zasłoniętą. Domyśliła się, że to mężczyzna tylko na podstawie sylwetki.

Zbliżał się powoli. Dlaczego powoli? Żeby mogła mu się przyjrzeć? Serce Kait jeszcze bardziej przyspieszyło. Zniknął gdzieś dobry humor. Ależ z niej idiotka, że się tak wybrała sama w środku nocy. Czemu nie została w miłym, bezpiecznym łóżku...

Postać w kraciastej marynarce była już prawie koło niej. Nie było dokąd uciec. Stała na opustoszałej ulicy. Nigdzie nie było nawet widać budki telefonicznej. Jedyne, co jej przychodziło teraz do głowy, to usiąść prosto i udawać, że go nie widzi. Zachowywać się tak, jakby się nie bała.

Był już blisko. Światło latarni przelotnie wpadło pod jego kaptur i Kaitlyn zobaczyła jego twarz.

Stary mężczyzna z siwymi włosami i łagodnymi rysami twarzy. Robił wrażenie trochę zmieszanego. Powłóczył nogami. To dlatego szedł tak wolno - był stary.

Albo, pomyślała nagle Kaitlyn, osłabiony i głodny. Też bym była, gdybym pchała wózek z supermarketu o czwartej nad ranem.

Nagły impuls wygrał ze zdrowym rozsądkiem. Kaitlyn wyciągnęła z marynarskiego worka obtłuszczone zawiniątko.

- Kanapkę? - zapytała dokładnie w ten sam sposób, co kierowca autobusu. - Z wiejską szynką. Starzec wziął kanapkę. Przez chwilę wpatrywał się w Kaitlyn. Uśmiechnął się do niej z zaskakującą słodyczą i poszedł, dalej powłócząc nogami.

Kaitlyn ogarnęło poczucie szczęścia.

Gdy w końcu przyjechał autobus, była zmarznięta i zmęczona, len autobus nie wyglądał tak zachęcająco, jak linia nocna „N”, którą tu przyjechała. Cały był pokryty graffiti, a w środku znajdowały się popękane siedzenia ze skaju, podłoga lepiała się od gum do żucia i śmierdziało jak w toalecie.

Lecz Kaitlyn była zbyt śpiąca, by się tym przejąć i usiąść zaraz za kierowcą. Nie zwróciła specjalnej uwagi na *wysokiego* mężczyznę w podartym płaszczu. Zauważyła go dopiero, gdy wysiadł na tym samym przystanku co ona.

Dopiero wtedy do niej dotarło, że za nią idzie. Od Instytutu dzieliło ją jakieś dziewięć czy dziesięć przecznic. Gdy minęła trzecią była już absolutnie pewna. To, co się nie zdarzyło w otchłaniach Oakland ani dziczy San Francisco, działo się tutaj.

Może... może ten mężczyzna jest w porządku. Tak jak człowiek z wózkiem na zakupy.

Co robić? Zapukać do czyichś drzwi? To była dzielnica mieszkaniowa, ale wszystkie domy pogrążone były w ciemnościach. Rzucić się biegiem? Kaitlyn nieźle biegała. Jeśli jej prześladowca nie jest w szczytowej formie, może byłaby w stanie mu uciec.

Rzecz w tym, że nie mogła się zmusić do zrobienia czegokolwiek. Nogi niosły ją automatycznie ulicą Exmoor. Przechodziły ją dreszcze na myśl o tym, że on jej depte po piętach. Czuła się tak, jakby utknęła we śnie, w którym potwory nie mogą jej dopaść dopóty, dopóki nie pokaże po sobie, że się boi.

Skręcając za róg, obejrzała się za siebie. W świetle latarni zobaczyła, że mężczyzna ma rude włosy, zniszczone ubranie, jest silny i wysportowany. Jak ktoś, kto bez trudu dogoniłby siedemnastolatkę.

Tyle zobaczyła. Wyostrome zmysły, dzięki którym czasami widziała przyszłość, pokazały jej bardzo złe emocje. Ten człowiek był niebezpieczny, pełen niedobrych myśli. I chce jej zrobić krzywdę.

Wszystko zrobiło się zimne i wyraźne. Czas się rozciągnął, a Kaitlyn skupiła się na przeżyciu. Jej umysł pracował na pełnych obrotach, ale za każdym razem, kiedy analizowała sytuację, nie wyglądało to dobrze. Nie miała pomysłu na ratunek.

Cały czas nękała ją jedna i ta sama myśl: powinnam była przewidzieć, że mi się nie uda. Kręcę się w nocy po obcym mieście... Powinnam była wiedzieć.

Wymyśl coś, zganiła siebie. Jeśli nie możesz uciec, to lepiej znajdź jakieś schronienie. I to szybko.

Domy dokoła były pogrążone we śnie, zamknięte na cztery spusty. Miała przerażającą pewność, że nikt jej nie wpuści... Ale coś musiała zrobić. Kait poczuła szarpnięcie w środku, po czym skręciła do najbliższego budynku. Jednym susem znalazła się na werandzie i wylądowała na wycieraczce. Nawet w tak podbramkowej sytuacji nie mogła się zdobyć na to, żeby załomotać do drzwi. W końcu powściągnęła swoje opory. Rozległy się głuche uderzenia - nie dość głośne, zdaniem Kait. Zobaczyła dzwonek i zaczęła go gorączkowo naciskać.

Waliła w drzwi bokiem pięści, bo to bolało mniej, niż gdy uderzała kostkami dłoni.

W środku panowała cisza. Nikt nie reagował na jej hałasy. Nikt nie biegł w stronę drzwi. Otwieracie! Chodźcie tu i otwórzcie drzwi!

Kaitlyn obejrzała się za siebie i serce prawie jej wyskoczyło z piersi.

Rudy mężczyzna tam był; stał na chodniku przed furtką. I patrzył na nią.

I był wściekły. W jego głowie pełno było myśli, których Kaitlyn nie wyczuwała bezpośrednio, ale które składały się razem na krzyk. Zrobił coś złego innym dziewczynom - i ją też chciał skrzywdzić.

W domu nadal panowała cisza. Znikąd pomocy. Czują się jak zwierzyna łowna zapędzona w kozi róg. Kait podjęła błyskawiczną decyzję. Zeskoczyła z werandy i rzuciła się biegiem w stronę Instytutu. Zrobiła to tak szybko, że mężczyzna nie zdążył zareagować.

Słyszała własne kroki na ulicy. Jej oddech przypominał urywane łkanie.

Wszędzie panowała ciemność. Kait była skołowana. Już nie wiedziała, gdzie jest Instytut.

Gdzieś tutaj trzeba było skręcić w lewo, ale gdzie? Ulica nazywała się jak jakiś kwiat albo roślina.

O, ta wygląda znajomo. Kait skręciła w nią, starając się odczytać nazwę na metalowej tabliczce - Ivy Street - czy to ta? Nie było czasu, by się nad tym zastanawiać. Ruszyła biegiem ulicą... I prawie natychmiast do niej dotarło, że się pomyliła.

To była ślepa uliczka. Gdy dotrze do końca, będzie w pułapce.

Zerknęła za siebie. Biegł za nią, a poły płaszcz łopotął niczym skrzydła drapieżnego ptaka. Był niezgrabny, ale bardzo szybki.

Nie uda jej się dotrzeć do końca ślepej uliczki.

Jeśli pobiegnie w stronę któregoś domu, to mężczyzna ją dopadnie. Jeśli zwolni, to zaatakuje ją z tyłu. Jeśli spróbuje go wyminąć, to ją złapie.

Jedynie, co jej przychodziło do głowy, to stawić mu czoło i walczyć.

Po raz kolejny przeszła ją fala przejrzystego zimna. No, dobrze. Zatrzymała się, trochę się zachwiała i obróciła na pięcie. Stała w najszerszej części ślepej uliczki, otoczona przez zaparkowane samochody.

Zatoczył się, zwolnił i się zawahał. A następnie, pół biegnąc, pół powłócząc nogami, ruszył w jej stronę. Kaitlyn ani drgnęła.

Dobrze, że nie zgubiła nigdzie worka marynarskiego. Może użyje go jako broni. A może jest w nim coś, czego mogłaby użyć...?

Nie, wszystko było zbyt miękkie. Poza ołówkami, ale one były w pudełku z przyborami plastycznymi. Nie wyciągnie ich na czas.

W takim razie wydrapię mu oczy, pomyślała ostro. Adrenalina buzowała w jej żyłach; niemalże się cieszyła, że ma okazję do bójki. Miała ochotę rozerwać go na strzępy. Zabił, był zabójcą.

- No, chodź, ty - syknęła i po chwili do niej dotarło, że powiedziała to na głos. Ruszył w jej stronę. Szcherzył zęby w obłąkanym, uszczęśliwionym uśmiechu. Kaitlyn napięła mięśnie. Nagle znalazł się przy niej.

Rozdział 4

Krzyk przebił się przez blokadę Gabriela. Chłopak chodził bez celu, w tę i z powrotem, przed Instytutem. Całą noc był na dworze i nadal nie chciało mu się wracać do środka. Pewnie i tak nikt nie będzie mu zawracać głowy, nadal jednak instynktownie unikał tego miejsca. Spartaczył robotę: nie zdobył odłamka kryształu. I wkrótce stanie przed nim. Zetes. Gabriel zacisnął szczęki. Teraz już rozumiał, dlaczego Marisol tak bardzo bała się staruszka. Posiadał jakąś wrogą moc, której najmocniej doświadczało się w codziennym pożyciu. Jakby potrafił wysączyć siłę woli z każdego w swoim otoczeniu. Nie tak gwałtownie, jak Gabriel drenował życiową energię, ale powoli. Ludzie stawali się przy nim nerwowi, wyczerpani - i skołowani.

Cicha forma terroru.

Garbiel nie zamierzał się poddać. W końcu się zdecydował, co chce robić w życiu, a Zetes był mu do tego potrzebny. Staruszek miał organizację i kontakty. Gabriel planował spożytkowanie wszystkich tych elementów w drodze na szczyt.

Zastanawiał się nad wejściem do środka, gdy do jego świadomości przebił się krzyk. Nie był to słyszalny dźwięk, ale pojawił się nagle w jego głowie. To była nienawiść, przemieszczana z gniewem oraz strachem. Kaitlyn.

Gdzieś blisko. Na północny zachód od niego, pomyślał. Ruszył z miejsca, nim jeszcze zdążył się zastanowić.

I pewnie nie umiałby wyjaśnić dlaczego, gdyby go ktoś zapytał.

Sadził długie, zręczne kroki wilka. Krzyk rozległ się znowu - wołanie kogoś, kto walczy o życie. Gabriel przyspieszył. Był już blisko.

Ivy Street. Krzyk dochodził stamtąd. Teraz już widział, co się dzieje - w świetle latarni, na końcu ślepej uliczki. Słyszał to w głowie. Kaitlyn nigdy nie krzyczała na głos, gdy była w tapatach.

Gabriel dopadł szarpiących się postaci. Rudy mężczyzna przygwoździł Kaitlyn, która gryzła, kopała i drapała. Niezłe go urządziła, ale i tak musiała przegrać ten pojedynek. Mężczyzna był cięższy i silniejszy od niej, mógł wytrzymać dłużej.

Déjà vu, pomyślał Gabriel. Kiedyś na tyłach Instytutu walczył z innym mężczyzną, który zaatakował Kaitlyn - człowiekiem, który, jak się potem okazało, był członkiem Bractwa. Ten tutaj z przetłuszczonymi włosami i podejrzanym wyglądem był raczej pospolitym przestępcą. Nie musiał interweniować. Staruszek ucieszyłby się na wieść o śmierci Kaitlyn. Jedna osoba mniej na drodze do odłamka kryształu. Ale...

Wszystkie te myśli przeleciały Gabrielowi przez głowę w jednej chwili. Nim jeszcze świadomie wyciągnął z tego jakieś wnioski, już sięgnął po rudego.

Zacisnął rękę na jego brudnym płaszczu i szarpnął, przez co poderwał mężczyznę do góry.

Kaitlyn wytoczyła się spod niego. W głowie usłyszał jej zdziwiony głos. *Gabriel?!*

A to znaczy, że go wcześniej nie zauważyła. Cóż, była skupiona na tym, by przeżyć. Facet w płaszczu zareagował, wyrwał się. Zobaczył Gabriela i wymierzył cios.

Gabriel się uchylił. Poderwał rękę do góry. Nóż w rękawie wysunął się z kliknięciem.

Zacisnął na nim dłoń. Ciężar i gładka rękojeść były przyjemne w dotyku.

Oczy rudego się rozszerzyły.

Jak Wolverine, pomyślał Gabriel i parę razy przeciął nożem powietrze dla rozgrzewki. Oczy rudego podążały za nożem. Bał się. Gabriel czuł smak jego strachu.

Nie martw się nożem, pomyślał, chociaż wiedział, że rudy go nie słyszy. To tylko dla odwrócenia twojej uwagi, żeby cię czymś zająć, gdy ja zrobię swoje...

Druga ręka Gabriela ukradkiem powędrowała w górę. Dotknęła karku rudego. Zaraz ponad kołnierzem płaszcza.

Jego palce musnęły skórę i znalazły punkt transferowy. Łatwiej by mu było go znaleźć wargami, ale nie miał zamiaru zbliżyć się do tego plugawego wykolejeńca bardziej niż to konieczne. Coś pękło, coś się oderwało. Rudy gwałtownie zeszywniał, jego mięśnie dygotały. A potem Gabriel to poczuł - falę energii niczym białoniebieskie światło tryskające jak fontanna. Gabriel zbierał je palcami. Energia wypełniała wszystkie jego kanały, pędziła przez nie, rozgrzewając jego ciało.

Aaaaach.

To było jak coś zimnego do picia w upalny dzień - chłodny napój w wysokiej szklance z kostkami lodu pobrzękującymi o ścianki i kropelkami wody zbierającymi się na zewnątrz. To było jak złapanie drugiego oddechu podczas biegu - nagły przypływ siły, spokoju i wigoru.

Przypominało powiew wiatru na twarzy. Te opisy nie do końca oddawały to, co odczuwał w tej chwili, ale nie umiał inaczej nazwać tej witalności i ekscytacji, których teraz doświadczał. Jakby pił czystą esencję życia. Smakowała doskonale nawet od niechlujnego włóczęgi. Na swój odrażający sposób ten gość miał w sobie więcej życia niż przeciętny człowiek. Gabriel go puścił, po czym wsunął nóż z powrotem do pochwy.

Rudego przeszył dreszcz, po czym osunął się na ziemię. Zadygotał i znieruchomiał.

Śmierdział.

Zadyszana Kaitlyn podniosła się z ziemi.

- Nie żyje? - zapytała.

- Jeszcze oddycha, ale zbyt długo nie pociągnie.

- To ci sprawiło przyjemność.

Uniosła wzgardliwie brwi. Jej niebieskie oczy miały błyskawice. Drobne rude loczki przywarły jej do czoła; reszta włosów opadała luźno, niczym wspaniały, płomienny wodospad. Była zarumieniona, pozbawiona tchu i bardzo piękna.

Rozzłoszczony Gabriel odwrócił wzrok. Nie chce o niej myśleć, nie chce widzieć, jaka jest piękna, jaką ma bladą skórę, jak jej piersi unoszą się w rytm oddechu. Należała do kogoś innego, dla niego nic nie znaczyła.

Wbił wzrok w skuloną sylwetkę na ziemi i powiedział:

- Tak, sama nieźle sobie radziłaś.

Kaitlyn zadrzała, po czym wzięła się w garść. Jej głos brzmiał trochę łagodniej, gdy się odezwała:

- Czułam, że jest pełen okropieństw. Jego umysł... Przeszył ją znowu dreszcz.

- Miałaś wgląd w jego umysł? - zapytał ostro Gabriel.

- Niezupełnie. Wyczuwałam coś. To było coś jak odczucie albo zapach. Nie byłam jednak w stanie odczytać jego myśli. - Podniosła wzrok na Gabriela, zawahała się, po czym wzięła głęboki wdech. - Przepraszam. Nawet ci nie podziękowałam. Cieszę się, że się zjawiliście.

Gdyby nie ty...

Głos uwiązał jej w gardle. Zignorował to.

- Rozwinęłaś też umiejętności telepatyczne w stosunku do innych ludzi? A może ten facet był telepatą? - Dotknął płaszcza czubkiem adidasa, po czym spojrzął na Kait. - Gdzie reszta?

Kaitlyn się wyprostowała i spokojnie obejrzała się za siebie.

- Jaka reszta?

- No, wiesz, reszta. - Gabriel natężył zmysły, nasłuchując choćby najśłabszych sygnałów ich obecności. Nic. Zmrużył oczy i przyjrzał się Kaitlyn. - Muszą być gdzieś w pobliżu. Nie przyszlabyś tu sama.

- Nie przyszlabyłam? Jestem sama. Przyjechałam autobusem. Nic trudnego. Nie zapytasz dlaczego?

Za jej plecami niebo przybrało odcień zieleni i bladego różu, a na zachodzie było w kolorze ultramaryny. Gaśły ostatnie gwiazdy. Pierwsze promienie słońca padły na złocistorude włosy. Jej szczupła i dumna sylwetka, niczym u średniowiecznej księżniczki czarownicy, odcinała się od porannego nieba. Gabriel starał się ze wszystkich sił zachować kamienną twarz.

- No, dobrze - powiedział. - To co tu robisz?

- Co znaczy, nie ma jej? - zapytał ostro Rob.

- Nie ma jej - odpowiedziała żałośnie Anna. - Obudziłam się, rozejrzałam i nigdzie jej nie ma. Lewis odwrócił się na bok w swoim śpiworze, zmrużył oczy i się podrapał.

- A sprawdziłaś w... eee...

- Oczywiście, że sprawdziłam w łazience. Wszędzie sprawdziłam, ale jej nigdzie nie ma. Jej torba też zniknęła.

- Co?! - wrzasnął Rob.

Anna zasłoniła mu usta dłonią. Rob wpatrywał się tępo w dziewczynę.

Jeśli nie ma jej torby, to jej też nie ma, pomyślał, żeby wszyscy usłyszeli.

Właśnie to ci próbowałam powiedzieć, odparła Anna. Jej piękne ciemne oczy były rozszerzone, ale spokojne. Anna nigdy nie traciła głowy w sytuacjach kryzysowych. Rob natomiast był bliski paniki. Od poprzedniego wieczoru szalał.

Z wysiłkiem wziął się w garść. Chcę powiedzieć, że pewnie wyskoczyła gdzieś na chwilę.

Pewnie z własnej woli. Gdyby ją ktoś porwał, to pewnie nie zabraliby torby.

- Ale dlaczego to zrobiła? - zapytał Lewis i usiadł prosto. Rob spojrział w okno. Właśnie świeciło.

- Wydaje mi się... Może poszła do Instytutu. Pozostała dwójka gapiła się na niego z niedowierzaniem.

- Nie - zaprzeczyła Anna.

Rob uniósł ramiona i zagryzł górną wargę. Nadal wyglądał przez okno.

- Myślę, że tak.

- Ale dlaczego? - Chciał wiedzieć Lewis.

Rob ledwie go usłyszał. Patrzył w niebo, przejrzyście niebieskie, niczym szkło. Kait teraz tam była...

- Rob! - Lewis nim teraz potrząsał. - Dlaczego poszła do Instytutu?

- Nie wiem - odpowiedział Rob. - Może myśli, że wpłynie na Gabriela? Albo sama chce się zmierzyć z panem Zetesem.

Anna i Lewis wypuścili z sykiem powietrze z płuc.

- Myślałem... To znaczy najpierw pomyślałem, że chcesz powiedzieć...

Rob zamrugnął zdezorientowany.

- Myślał, że chcesz powiedzieć, że Kaitlyn zdezerterowała, tak jak Gabriel - dodała zdecydowanie Anna. - Wiem, że tego nie zrobiła, ale pomyślałam, że może ty tak myślisz.

- Oczywiście, że niczego takiego by nie zrobiła - odpowiedział zszokowany Rob.

Czasami nie rozumiał ludzi - tak łatwo im przychodziło mówić źle o innych, nawet o przyjacielach. On jednak wiedział, że Kaitlyn nie była zdolna do złych uczynków.

- Musiała dać nogę w środku nocy - zauważył Lewis. - Myślicie, że wzięła samochód?

- Samochód stoi przed domem. Sprawdziłam, zanim przyszłam was obudzić - westchnęła Anna. - Sama nie wiem, jak ona to zrobiła.

- Znalazła jakiś sposób - powiedział krótko Rob. Kaitlyn była zdeterminowana. - Na pewno dotrze na miejsce, jeśli to sobie zaplanowała. Pytanie tylko, co my teraz mamy zrobić?

- A co możemy zrobić? - zapytał Lewis.

Z tyłu domu dobiegły ich jakieś hałasy. Rodzice Marisol się obudzili. Rob spojrział w tamtą stronę, a potem znowu za okno.

- Musimy ją znaleźć i wydostać stamtąd.

- Wydostać ją - zgodziła się cicho Anna.

- Musimy - dodał Rob. - Nie wiem, co jej chodzi po głowie, ale to się nie uda. Nie w tym domu wariatów. Oni są niebezpieczni. Zabiją ją.

- Chciałam cię zobaczyć. - Kaitlyn podeszła do Gabriela. Wiedziała, że się na to nie nabrał.

- to prawda. Popatrz na mnie, poczuj moje myśli. Chciałam cię zobaczyć.

To było ryzykowne zagranie. Ale nie kłamała. Poza tym uratował jej życie, więc naprawdę się cieszyła na jego widok. Tyle pozwoliła mu wyczuć. Mogła się założyć, że nie będzie szukał głębiej, bo musiałby się zbliżyć i odsłonić własne myśli. A na to na pewno nie będzie miał ochoty.

Przyglądał się jej intensywnie. Zmrużył szare oczy w świetle poranka. Było to przepiękne światło z północy, padające ukośnie, w którego promieniach nawet zwyczajne domy wydawały się magiczne, a Gabriel mienił się złociście. Mogła się tylko domyślać, jak ona sama wygląda w takim świetle.

Gabriel spuścił wzrok. Telepatycznie musnął jej umysł -lekkko, niczym skrzydło ćmy.

- A więc chciałaś się ze mną zobaczyć? - zapytał.

- Stęskniłam się za tobą - powiedziała Kaitlyn. To również; nie było kłamstwo. Tęskniła za jego ciętą inteligencją, prześmiewczym poczuciem humoru i silną obecnością w jej głowie. - Chcę do ciebie dołączyć.

To było takie megawielkie kłamstwo, że spodziewała się usłyszeć syreny alarmowe w jego głowie, ale on zdążył się już schować za murem. W ogóle na nią nie patrzył.

- Nie wygłupiaj się. - Skrzywił się, a jego głos nagle zabrzmiał słabo.

Kaitlyn dostrzegła swoją szansę i zaatakowała:

- Mówię prawdę. Podjęłam decyzję wczoraj w nocy. Nie lubię pana Zetesa, ale niektóre rzeczy, które mówi, mają sens. Mamy nieskończone możliwości, musimy je tylko rozwinąć. W spokoju. I jesteśmy lepsi od innych ludzi.

Gabriel chyba zdołał wziąć się w garść.

- Nie przy szłabyś tu z takiego powodu.

- Czemu nie? Mam już dość uciekania. Chcę być z tobą i chcę mieć władzę. Co w tym złego? Zacisnął usta.

- W tym nie ma nic złego, ale ty w to nie wierzysz.

- No, to sprawdź. - Serce Kaitlyn biło jak szalone. To było ogromne *ryzyko*. - Zdałam sobie sprawę z tego, co nas łączy, dopiero jak odszedłeś. Zależy mi na tobie. - To był jej moment. Pora sprawdzić, czy nadaje się na hollywoodzką gwiazdę. Zbliżyła się do Gabriela. Niemalże go dotykała. - Uwierz mi.

Gdyby chciał, mógł zajrzeć w jej myśli i wyrwać z nich prawdę. Cienka tarcza ochronna nie ochroniłaby jej przed nim.

Ale on nie próbował wtargnąć do jej głowy. Zamiast tego pocałował Kaitlyn.

A ona poddała się pocałunkowi. Wiedziała, że musi. Przeszył ją dreszcz zwycięstwa.

Dziewczyna z małego miasteczka odnosi sukces. Narodziła się gwiazda!

Po chwili jednak poczucie triumfu zniknęło, a w jego miejsce pojawiło się coś silniejszego, głębszego. Coś dziko radosnego i czystego. Przywarli do siebie. Gabriel mocno ją obejmował. Zaiskrzyło między nimi. W miejscach, gdzie się stykali, Kaitlyn czuła gorąco. Gabriel wsunął dłoń w jej włosy. Delikatne muśnięcia jego palców sprawiały jej rozkosz. Raz za razem pieścił wargami jej wargi.

W środku Kaitlyn czuła narastający ból. Byli razem, tak blisko, a ona chciała być jeszcze bliżej. Przeszył ją dreszcz. Jego palce dotknęły jej karku.

Błyskawica. Zaczynało się. Iskry zmieniły się w niebiesko-białą burzę. Za chwilę ich umysły się połączą i jej energia przepłynie do niego.

Ostateczna komunia, ale nie mogła. Nie byłoby między nimi żadnej bariery. Żadnej ochrony. Gabriel zobaczyłby wszystko.

Kaitlyn próbowała się wyrwać, ale nic z tego nie wyszło. Trzymał ją w ramionach, a nie miała dość siły, żeby się uwolnić. Za chwilę zobaczy...

Jakieś drzwi do garażu otworzyły się ze zgrzytem.

Kaitlyn podskoczyła. Była uratowana. Gabriel uniósł głowę i spojrzał na dom. Kaitlyn wykorzystwała ten moment i odsunęła się o krok.

Świat dokoła nich budził się do życia. To już nie był świt, lecz poranek. Otworzyły się drzwi innego domu; ścieżką przebiegł kot. Nikt nie zauważył wysokiego chłopaka, który całował się z dziewczyną, ani bezwładnej postaci u ich stóp.

- Zaraz nas zobaczą - wyszeptała Kaitlyn. - Chodźmy stąd.

Ruszyli w milczeniu. Na skrzyżowaniu Kaitlyn spojrzała na niego.

- Którędy do Instytutu?

- Naprawdę chcesz tam iść?

Przeglądał jej się z powątpiewaniem, ale już nie lekceważąco. Przekonała go.

- Chcę być z tobą.

Gabriel był skonsternowany. Skonsternowany i bezbronny. W jego oczach błysnęło coś kruchego.

- Ale... ja cię przecież skrzywdziłem.

- Nie chciałeś.

Kaitlyn nagle nabrała absolutnej pewności. Wcześniej tak się jej wydawało, ale teraz była pewna.

- Nie wiem - powiedział tylko. - Już niczego nie jestem pewien.

- Wiem. Zapomnij o tym.

Widziała, że nadal jest dezorientowany, ale uznała, że tak jest lepiej. Im dłużej będzie wytracony z równowagi, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zacznie ją analizować. Sama była zaskoczona i kręciło się jej w głowie od tego pocałunku.

Boże, w co ja się pakuję?

Postanowiła, że zastanowi się nad tym później.

- *Joyce nadal wszystkim zarządza?*

Joyce Piper zwerbowała ich oboje zeszłej zimy. To dzięki niej Instytut uchodził za legalny ośrodek badawczy. Nawet teraz Kaitlyn z trudem mieściło się w głowie, że Joyce jest równie zła co pan Zetes.

- Jeśli to można nazwać zarządzaniem. Niby wszystkim i kieruje, ale... zresztą sama zobaczysz.

Kaitlyn ogarnęła fala triumfu, którą zaraz stłumiła. Już nie musiała go przekonywać. Wierzył, że pozwolą jej zostać.

Zrobię to, pomyślała. Nagle do niej dotarło, ile miała szczęścia, zjawiając się tam z Gabrielem. On jej pomoże.

Zbliżali się do Instytutu. Upominała się duchu: wyprostuj się, kroc dumnie. Uniosła głowę.

Gdy przyszła tu po raz pierwszy, była przejęta i zdenerwowana. Martwiła się, z kim będzie dzielić pokój, czy ludzie ją polubią, czy ją zaakceptują. Teraz miała dużo poważniejsze rzeczy na głowie i zadanie do wykonania. Wiedziała, że emanują z niej spokój i niemalże majestatyczna pewność siebie.

Sięgnęła do worka i wyciągnęła z niego okulary przeciwsłoneczne Marisol. Założyła je i odrzuciła włosy do tyłu.

Teraz jestem gotowa.

Gabriel spojrzał na nią.

- Nowe?

- Cóż, uznałam, że Marisol nie będzie już potrzebne. Uniósł brew, zszokowany jej bezczelnością.

Instytut był fioletowy. Oczywiście pamiętała to, ale i tak zdziwił ją ten kolor. Przeszył ją silny dreszcz tęsknoty za domem.

- No, chodź - powiedział Gabriel i podprowadził ją do drzwi.

Były zamknięte. Zapukał z rozdrażnieniem.

- Zapomniałem klucza...

- A co z twoim nowym talentem do włamań?

Drzwi się właśnie otworzyły. Stała w nich Joyce. Jej krótkie jasne włosy były przygładzone i mokre. Miała na sobie różowy sweter i legginsy.

Jak zawsze emanowała energią, w każdej chwili gotowa do akcji. Oczy w kolorze akwamaryny były lśniące i pełne życia.

- Gabriel, gdzieś ty... - przerwała i jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Zobaczyła Kaitlyn. Przez moment stali w milczeniu. Kaitlyn pozornie była opanowana, ale tak naprawdę serce biło jej jak szalone. Musiała jakoś przekonać Joyce, to konieczne. Blondynka była jednak podejrzliwa.

Kiedyś Joyce ją nabrała, nabrała ich wszystkich. Teraz przyszła kolej na Kaitlyn. Kait czuła się jak agent FBI, którego zadaniem jest infiltracja szeregów wroga.

A dobrze wiesz, co dzieje się z nimi, kiedy zawiodą, pomyślała.

- Joyce... - zaczęła, zdobywając się na łagodny ton. Joyce nawet na nią nie spojrzała.

- Gabriel - powiedziała chrapliwym szeptem. - Zabieraj ją stąd.

Rozdział 5

Kaitlyn spojrzała na Joyce z niepokojem. W uszach jej dzwoniło. Nie była w stanie nic powiedzieć. Uratował ją Gabriel.

- Daj jej szansę.

Joyce patrzyła to na jedno, to na drugie. W końcu się odezwała: .

- Masz odłamek kryształu?

- Nie znalazłem go - odpowiedział Gabriel pospiesznie. -Gdzieś go ukryli. Ale co za różnica?

- Co za... - Joyce zacisnęła usta i zerknęła za siebie, jakby się bała, że ktoś ją podsłuchuje. -

Problem polega na tym, że on tu będzie dzisiaj wieczorem i chce mieć odłamek.

- Słuchaj, wpuścisz nas czy nie?

Joyce głośno westchnęła i jeszcze raz zerknęła na Kaitlyn. Wpatrywała się w nią przez długą chwilę, po czym jednym ruchem zerwała Kaitlyn z nosa okulary przeciwsłoneczne. Kaitlyn to zaskoczyło, ale nie dała nic po sobie poznać. Spokojnie patrzyła w akwamarynowe oczy.

- No dobrze - zgodziła się w końcu Joyce. - Wchodźcie. Mam nadzieję, że to nie żadna bzdura.

- Przyda ci się jeszcze jeden jasnowidz - tłumaczył Gabriel, gdy znaleźli się w salonie. -

Dobrze wiesz, że Frost jest kiepska.

Joyce usiadła i założyła jedną szczupłą nogę na drugą.

- Chyba żartujesz? - zapytała z ironią.

- Chcę do was dołączyć - oznajmiła Kaitlyn. Dzwonienie w uszach ustało. Mogła już mówić, spokojnie

i z nonszalancją.

- No, pewnie! - odparła na to Joyce. Jej ton brzmiał sarkastycznie.

- Nie przyprowadziłbym jej tutaj, gdyby kłamała - ciągnął Gabriel. Błysnął tym swoim promiennym, niepokojącym uśmiechem. I nim Joyce zdążyła się odezwać, dodał: - Zajrzałem w jej umysł, nie oszukuje. Szkoda marnować czasu. Głodny jestem.

- Dlaczego chce do nas dołączyć - dopytywała się Joyce. Słowa Gabriela wyraźnie nią wstrząsnęły.

Kaitlyn wiele razy ćwiczyła przemowę na temat tego, jak gorąco wierzy w teorie pana Zetesa związane z telepatami i zdobyciem władzy. Zrobiła się w tym całkiem dobra. I całkiem łatwo było ją sprzedać ludziom, którzy sami chcieli rządzić.

Pod koniec przemowy Joyce zagryzła wargę.

- Sama nie wiem. A co z resztą? Z twoimi przyjaciółmi?

- Co z nimi? - zapytała zimnym tonem Kaitlyn.

- Chodziłaś z Robem Kesslerem. Nie zaprzeczaj. Kaitlyn czuła, że Gabriel też czeka na odpowiedź.

- Zerwaliśmy ze sobą - oznajmiła. Nagle pożałowała, że nie przemyślała dokładniej tej części planu. - Chcę być z Gabrielem. Poza tym... - dodała, bo nagle ogarnęło ją natchnienie. - Robowi podoba się Anna.

Nie miała pojęcia, czemu to powiedziała, ale odniosło to niespodziewany skutek na oboju, Joyce i Gabrielu. Dziewczyna uniosła ze zdziwienia brwi, a zaciśnięte usta odrobinę się rozluźniły. A Gabriel odetchnął z sykiem, jakby chciał powiedzieć: wiedziałem.

Kaitlyn była w szoku. Wymyśliła to na poczekaniu. Rob nigdy nie dał nic po sobie poznać. Ani on, ani Anna. A przynajmniej Kaitlyn nic takiego nie zauważyła...

Nie mogła teraz o tym myśleć. Musiała skupić się na ważniejszych sprawach. Spojrzała na Joyce, która robiła wrażenie rozdartej.

- Posłuchaj - ciągnęła dalej Kait. - To całkiem proste. Nie przyszedłbym tutaj, gdybym nie traktowała tego poważnie. Ponadto nie chce ryzykować życie mojego taty. - Przyglądała się wyczekująco Joyce. - Możecie coś mu zrobić, prawda? To za duże ryzyko.

lak naprawdę uświadomiła to sobie dopiero parę chwili temu. Telepaci pana Zetesa mogli zaatakować na odległość. Jeśli dowiedzą się prawdy o Kait, jej ojciec znajdzie się na celowniku. Jednak było już za późno, żeby się wycofać. Mogła ochronić tatę, grając swoją rolę.

- Ale przecież pojechałaś aż do Kanady, żeby z nami walczyć.

- No, tak. Spotkałam się z Bractwem i przekonałam się, że to bzdury. Sami sobie nie potrafią pomóc, nie wspominając o kimkolwiek innym. Poza tym... nie przestałam lubić Roba ani reszty, ale nie chcę być z nimi, gdy poniosą porażkę. Wolę stanąć po stronie zwycięzcy.

- iy i Lidia - Joyce mruknęła. Kolejny celny strzał, pomyślała Kait. - Nawet jeśli na nic się nam nie przydasz, zawsze możesz zostać naszą zakładniczką - dodała Joyce.

- Możemy coś zjeść? - zapytał Gabriel, nie czekając na reakcję Kaitlyn.

- Dobrze - zgodziła się Joyce i podała Kaitlyn okulary przeciwsłoneczne. - Wszyscy jeszcze śpią. Sami sobie zróbcie śniadanie.

Oj, wygląda na to, że przestała cię już bawić rola gospodyni domowej, jaką wcześniej odgrywałaś, pomyślała Kaitlyn, nie zwracając sobie głowy, żeby ukryć tę myśl przed Gabrielem. Uśmiechnął się do niej.

Kuchnia wyglądała inaczej. Przede wszystkim była brudna: w zlewie piętrzyły się naczynia, z kosza na śmieci wysypywały się puszkę po coca-coli. Na blacie stało kartonowe pudło pełne niechlujnie zamkniętych pudełek po jedzeniu na wynos.

Chińszczyzna, jak zauważyła Kaitlyn. Nam Joyce nigdy nie pozwalała zamawiać chińskiego jedzenia. No i płatki śniadaniowe z cukrem w szafce. *Gdzie się podziała pasja Joyce do zdrowego odżywiania? Czy tylko udawała?*

- Mówiłem ci, że przestało ją to obchodzić - mruknął Gabriel pod nosem, rzucając dziwne spojrzenie z ukosa.

Aha. Kaitlyn wzruszyła ramionami i nasypała sobie płatków do miseczki.

Gdy skończyli jeść, Joyce powiedziała:

- No, dobrze, idźcie na górę i się umyćcie. Możesz tymczasowo zatrzymać się w pokoju Lidii. Zdecydujemy, gdzie będziesz spać dzisiaj wieczorem, kiedy on przyjedzie.

Kaitlyn się zdziwiła:

- Lidia tu mieszka?

~ Mówiłem ci - odparł Gabriel. - Pod skrzydłami tatusia. Gdy znaleźli się na podeście schodów, Kait zapytała:

- Który pokój teraz zajmujesz?

- Ten sam, co poprzednio. - Pokazał w stronę najlepszego pokoju w całym domu, dużego, z kablówką i balkonem. A potem posłał jej szatańskie spojrzenie. - A co, chcesz mieszkać ze mną? Mam jacuzzi. I ogromne łóżko.

- Joyce się na to nie zgodzi - odparła Kaitlyn.

Nie wiedziała, gdzie mieszka Lidia, ale zapukała do drzwi pokoju, który kiedyś dzieliła z Anną. A potem zajrzała do środka.

Lidia, drobna w za dużej koszulce, właśnie podnosiła się z łóżka. Na widok Kaitlyn aż pisnęła. Rozejrzała się gorączkowo po pokoju, szukając drogi ucieczki, a potem zrobiła krok w bok, w stronę łazienki.

Kaitlyn zachichotała. W pewnym sensie miło było zobaczyć kogoś bardziej przestraszonego niż ona.

- Dokąd się tak spieszysz? - zapytała.

Ogarnęło ją poczucie rozleniwienia i siły. Czują się jak Gabriel.

Lidia wierciła się przez chwilę, niczym robak na haczyku, a potem palnęła:

- On mnie do tego zmusił. Nie chciałam was zostawić w Kanadzie.

- Och, Lidio, ale z ciebie kłamczucha. Zrobiłaś to z tego samego powodu co ja. Chciałaś być po zwycięskiej stronie.

Kocie oczy Lidii otworzyły się szerzej. Była drobna i śliczna, z bladą, delikatną twarzą i ogromną szopą czarnych włosów. A raczej byłaby śliczna, pomyślała Kait, gdyby na jej twarzy nie malowało się wieczne poczucie winy i skrytości.

- Z tego samego powodu co ty? - mruknęła pod nosem Lidia. - Chcesz powiedzieć... Ojciec cię tu sprowadził...?

- Przyszłam z własnej woli, żeby do was dołączyć - oznajmiła stanowczo Kaitlyn. - Joyce kazała mi zamieszkać w tym pokoju.

Rzuciła worek marynarski na zaścielone łóżko.

Spodziewała się ze strony Lidii gestu zrozumienia. Zamiast tego dziewczyna patrzyła na nią tak, jakby Kait postradała zmysły.

- Przyszłaś tu z własnej woli... - Po czym przerwała i pokręciła głową. - No, cóż, w jednej kwestii się nie mylisz - powiedziała. - Mój ojciec wygra. On zawsze wygrywa.

Odwróciła wzrok i wzgardliwie uniosła wargi w kącikach. Kaitlyn przyjrzała się jej z namysłem.

- Dlaczego jesteś w Instytucie? Przecież nie jesteś telepatą, prawda?

Lidia zbyła ją wzruszeniem ramion.

- Ojciec chce, żebym tu była. Chyba po to, żeby Joyce miała mnie na oku.

Nie odpowiedziała na moje pytanie, pomyślała Kaitlyn; Gabriel uważał, że skoro Kait pochwyliła myśli rudego mężczyzny, to mogła mieć przynajmniej znikome zdolności telepatyczne. Kaitlyn wyczuwała teraz nastrój Joyce, a nawet więcej. Nie była w stanie powiedzieć, o czym dokładnie myśli dziewczyna, ale wyłapywała jej nastawienie.

Jestem telepatką? Ja myśl była dziwna i niepokojąca. To, że mogła rozmawiać w myślach z przyjaciółmi, nie liczyło się; Gabriel ich połączył. Ale umiejętność rozpoznawania tego, co czują ludzie, to zupełnie inna sprawa.

Teraz wyłapywała, że Lidia ma sporo na głowie. Może pociągnąć ją za język?

- Jak tu jest? - zapytała Kaitlyn jakby nigdy nic.

Lidia zrobiła jeszcze bardziej wzgardliwą minę, po czym wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Poznałaś już innych?

- Nie, ale w drodze do Kanady widziałam ich projekcje astralne.

- I pewnie na żywo jeszcze mniej ci się spodobają.

- To może mnie przedstawisz? - zasugerowała Kait. Niespecjalnie interesowali ją studenci, ale chciała poznać

panującą tu rutynę - coś, z czego by mogła wywnioskować, gdzie pan Zetes trzyma kryształ. Każda informacja mogła się okazać użyteczna. Uznała, że przy zawieraniu znajomości ze studentami będzie pewna siebie i arogancka. Nie chciała, żeby pomyśleli, że się ich boi.

- Chcesz ich zobaczyć? Lidia wyraźnie się ich bała.

- Pewnie. No, dalej, pokaż mi tych psycholi - odpowiedziała szybko Kaitlyn; w odpowiedzi spotkał ją słaby, pełen podziwu uśmiech. - Chodźmy na wycieczkę po zoo.

Na korytarzu wpadły na Joyce. Popatrzyła na nie, a potem zapukała energicznie do drzwi prowadzących do pomieszczenia, który kiedyś grupa Kait się uczyła. Joyce, nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi.

- Wstawać! Renny, szkoła; Mac, za dziesięć minut zaczynasz testy. Jeśli chcecie zjeść śniadanie, to się pospieszcie.

Przeszła parę kroków i otworzyła kolejne drzwi.

- Bri! Szkoła! Frost! Testy!

Kaitlyn miała doskonały widok na pierwszy pokój. Ledwie stłumiła okrzyk.

Boże, w głowie się nie mieści.

Pomieszczenie zmieniono na sypialnię - czy raczej coś w tym rodzaju. Przypomina pokój w noclegowni, pomyślała Kaitlyn. Nie, gorzej. Pokój w jakimś opuszczonym budynku, jednym z tych, które pokazują w wiadomościach. Na jednej ścianie wypisano sprejem słowa „Stop strachowi”. Zasłony były zerwane, a jedna z szyb w alkowie stłuczona. W tynku na ścianie widniała duża dziura. Drzwi też były zniszczone.

Poza tym pokój był brudny. I nie chodziło tylko o kask motocyklowy ani słupki drogowe na podłodze, ani o beżowe ciuchy udrapowane na meblach czy filiżanki pełne petów. Dywan był usiany okruskami ciastek, popiołem, chipsami. Wszystko było pokryte warstwą błota. Kaitlyn zaczęła się zastanawiać, jak to zrobili w tak krótkim czasie.

Z łóżka podniósł się chłopak w bokserkach. Był wysoki i chudy jak patyk. Miał włosy obcięte tak krótko, że był prawie łysy, oraz ciemne, wścibskie oczy. Skinhead? Zastanawiała się Kaitlyn. Wyglądał na płatnego zabójcę. Jego umysł przypominał jej o rudowłosym mężczyźnie.

- Szakał Mac - wyszeptała Lidia. - Naprawdę nazywa się John MacCorkendale.

Oczy szakała, pomyślała Kaitlyn. Tak, to jest to.

Drugi chłopak był młodszy, mniej więcej w wieku Kaitlyn.; Miał skórę koloru kawy z mlekiem i drobne, szczupłe, ruchliwe ciało. Jego twarz była wąska, rysy czyste i ostre. Okulary na nosie wcale nie sprawiały, że wyglądał na mniejszego twardziela. Inteligentny dzieciak, który zszedł na złą drogę, pomyślała Kait. Mózg całej operacji. Nie potrafiła wyczuć jego nastroju.

- To Paul Renfrew, Renny - wyjaśniła szeptem Lidia.

Po czym się uchyliła, bo Szakał Mac rzucił w nią swoim wysokim buciorom rozmiar dwanaście.

Kaitlyn też się uchyliła. A potem się wyprostowała i zamarła, gdy ogromny gość ruszył w ich stronę.

- Co tu robisz? Czego chcesz? - warknął Kaitlyn prosto w twarz.

O Boże, pomyślała. Miał przekłuty język. Czymś, co wyglądało jak metalowa śruba.

Renny też do nich podszedł, lekko jak ptaszek. Patrzył na nią z rozbawieniem i złościwością. Obszedł Kaitlyn dokoła i złapał ją za włosy.

- Au! Pali! - powiedział. - Ale kształty są w porzo. - Przejechał dłonią po pupie Kait. - Na żywo wygląda lepiej.

Kaitlyn zareagowała bez zastanowienia. Obróciła się na pięcie i trzasnęła Renny'ego w policzek. Aż mu się okulary przekrzywiły.

- Nigdy więcej tego nie rób - syknął przez zęby.

Przypomniała sobie wszystkie te chwile, kiedy nienawidziła przedstawicieli gatunku męskiego. Chłopacy, z ich wielkimi łapskami i szerokimi, obleśnymi uśmiezkami... Cofnęła rękę, gotowa uderzyć go jeszcze raz.

Szakał Mac złapał ją od tyłu za rękę.

- Hej, ona się bije! Podoba mi się. Kaitlyn się wyrwała.

- To dopiero początek - oznajmiła i posłała mu złośliwy uśmiezek.

Nie zgrywała się. Mówiła szczerze. Obaj parsknęli śmiechem, chociaż Renny rozcierał sobie policzek.

Kaitlyn się odwróciła.

- Chodź, Lidio. Przywitamy się z innymi. Dziewczyna stała skulona przy schodach.

Wyprostowała

się teraz odrobinę i szybko podbiegła do drugich drzwi, które wcześniej otworzyła z krzykiem Joyce. Kiedyś mieszkali tam Rob z Lewisem.

Drzwi były uchylone. Lidia je pchnęła. Kaitlyn była gotowa na kolejną porcję destrukcji.

Nie rozczarowała się. Również tutaj brakowało zasłon, ale zastąpiono je czarnymi prześcieradłami. Na komodzie stała zapalona czarna świeczka, z której ciekł воск, a na

lustrze namalowano szminką pentagram obrócony do góry nogami. Na podłodze walały się otwarte magazyny „Glamour”, a także sterty ciuchów i śmieci.

W każdym z dwóch łóżek była dziewczyna.

- Laurie Frost - powiedziała Lidia. Teraz była mniej przerażona. - Frost, to jest Kaitlyn...

- Wiem - przerwała jej ostro tamta i usiadła prosto. Miała blond włosy, jeszcze jaśniejsze niż Joyce. Była piękna, lecz wiecznie rozdęte nozdrza nadawały jej pogardliwy wygląd. Włożyła na siebie czerwoną koronkową bieliznę. Gdy uniosła rękę, by odgarnąć z czoła włosy, Kaitlyn zwróciła uwagę na długie srebrzyste paznokcie. Tkwiły w nich maleńkie kółeczka, niczym kolczyki.

- To jedna z nich. Tych, co uciekli - wysyczała groźbę Prost.

- No, przecież wiem - powiedziała druga dziewczyna. Kaitlyn ją rozpoznała. Jej zdjęcie było w teczce w gabinecie

pana Zetesa. Tylko że fotografia przedstawiała śliczną, zdrową dziewczynę z ciemnymi włosami i pełną życia twarzą. Wprawdzie dziewczyna nadal była ładna, ale w jakiś przedziwny sposób. Miała niebieskie pasemka i rozmazany czarny makijaż wokół oczu. Jej twarz była surowa, szczęka zaciśnięta wojowniczo.

Sabrina Jessica Galio, pomyślała Kaitlyn. W końcu się spotykamy.

- Ja też cię znam - odezwała się Kaitlyn spokojnym głosem. - Teraz nigdzie nie uciekam. Wróciłam.

Bri i Prost spojrzały po sobie, a potem znowu na Kait. Parsknęły obie paskudnym śmiechem. Śmiech Bri przypominał szczekanie, Frost - nerwowy chichot.

- Prosto w pułapkę na myszy - oznajmiła Frost i strzeliła długimi srebrzystymi paznokciami. - Jesteś Kaitlyn, tak? Jak na ciebie mówią, Kaitlyn? Kaitykins? Kitty? Kit Cat?

Bri przejęła od niej pałeczkę:

- Kit Kat? Pretty Kitty? Pretty Pretty? I znowu zanosły się śmiechem.

- Ojej, musimy zorganizować Kitty Kat gorące przywitanie - parsknęła Frost.

Jej duże jasnoniebieskie oczy były nieco zamglone. Kaitlyn zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna jest na kacu? A może ci ludzie tacy po prostu są? *Bractwo* uważało, że są obłąkani. I Kaitlyn teraz to wyczuwała. Agresywni, złośliwi, ale niezbyt skupieni. Jakby coś rozpraszało uch uwagę. Nie byli podejrzliwi, nie zadawali właściwych pytań.

I nie miała pojęcia, jak się zachować, gdy pokazywali na nią palcami i chichotali jak przedszkolaki.

- Sabrina i Frost, ruszać się! - Z korytarza doszedł ich głos Joyce, niczym uderzenie bicia. Dziewczyny nie przestały chichotać. Joyce przepchnęła się koło Kaitlyn, i zaczęła na nie wrzeszczeć i zbierać ciuchy z podłogi.

Kaitlyn pokręciła głową i posłała Joyce spojrzenie pełne wyniosłego osłupienia. Następnie odwróciła się do Lidii.

- Chyba już dość widziałam - skwitowała i wyszła.

Kilka minut później Joyce przyszła do pokoju Lidii. Jej zwykle gładkie włosy były rozczochrane. Miała rumieniec na twarzy, ale jej akwamarynowe oczy patrzyły twardo jak zawsze.

- Możesz *dzisiaj* zostać w pokoju - powiedziała do Kaitlyn. - Nie kręć mi się na dole, jak będę robiła testy.

- Nie ma sprawy. W ogóle nie spałam wczoraj w nocy.

- Miłej drzemki - rzuciła ponuro Joyce. Zaskakująco szybko na piętrze zapanowały cisza i spokój.

Lidia, Renny i Bri poszli do szkoły, a Szakal Mac i Frost byli chyba na testach. Drzwi do pokoju Gabriela były zamknięte na klucz.

Kaitlyn położyła się na swoim starym, dobrze znanym łóżku - i dopiero wtedy do niej dotarło, jaka jest zmęczona. Była wycieńczona, kompletnie wyprana nie tylko z energii, ale także z

emocji. Miała zamiar odpocząć, ale nie zasnąć. Chciała przemyśleć plan działania, ale natychmiast zapadła w sen.

Obudziła się dużo później. Pokój wypełniało ciepłe, rozproszone popołudniowe światło. W uszach dzwoniła jej cisza.

Wstała i musiała się złapać poręczy, bo zakręciło jej się w głowie. Oddychała wolno i trzymała głowę spuszczoną, aż poczuła się lepiej.

A potem zakradła się pod drzwi.

Nadal cisza. Podeszła do schodów i przekrzywiła głowę, nasłuchując dźwięków z dołu. Cisza. Zeszła ostrożnie na dół.

Jeśli Joyce ją zobaczy, to powie, że zrobiła się głodna. Ale Joyce się nie pojawiła. Na dole nikogo nie było. No, dobrze, tylko bez paniki. To idealna okazja. Od czego najlepiej zacząć? Gdybym była wielkim, brzydkim kryształem, gdzie bym się schowała?

Może w sekretnym pokoju w piwnicy? Ale Kaitlyn nie mogła się tam dostać. Tylko Lewis umiał znaleźć ukrytą sprężynę w boazerii. A może w domu pana Zetesa w San Francisco? W tej chwili te miejsca były poza jej zasięgiem.

Zaraz... Joyce nie chciała, by Kaitlyn była świadkiem testów. Trzeba sprawdzić laboratorium, pomyślała.

Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętała. Dziwaczna maszyneria, parawany ozdobione muszelkami, fotele i kanapy, półki na książki i wieża stereo. Nie było tu graffiti. Kaitlyn szybko zajrzała do każdej z przegródek wzdłuż ścian, ale i tak wiedziała, że kryształu tam nie ma. Natknęła się na jeszcze jeden przyrząd.

Ciekawe na czym polegają ich moce? Pomyślała i wyobraziła sobie każdego z poznanych studentów. Zapomniała zapytać Lidię. Gabriel *wspomnił coś o tym*, że Prost jest jasnovidzem, ale reszta... Założę się, że potrafią robić jakieś dziwaczne rzeczy.

Ruszyła w stronę laboratorium na tyłach, ale okazało się, że jest zamknięte. Aha!

Nigdy wcześniej nie zamykano tych drzwi. To bardzo podejrzane.

Jednak radość szybko zniknęła, gdy dotarło do niej, co to znaczy. Jeśli drzwi są zamknięte, to nie dostanie się do środka.

Chyba że... Joyce zawsze trzymała klucz do domu na tablicy ogłoszeń w kuchni. Każdy, kto wychodził, mógł go stamtąd wziąć. Zdarza się, że te same zamki montuje się w drzwiach zewnętrznych i wewnętrznych. Jeśli klucz tam nadal jest... i jeśli pasuje...

Chwilę później znalazła się w kuchni pogrążonej w *ciszy*. Jej palce nerwowo krążyły po ramie tablicy ogłoszeń. Były tam mnóstwo kurzu, zdechła mucha... oraz klucz.

Eureka! Modliła się, kiedy biegła z powrotem do laboratorium. Przystawiła klucz do zamka i mała go nie upuściła z nerwów.

Musi pasować, musi pasować...

Klucz wszedł gładko do zamka. Pasuje! Poruszyła nim. Przekręcił się!

Drzwi ustąpiły. Kaitlyn weszła do środka.

W laboratorium panował półmrok - kiedyś był to garaż i miał tylko jedno małe okienko.

Kaitlyn zamrugła, starając się rozpoznać kształty. Wolą nie zapalać światła.

Tu również były półki z książkami oraz różny sprzęt. Pomieszczenie ze stali niczym sejf bankowy.

Klatka Faradaya.

Kaitlyn przypomniała sobie, jak Joyce jej o tym opowiadała. Było to pomieszczenie do całkowitej izolacji w trakcie eksperymentów. Dźwiękoszczelne, zatrzymujące fale elektroniczne. Trzymali tu Gabriela.

Kaitlyn przypomniała sobie, jak błagała Joyce, by nigdy jej w tym nie zamknęła.

Zaschło jej w ustach. Próbowwała przełknąć ślinę, ale jej gardło odmówiło współpracy.

Podeszła do szarej, stalowej bryły pomieszczenia z wyciągniętą ręką, jakby była niewidoma. Jej palce zetknęły się z chłodnym metalem.

Gdybym była kryształem, kryłabym się dokładnie tutaj. W miejscu osłoniętym, chronionym. Wystarczająco dużym, by wszyscy mogli się zgromadzić wokół mnie.

Palce Kaitlyn przesunęły się po metalu. Zniknął gdzieś cały jej spokój w obliczu zagrożenia. Serce łomotało jej w piersiach jak szalone. Jeśli kryształ naprawdę tu jest, to musi go zobaczyć. Lecz tak naprawdę wcale nie chciała go zobaczyć. Nie chciała być sam na sam z tą rzeczą... w ciemnościach...

Kaitlyn dostała gęziej skórki, kolana się pod nią ugięły, ale palce nadal szukały. Natknęły się na coś w rodzaju klamki.

Dasz radę. Dasz radę.

Nacisnęła.

Usłyszała coś, jakby kliknięcie drzwi. Uświadomiła sobie, że to ktoś otworzył drzwi do laboratorium.

Rozdział 6

Co robi szpieg przyłapany na gorącym uczynku? Kait ścisnęło w żołądku. Rozpoznała głos, nim *jeszcze* obróciła się na pięcie i zobaczyła sylwetkę w drzwiach.

Mężczyzna stał w świetle. Szerokie ramiona, proste linie. Długi płaszcz.

- Znalazłaś coś interesującego? - zagadnął pan Zetes i machnął laską ze złotą główką.

O Boże. Kaitlyn znowu zaczęło dzwonić w uszach. Nie była w stanie odpowiedzieć. Nie była również w stanie się ruszyć, choć serce biło jej tak szybko, że aż cała się trzęsła.

- Chciałabyś zobaczyć, cci jest w środku? Powiedz coś, idiotko. No, powiedz coś, cokolwiek. Jej wyschnięte wargi w końcu się poruszyły.

- Ja... nie. Ja... ja tylko...

Pan Zetes zrobił krok do przodu i włączył górne światło.

- No, dalej. Rozejrzyj się - powiedział.

Kaitlyn nie była w stanie oderwać wzroku od jego twarzy. Gdy zobaczyła tego mężczyznę po raz pierwszy, wydał jej się wytworny i wielkopański. Białe włosy, orli nos i przesywające ciemnoniebieskie oczy sprawiały, że przypominał angielskiego barona. I nawet jeśli od czasu do czasu na jego twarzy pojawiał się ponury uśmiech, nie wątpiła, że ma złote serce.

Potem się okazało, że się grubo pomyliła.

Wpatrywał się teraz w nią z niemal hipnotyczną siłą. Wwiercał się jej w mózg, w gryzał się w nią. Miał większą moc od Gabriela. Wyważony, rozkazujący głos odbijał się echem w jej krwiobiegu.

- Pewnie, że chcesz to zobaczyć - powiedział. Kaitlyn nie zdołała wydusić z siebie żadnego protestu. Podszedł do niej wolnym krokiem. - Popatrz, Kaitlyn. To bardzo porządna klatka Faradaya. Patrz.

Głowa Kaitlyn odwróciła się wbrew jej woli.

- To zupełnie naturalne, że cię interesuje... I to, co jest w środku. Widziałaś już?

Kaitlyn pokręciła głową. Teraz, gdy już nie patrzyła w te oczy, wrócił jej głos - choć brzmiał słabo.

- Panie Zetes... Ja nie...

- Joyce mi powiedziała, że do nas wróciłaś. - Pan Zetes mówił rytmicznie... brzmiało to niemalże kojąco. - Bardzo się cieszę. Jesteś bardzo utalentowana. Gorliwa i dociekliwa.

Otworzył kluczem metalowe pomieszczenie i położył rękę na klamce. Kaitlyn znowu zatkało ze strachu. Błagam, myślała. Błagam, wcale nie chcę tego oglądać. Wypuść mnie.

- Twoja ciekawość zostanie teraz zaspokojona. Wejdz do środka, Kaitlyn.

Otworzył stalowe drzwi. W środku była pojedyncza lampa na baterie przyczepiona do ściany. Dawała dość światła, by Kaitlyn mogła zobaczyć przedmiot umieszczony pod nią.

Nie był to kryształ, lecz coś w rodzaju zbiornika zrobionego z ciemnego metalu.

Ze zdziwienia zrobiła krok do przodu. Ten zbiornik wyglądał niemalże jak kubek na śmieci, tyle że jedną ściankę miał umieszczoną pod kątem ostrym, w której znajdowały się drzwiczki. To wyglądało jak drzwi prowadzące do schronu.

Do zbiornika przyczepione były różne rurki, kable i węże. Jedno z urządzeń wyglądało jak elektroencefalograf, za pomocą którego Joyce mierzyła Kaitlyn fale mózgowie. Były tu też inne maszyny, których Kaitlyn nie rozpoznała.

A sam zbiornik wyglądał jak ogromna trumna.

- Co... co to jest? - wyszeptała Kaitlyn.

Z przerażenia zatykało jej dech w piersiach. To było czyste zło.

- Przyrząd do eksperymentów, moja droga - wyjaśnił pan: Zetes. - Do całkowitej izolacji.

Osłona Ganzfelda. Jeśli się tam kogoś wsadzi, będzie otoczony absolutną ciemnością i ciszą.

Żadne światło ani dźwięk tam nie docierają. Pojemnik jest wypełniony wodą, więc nie czuje się grawitacji ani własnego ciała. Wszystkie zmysły będą pozbawione stymulacji. W takich warunkach...

Zwariuje, pomyślała Kaitlyn. Odskoczyła gwałtownie od zbiornika. Wystarczyło, że tylko pomyślała o tym, że miałaby być pozostawiona sama sobie w absolutnej ciemności i ciszy i zrobiło jej się niedobrze.

Pan Zetes ją złapał i przytrzymał lekko, ale stanowczo.

- Będzie wolny od wszelkich impulsów z zewnątrz i zdolny rozwinąć w pełni swoje nadprzyrodzone zdolności. Dokładnie tak, jak wtedy, gdy Joyce zasłoniła ci oczy, moja droga. Pamiętasz?

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Wpatrywał się prosto w jej przerażone oczy. Oczywiście wiedziała, że mówi o niej. Jeśli się tam kogoś wsadzi, ten ktoś nie będzie czuł własnego ciała.

- Jak już wcześniej mówiłem, jesteś bardzo utalentowana, Kaitlyn. Chciałbym, żebyś w pełni rozwinęła swoje zdolności.

Ciągnął ją w stronę zbiornika.

Nie mogła mu się oprzeć, len wyważony głos, ten precyzyjny uchwyt... Była pozbawiona siły woli.

- Słyszałaś kiedyś o greckiej idei *arete*, moja droga? - Odstawił na bok swoją laskę i zabrał się do otwierania drzwiczek do schronu. - Samodoskonalenie, samorealizacja. - Pchnął ją w stronę otworu. - Jak myślisz, Kaitlyn, masz potencjał?

Przed nią ziała wielka czarna dziura. I Kaitlyn miała w nią wejść.

- Panie Zetes!

Głos brzmiał w uszach Kaitlyn cicho i jakby z oddali. Widziała tylko tę dziurę przed sobą.

- Nie wiedziałam, że pan tu jest. Co pan robi?

Ucisk na karku Kaitlyn trochę zelżał. Znowu była w stanie się ruszać. Odwróciła się i zobaczyła Joyce w drzwiach. Za jej plecami stali Gabriel i Lidia.

Kaitlyn stała tylko i mrugała, starając się zapanować nad oddechem. Pan Zetes podszedł do Joyce i powiedział coś przyciszonym tonem. Joyce spojrzała na niego ze zdziwieniem i pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nic się z tym nie da zrobić - powiedział pan Zetes z żalem, jakby mówił coś w rodzaju: „Przykro mi, ale musimy ograniczyć wydatki”.

Ma na myśli moją nieuchronną śmierć, uświadomiła sobie Kaitlyn i nagle z jej ust posypały się słowa:

- Joyce, przepraszam, wiem, że tu nie powinnam wchodzić, ale chciałam tylko zobaczyć, co zmieniłaś. Nie było nikogo, żeby zapytać, i... przepraszam. Nie pomyślałam.

Joyce spojrzała na nią, zawahała się i kiwnęła głową. Skinęła na pana Zetesa i zaprowadziła go do frontowego laboratorium, gdzie zaczęła z nim rozmowę. Kaitlyn poszła za nimi wolnym krokiem, nieufnie.

Nie wszystko usłyszała, ale to, co do niej dotarło, wystarczyło, by zabrakło jej tchu w piersiach. Joyce jej broniła przed tym mężczyzną.

- Może się przydać Instytutowi - powiedziała Joyce, a na jej opalonej twarzy malował się wyraz powagi oraz powściąganej desperacji. - Jest wyważona, sumienna i rzetelna. Nie tak, jak reszta... - przerwała. - Przyda nam się.

Gabriel się z nią zgadzał.

- Mogę za nią ręczyć - oznajmił. Kaitlyn ogarnęła fala wdzięczności. - Zbadałem jej umysł. Nie kłamie.

Nawet Lidia dorzuciła swoje, oczywiście na samym końcu.

- Ona tu chce zostać. A ja chcę z nią dzielić pokój. Proszę, pozwól jej zostać.

To przekonało nawet samą Kaitlyn. Brzmiali tak wiarygodnie.

I to wystarczyło, a przynajmniej na to wyglądało. Pan Zetes przestał kręcić z żalem głową i się zamyślił. W końcu poruszył szczęką, wziął głęboki wdech i kiwnął głową.

- No, dobrze, jestem gotów dać jej szansę - powiedział. - Moim zdaniem powinna okazać trochę więcej skruchy i żalu, ale ufam ci, Joyce. I zdecydowanie przyda nam się jeszcze jeden specjalista od zdalnego postrzegania. - Odwrócił się do Kaitlyn z życzliwym uśmiechem. - Idź z Lidią na kolację. Chcę zamienić słowo z Gabrielem.

Już po wszystkim, uświadomiła sobie Kaitlyn. Nie zabiją mnie; zamiast tego nakarmią. Jej serce powoli wracało do normalnego rytmu. Próbowwała nie pokazać po sobie, jak bardzo trzęsą się jej nogi, i pomaszerowała za Lidią.

Ale poruszała się wolno i nim opuściła laboratorium, usłyszała, że pan Zetes znowu zwraca się do Joyce:

- Daj jej szansę, ale bądź czujna. I niech Laurie Frost też ją obserwuje. Ona ma intuicję; jeśli coś jest nie tak, ona to wyłapie. Będę wiedział, co z tym zrobić.

Joyce westchnęła.

- Emmanuel... Dobrze wiesz, co myślę o twoim „ostatecznym rozwiązaniu”...

- Niedługo przydzielimy jej zadanie i wszystko się wyjaśni.

- Kait, idziesz? - zawołała Lidia z kuchni.

Kait wyszła za drzwi, ale tam się jeszcze raz zatrzymała, bo pan Zetes znowu się odezwał:

- Gabrielu, obawiam się, że byłeś nieostrożny.

Głos Gabriela brzmiał powściągliwie, ale buntowniczo.

- W kwestii odłamka? Nie słyszał pan jeszcze...

- Nie, nie w tej kwestii - powiedział niespiesznie pan Zetes. - Joyce mi wszystko wyjaśniła.

Na Ivy Street znaleziono półżywego mężczyznę. Ktoś wysał z niego całą życiową energię. Policja wszczęła dochodzenie.

- Och.

- To wielka nieostrożność. Coś takiego we własnej okolicy... Ten człowiek może zacząć mówić. - Głos pana Zetesa przeszedł w lodowaty szept. - Następnym razem lepiej dokończ robotę.

Kaitlyn cała się trzęsła, gdy w drzwiach stanął Gabriel. Ledwie zdobyła się na pełny wdzięczności uśmiech. *Dzięki.*

Wzruszył ramionami. *Me ma sprawy.*

Kolacja zaczęła się w ciszy. Joyce podała cheeseburgery z bekonem. Coś takiego nigdy by się wcześniej nie zdarzyło. Studenci siedzący dokoła długiego stołu mierzyli Kaitlyn wzrokiem, ale niewiele się odzywali. Kait miała wrażenie, że czekają na właściwy moment.

- To co robiliście dzisiaj po południu? - zapytała Lidia, siląc się na normalne zachowanie. - Ja byłam w Marin. W szkółce jeździeckiej - wyjaśniła ściszym głosem.

Jakoś nigdy nie mówiła głośno przy innych studentach.

- Ja spałem - mruknął leniwie Gabriel.

Nikt inny się nie odezwał. Joyce wyszła do kuchni. Kaitlyn zajęła się jedzeniem frytek.

Ciekawej, ci, których nie było w domu, brali udział w testach. Pojechali do San Francisco?

Do domu pana Zetesa - tam, gdzie jest kryształ?

Postanowiła, że później znajdzie odpowiedź na to pytanie.

To, co powiedziała Joyce, mogło być rzeczywiście zupełnie przypadkowe.

- Widziałaś pomieszczenie do całkowitej izolacji? Kaitlyn prawie się udławiła frytką.

- Owszem. Czy... czy ktoś już tam siedział?

- Pewnie, to fajowe - odpowiedziała Bri. Zamknęła oczy i oparła głowę. - Kosmiczny odjazd!

- W otwartej buzi miała przeżutego na wpół hamburgera.

- Zamknij paszczę, świnię! - warknęła Frost i rzuciła w nią frytką.

- Kto tu jest świnią? - odparowała Bri i wróciła do przeżuwania. - Cizia mizia. Kizia mizia.

Obie parsknęły śmiechem: Frost piskliwym, a Bri szorstkim.

Szakał Mac rzucił im ciężkie spojrzenie.

- Przestańcie w kółko nadawać - warknął. - Niedobrze mi się robi od tego wiecznego nadawania.

Jadł z determinacją. Kaitlyn pomyślała, że tak jedzą kojoty.

- Ja tam lubię, jak dziewczyny dobrze się bawią - powie dział Renny, wymachując frytką. - A ty nie, Mac?

- Nabijasz się ze mnie? Ze mnie się nabijasz, stary? Kaitlyn zamruwała. To było bez sensu; zupełnie nie łąpał

logiki Maca. Po wyrazie jego wąskich oczu zorientowała się, że był wściekły.

Wstał. Górował nad stołem. Przechylił się i wbił wzrok w Renny'ego.

- Pytałem, czy to ze mnie się nabijasz?! - ryknął. Renny rzucił mu w twarz hamburgera.

Kaitlyn zaniemówiła. Hamburger ociekał keczupem i sosem tysiąca wysp. Renny nie zapomniał o tym, by pozbyć się bułki, dzięki czemu Szakał Mac w pełni doświadczył uroku sosów.

Bri ryknęła śmiechem.

- Ale jazda, ale jazda! Jazda, gwiazda!

- Śmiesz cię to?

Szakał Mac złapał ją za włosy i wcisnął jej twarz w talerz. Chichot Bri przeszedł w krzyk.

Kaitlyn z trudem łąpała oddech. Frost zanurzyła swoje długie paznokcie w miseczce z surówki z kapusty i rzuciła soczystą garść w Maca, ale sałatka rozsypała się po stole i poleciała również na Renny'ego.

Renny złapał butelkę wody Clearly Canadian. Gazowanej.

- Pora się zbierać.

Gabriel chwycił Kaitlyn za ramię powyżej łokcia i prawie uniósł ją z krzesła, żeby uchronić ją przed fontanną wody z bąbelkami. Lidia też zdążyła się już ulotnić.

- Ale on ją zabije! - zachnęła się Kaitlyn. Mac nadal wcierał twarz Bri w talerz.

- No i?

Gabriel wyprowadził ją w stronę kuchni.

- Poważnie. Talerz chyba się już stłukł. On ją zabije.

- Powtarzam: no i?

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Kaitlyn się obejrzała. Szakał Mac przestał wduszać twarz Bri w talerz; Renny groził mu stłuczoną butelką po wodzie.

- O mój Boże...

- Chodź.

W kuchni Joyce zmywała naczynia.

- Joyce, oni...

- Tak jest co wieczór - ucięła krótko Joyce. - postaw.

- Co wieczór?

Gabriel się przeciągnął. Wyglądał na znudzonego. A potem się uśmiechnął.

- Chodźmy do mnie na balkon - powiedział do Kaitlyn. - Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Nie, ja... pomogę Joyce zmywać naczynia. Nie było sensu go oszukiwać, więc dodała:

Chcę z nią zamienić słowo: Nie miałam wcześniej okazji.

- Jak sobie chcesz. - W głosie Gabriela zabrzmiał nieoczekiwany chłód; jego twarz była jak z kamienia. - Później będę zajęty.

Po czym wyszedł.

Kaitlyn nie bardzo rozumiała, dlaczego nagle się rozgniewał, ale i tak nie mogła nic zrobić.

Była szpiegiem, musiała zdobyć informacje. Wzięła talerz do ręki i zapytała szorstko:

- Joyce, czemu to tolerujesz?

- Chodzi ci o Gabriela? Nie wiem, a ty czemu to tolerujesz?

- O nich.

Kaitlyn pokazała głową w stronę jadalni, skąd dochodziły krzyki i łomoty.

Joyce zagryzła zęby i zabrała się do szorowania tłustej patelni namydloną myjką.

- Bo muszę.

- Wcale nie. Wszystko jest teraz takie szurnięte. Mam wrażenie, że to wbrew twoim przekonaniom. - Kaitlyn mówiła

trochę bez ładu i składu. Być może nadal była pod wpływem stresu sprzed kolacji. Miała poczucie, że powinna się ugryźć w język, lecz zamiast tego plotła dalej: - Bo przecież masz zasady. Nie rozumiem...

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Pokażę ci!

Dłonią w mydlinach Joyce wyciągnęła coś spod pudełek po chińszczyźnie.

To był magazyn „Badania Parapsychologiczne”.

- Niedługo moje nazwisko się tu pojawi! W głównym artykule. I to nie tylko tu.

Twarz Joyce się wykrzywiła. Kaitlyn przypomniało się, jak wyglądała, gdy trzymała kryształ przy zakrwawionym czole Gabriela, próbując go zabić. W szponach maniakalnej pasji.

- Także w „Naturę”, „Science”, „Magazynie Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Badań Parapsychicznych”, „Dzienniku Medycznym Nowej Anglii” - bredziła Joyce. - W multidyscyplinarnych magazynach naukowych, najbardziej prestiżowych pismach na świecie. Moje nazwisko i mój dorobek.

Dobry Boże, ona jest obłąkanym naukowcem, pomyślała Kaitlyn. Ta tyrada była niemalże hipnotyczna.

- A to dopiero początek. Nagrody. Stypendia. Pełna profesura na dowolnej uczelni. Jak również drobiazg zwany Nagrodą Nobla.

W pierwszej chwili Kait pomyślała, że Joyce żartuje. Ale w szklistych akwamarynowych oczach nie było nawet trochę humoru. Joyce była nie mniej obłąkana niż ci psychole.

Czyżby ją również pan Zetes potraktował kryształem? i zastanawiała się oszołomiona Kaitlyn. A może to po prostu efekt przebywania blisko niego, jak wtórne palenie.

Wiedziała jednak, że nawet jeśli kryształ wypaczył i powiększył te żądze, ich źródło stanowiła Joyce. Kaitlyn w końcu się dowiedziała, co napędza tę dziewczynę; właśnie zajrzała jej w duszę.

- Dlatego to *znoszę*. Dlatego zniosę wszystko. Dla nauki. Oraz by dostać to, co mi się należy. Po czym tak nagle, jak wcześniej wzięta do ręki magazyn, którym wymachiwała Kaitlyn przed oczami, teraz go odłożyła. Odwróciła się z powrotem do zlewu.

- A teraz może pójdziesz na spacer - dodała głosem, który nagle zrobił się bezbarwny. - Sama sobie poradzę ze zmywaniem naczyń.

Otumaniona Kaitlyn opuściła kuchnię. Ominęła jadalnię, przeszła przez laboratorium i poszła na górę.

Drzwi do pokoju Gabriela były zamknięte na klucz. Powinna się była tego domyślić. Udało jej się obrazić dwie z trzech osób, które stanęły dzisiaj w jej obronie. Została jej jeszcze jedna, pomyślała filozoficznie i weszła do pokoju, który dzieliła z Lidią.

Ale Lidii nie udało się obrazić. Ani nawet z nią porozmawiać. Była w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Kaitlyn nie wiedziała, czy jest obrażona, czy też po prostu się boi. Nie wyszła spod kołdry.

Ale humory, pomyślała Kaitlyn.

To był bardzo długi i nudny wieczór. Kait słyszała, jak inni studenci wracali do swoich pokojów, potem z jednego dobiegł do niej odgłos telewizora, z drugiego wieży stereo. To nie pozwoliło Kaitlyn skupić się na tym, co pomogłoby się jej rozluźnić: na rysowaniu.

Ten pokój ją przygnębiał. Zniknęły z niego wszystkie jej rzeczy - wyrzucili je nowi studenci, gdy się wprowadzili. W kącie leżała maska Kruka, która należała do Anny. Niczym jakiś śmieć. Kait nie śmiała zawiesić jej tam, gdzie było jej miejsce.

W końcu postanowiła się wykąpać i iść w ślady Lidii. Wzięła długą kąpiel, wskoczyła do łóżka i pogрузzyła się w myślach.

Przez głowę przelatywały jej sceny z całego dnia. Twarz rudowłosego mężczyzny... Twarz Gabriela o świcie. Sylwetka pana Zetesa.

Muszę coś zaplanować, pomyślała. Mam do rozwikłania tajemnice. Muszę znaleźć kryształ. Lecz nie była w stanie na niczym się skoncentrować, jej umysł przeskakiwał z jednego tematu do drugiego.

Joyce mnie broniła... Oszukałam ją. Przełamała się, gdy jej powiedziałam, że ja i Rob ze sobą zerwaliśmy... Bo Robowi podoba się Anna.

Cóż za pomysł. Jakie to dziwne. Gabriel też się na to nabrał.

Jestem śpiąca.

Jej umysł znowu przeskoczył do czegoś innego. Myśli traciły spójność. Mam nadzieję, że Gabriel nie jest na mnie zły. Potrzebuję go. Boże, co ja mu nawygadywałam...

Czy to źle? Ze pozwoliłam mu myśleć, iż jestem w nim zakochana? To nie było przecież kłamstwo. Zależy mi na nim...

Jak samo jak na Robie?

To herezja. Ta myśl wyrwała ją z półsnu. Dotarło do niej, że oscylowała między snem a jawą. Lecz ta myśl nie dawała jej spokoju.

W Kanadzie dowiedziała się, że Gabriel ją kocha. Kocha ją szczerą, dziecięcą miłością. Nigdy by w to nie uwierzyła, gdyby nie zobaczyła, nie wyczuła tego podczas połączenia. Otworzył się przed nią, był taki ciepły, taki radosny...

...tak samo, jak dziś rano, podszepnął jej umysł.

Ale ona go wtedy nie kochała. A przynajmniej nie była w nim zakochana.

Nie można kochać dwóch osób jednocześnie. Nie można...

A może jednak?

Nagle Kaitlyn ogarnął lodowaty chłód. Jakby ktoś otworzył okno i wpuścił mroźny wiatr.

Jeśli kocham Gabriela... Jeśli kocham ich obu... Jak miałabym wybrać? *Jak mogłabym wybrać?*

Te słowa tak głośno dzwoniły jej w głowie, że zagłuszyły prawdziwy hałas w pokoju.

Zorientowała się dopiero, gdy zobaczyła cień na ścianie za sobą.

Ogarnęło ją przerażenie. Przez chwilę myślała, że to pan Zetes, ale zaraz zobaczyła przy swoim łóżku Gabriela.

O Boże, usłyszał moje myśli? Próbowała wznieść mur, ale się jej nie powiodło. Była wypalona.

Lecz Gabriel się uśmiechał i patrzył na nią spod ciężkich powiek. Nie uśmiechałby się w taki sposób, gdyby ją usłyszał.

- Teraz pójdziesz ze mną na balkon? - zapytał.

Kaitlyn spojrzała na niego, z wolna odzyskując panowanie nad sobą. Wyglądał wyjątkowo pięknie. I groźnie, jak wcielenie ciemności. Przyciągał ją z magnetyczną siłą.

Ale była taka wycieńczona. Odslonięta. Właśnie się zorientowała, że jest w sytuacji kryzysowej, która może roznieść na strzępy cały jej świat.

Nie mogę z nim iść. Postradałabym zmysły.

Gabriel przyciągał ją coraz mocniej. Chciała, by ją ktoś objął. Chciała, by on ją objął.

- Chodź - szepnął Gabriel i wziął ją za rękę. Musnął jej dłoń kciukiem. - Pocałuj mnie, Kait.

Rozdział 7

Kaitlyn pokręciła głową. O co jej chodzi? Gabriel wiedział, że chce z nim iść. W jakiejś starej książce, pewnie podczas jednego z napadów samotności, natknął się na to sformułowanie. „Zadrzała pod jego dotknięciem”. Podczas czytania uśmiechał się szyderczo, lecz teraz zobaczył to na własne oczy. Gdy wziął ją za rękę, Kaitlyn zadygotała. Więc w czym problem? *Jestem zmęczona*, wysłała szept. *Och, daj spokój. Zrelaksujesz się na balkonie.* Wyraźnie się z czymś szarpała. Była na niego wściekła z powodu tego zdarzenia podczas kolacji? A może...

Czyżby to miało coś wspólnego z tym, czego był świadkiem po południu?

Zmarkotniał. *Coś nie tak?* - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała bardzo szybko. Po drugiej stronie pokoju postać pod kołdrą się poruszyła.

Gabriel spojrział na nią z niesmakiem.

Kaitlyn wstała. Usta Garbiela niebezpiecznie zadrzały na widok jej koszuli nocnej. Flanelowy namiot zakrywający ją od szyi po kostki. Zupełnie co innego niż to, co pierwszej nocy miała na sobie Frost, kiedy przed nim paradowała. Tamta rzecz przypominała przezroczystą czerwoną chusteczkę do nosa. Dziewczyna dała mu też jasno do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zdjął z niej tę chusteczkę.

Dla kontrastu Kaitlyn nie odpięła nawet guzika pod szyją. Pomaszerowała żwawym krokiem do jego pokoju.

Tam się zatrzymała i powiodła wzrokiem po ścianach.

- Zajmujesz się graffiti? Prychnął. *Mac. Mieszkał tu.*

- A co powiedział, jak go poprosiłeś, żeby się wyniósł?

Gabriel nic nie odpowiedział. Czekał, aż się do niego odwróci. Wtedy posłał jej swój niepokojący uśmiech. *Nie prosiłem.*

- Aha. - Nie drążyła tematu. Wysłała przez rozsuwane przeszkłone drzwi na balkon. - Przyjemna noc - mruknęła.

Rzeczywiście. Noc była bezksiężycowa, a na niebie świeciły gwiazdy. Było ciepło, ale Kaitlyn skrzyżowała ramiona. Gabriel zamarł.

Może to było najprostsze wyjaśnienie. Może się pomyli]-., może wcale nie zadrzała. Albo zadrzała z innego powodu. Nie z pożądania... ale ze strachu.

- Kaitlyn - odruchowo użył słów, a nie myśli, zapewniając jej w ten sposób dystans, którego chyba potrzebowała. - Kait, nie musisz... Mam nadzieję, że wiesz?

Odwróciła się szybko, jakby ją zaskoczył. Lecz chyba nie bardzo wiedziała, co na to powiedzieć. Mógł przeszukać jej myśli - mógł je wyczuć nawet teraz, niczym srebrzystą rybę trzepoczącą się w czystej wodzie - ale tego nie zrobił. Postanowił, że poczeka, aż ona sama mu powie.

Wpatrywała się w niego intensywnie. Jej oddech był lekki.

- Och, Gabrielu. Wiem, wiem. Nie potrafię wyjaśnić... tylko... mam za sobą ciężki dzień.

Po czym zastłoniła sobie twarz dłońmi i zaczęła płakać. Włosy opadły jej do przodu. Szybko oddychała. Gabriel stał jak wmurowany.

Nieposkromiona Kaitlyn płacze? Tak rzadko jej się to zdarzało, że z początku osłupiał, nie wiedząc, jak zareagować. A gdy już mógł się ruszyć, przyszło mu do głowy tylko jedno.

Wziął ją w ramiona. Kaitlyn do niego przywarła. Całym ciałem, mocno. Po chwili uniosła zapłakaną twarz.

Pocałunki były delikatne, długie i bardzo namiętne. Czuł się dziwnie, całując ją bez dotykania jej umysłu, lecz nie miał zamiaru zainicjować kontaktu jako pierwszy. Poczekaj na nią.

Powstrzymywanie się przed kontaktem było niczym tortura, przyjemna tortura.

Dobrze było po prostu trzymać ją w ramionach i dotykać jej miękkiej skóry. Chciał przytulić ją mocniej - nie żeby ją skrzywdzić, lecz ochronić, by jej pokazać, że jest dość silny, by być jej obrońcą. Jej uroda była jak ogień i dziwna muzyka. Kochał ją.

A mógł ją kochać, bo nie należała do nikogo innego. I ona też go kochała. Wszystko dla niego poświęciła.

Na moment ogarnęło go poczucie winy, ale zaraz zapragnął przytulić ją jeszcze mocniej. By być jeszcze bliżej. Nie potrafił już nad sobą zapanować. Sięgnął po jej umysł, wysłał swoje myśli, by delikatnie pogłaskać jej zmysły.

Kaitlyn odskoczyła. Nie tylko odsunęła się od jego umysłu, ale także wyrwała mu się z objęć. Czuł, jak gorączkowo próbuje się przed nim zasłonić.

Był jak porażony, totalnie zdezorientowany i zdruzgotany. Zrobiło mu się zimno, bo ona zabrała ze sobą ciepło całego wszechświata.

Przeszyła go podejrzliwość, tym razem nie udało mu się jej uniknąć.

Co przede mną ukrywasz?

- Nic!

Była przestraszona, gorzej - w panice. Jego podejrzliwość rosła, aż przerosła ich oboje i zasłoniła wszystko inne. Jego słowa były niczym kamienie.

- Kłamiesz! Myślisz, że nie wiem? - Wbił w nią ciężkie spojrzenie. Zapanował nad oddechem. Mówił teraz gładkim, a jednocześnie twardym tonem. - Czy to przypadkiem nie ma nic wspólnego z dzisiejszą wizytą Kesslera?

- Rob był tutaj?

- Owszem. Zajrzałem mu w myśli i wytropiłem go w okolicach sekwoi na tyłach. Chcesz powiedzieć, że o tym nie wiedziałaś?

Oczy miała szeroko otwarte z zaskoczenia, ale zobaczył i wyczuł również odrobinę poczucia winy. Jego podejrzenia się potwierdziły.

- Co tu tak naprawdę robisz, Kaitlyn?

- Już ci mówiłam. Ja...

- Przestań mnie okłamywać! - Znowu musiał przerwać, żeby nad sobą zapanować. Gdy się ponownie odezwał, jego głos był lodowaty. - Wcale z nim nie zerwałaś, prawda? I nie chcesz do nas dołączyć. Jesteś szpiegiem.

- To nieprawda. Nie dasz mi nawet szansy...

- Powiedziałem im wszystkim, że zajrzałem ci w myśli, ale to nieprawda. Świetnie się spisałaś, wyprowadzając mnie w pole.

Jej oczy były wielkie i oszalałe z bólu.

- Wcale cię nie okłamałam - powiedziała łamiącym się głosem. - Skoro myślisz, że jestem szpiegiem, to czemu nie powiesz o tym Joyce, co? Czemu im wszystkim nie powiesz?

Był teraz spokojny. Blok lodu nic nie czuje.

- Nie, nie zrobię tego. Poczekam, aż sama się wydasz. Wcześniej czy później...

Prawdopodobnie wcześniej, bo staruszek nie jest głupi, a Prost to wyłapie. Sama się zdradzisz.

W jej oczach błysnął gniew.

- Mówię ci, że nie jestem szpiegiem - oznajmiła.

- Och, doprawdy? Jesteś wcieleniem szczerości. Wierzę w każde twoje słowo. - Szybko jak wąż nachylił się nad nią.

Jego twarz znalazła się bardzo blisko. - Nie ma sprawy, Tylko pamiętaj o jednym. Trzymaj się ode mnie z daleka. Jeśli pokrzyżujesz mi plany, skarbie, to nie będzie litości.

Po czym wszedł do pokoju. Chciał być sam ze swoją goryczą.

Kaitlyn wróciła do siebie. Do snu ukołysała się łkaniem.

- Bri, szkoła! Prost, testy!

Kaitlyn obudziły krzyki w korytarzu. Ogarnęła ją apatia. Czuła się jak idiotka. Miała zatkaany nos i bolała ją głowa. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Lidia, szkoła! Kaitlyn, ty też idziesz do szkoły. Wczoraj wszystko załatwiłam. Pójdę z wami.

Fajnie, że mi powiedziałaś, pomyślała Kaitlyn, ale wstała z łóżka. Miała wrażenie, że każdy mięsień w jej ciele krzyczy z bólu. Zataczając się, poszła do łazienki i zaczęła poranną rutynę niczym zaprogramowany robot. Najpierw prysznic.

Miło było poczuć ciepłą wodę na twarzy. Myślami jednak wciąż wędrowała do poprzedniego wieczoru i tego, co zaszło między nią a Gabrielem. Na początku było tak wspaniale, a potem... Nie mogła znieść jego oczu, które przypominały czarne dziury, oraz warg zaciśniętych w wąską kreskę.

Powinnaś się cieszyć, przecież o to chodziło, zaszepotało coś w jej głowie. Bo gdyby nadal było dobrze... To co byś zrobiła?

Sama nie wiedziała, co ma o tym myśleć. W żołądku czuła wielką gulę bólu. Była kompletnie zdezorientowana.

To bez znaczenia. Gabriel i tak jej teraz nienawidzi. I dobrze, bo będzie wierna Robowi.

Dobrze, pominąwszy jeden drobny fakt - Gabriel może na nią donieść panu Zetesowi, a wtedy ją zabiją.

Łzy mieszały się na jej twarzy z wodą z prysznica. Kaitlyn odwróciła głowę na bok i wzięła głęboki wdech. Nie zauważyła, że ktoś odsunął zasłonę prysznicową.

Zorientowała się dopiero, gdy szorstka dłoń zacisnęła się na jej mokrym ramieniu.

- Co ty wyprawiasz? *Wynoś się stąd!* - wrzasnęła Bri i dorzuciła wiązaną przekleństw.

Kaitlyn musiała pospiesznie wyjść z wanny, bo inaczej by się przewróciła. Siłą wyciągnięto ją spod prysznica. Naga, zszokowana, odrzuciła *włosy na plecy* i wbiła wzrok w Bri.

- Znowu zużyjesz całą ciepłą wodę! Jak wczoraj wieczorem! W skrócie do tego sprowadzały się wrzaski Bri, choć coś drugie słowo to było przekleństwo. Kaitlyn stała jak oniemiała.

Woda skapywała z niej na podłogę wyłożoną kafelkami.

- Wydaje ci się, że jesteś lepsza od nas, co?! - krzyknęła Bri. - *Ty mała lizusko, ty wazeliniaro. Myślisz, że możesz zużywać tyle wody, ile chcesz, co? Nigdy nie miałaś pod górkę.*

Mówiła niespójnie i Kaitlyn znowu odniosła wrażenie, że coś tu jest nie tak, jakby Bri sama nie bardzo wiedziała, co ją tak rozwścieczyło. Jedno było oczywiste - jej gniew i rozgoryczenie.

- Ulubienica wszystkich. - Naśmiewała się z Kaitlyn, kiwając głową w górę i w dół, z palcem na brodzie, niczym przedziwne uosobienie Shirley Tempie. - Taka milutka...

Coś w niej pękło. Kaitlyn zawsze miała wybuchowy charakter. Teraz czuła się tak, jakby ktoś przystawił zapalniczkę do rakietowego przyśpieszacza. Goła jak ją pan Bóg stworzył, złapała Bri i rzuciła ją o ścianę. Następnie ją odciągnęła i jeszcze raz rzuciła o ścianę. Bri rozdziawiła usta i błysnęła białkami oczu. Próbowała walczyć, ale wściekłość dała Kaitlyn nadludzką siłę.

- Wydaje ci się, że mnie zawsze wszystko przychodzi łatwo?! - wrzasnęła Bri prosto w twarz.

- Nie masz pojęcia, jak było w Ohio. Mieszkałam po niewłaściwej stronie torów, a na dodatek byłam czarownicą. *Myślisz, że nie wiem, jak to jest, kiedy ludzie się zegnają na twój widok?*

Gdy miałam pięć lat, kierowca autobusu odmówił zabrania mnie do szkoły. Powiedziałam, że mama powinna mnie polecić wodą święconą. A potem moja mama zmarła...

Łzy leciały Kaitlyn po policzkach. Jej gniew trochę zelżał. Rzuciła jeszcze raz Bri o ścianę i jej rozwścieczenie wróciło.

- Dzieciaki w szkole zakładały się, kto zdobędzie się na odwagę, podbiegnie i mnie dotknie.

Dorośli robili się nerwowi, jak ze mną rozmawiali. Pan Rukelhaus miał tik w oku, gdy byłam

w pobliżu. Dorastałam, czując, że powinno się mnie zamknąć w zoo. Więc mi nie mów, że nie wiem, jak to jest. Nie mów mi!

Złość z niej uchodziła, oddech z wolna się uspokajał. Podobnie jak oddech Bri.

- Farbujesz sobie włosy na niebiesko i robisz różne rzeczy, żeby się wyróżniać. Ale to twoja decyzja, sama to robisz, więc możesz to zmienić. Ja nie mogę zmienić swoich oczu. Nie mogę zmienić tego, kim jestem.

Nagle ogarnął ją wstyd. Puściła ramiona Bri i rozejrzała się za ręcznikiem.

- Jesteś w porzo - powiedziała Bri tonem, którego Kaitlyn u niej wcześniej nie słyszała.

Nie był to szyderczy głos twardzielki. Zdziwiona Kait spojrziała na nią.

- No, tak, jesteś w porzo. Myślałam, że jesteś świętoszkowatą cieniaską, ale tak nie jest. Poza tym uważam, że masz superoczy.

Po raz pierwszy, odkąd Kait ją poznała, Bri robiła wrażenie kogoś o trzeźwym umyśle.

- Ja... cóż, dzięki. Dziękuję. - Kait nie była pewna, czy powinna przeprosić, czy nie, więc powiedziała tylko: - Możesz iść teraz pod prysznic.

Bri kiwnęła do niej przyjaźnie.

Jakie to dziwne, pomyślała Kait, gdy jechała z Joyce do szkoły. Bri, Lidia i Renny byli w samochodzie Lidii. To dziwne, ale przez moment brzmiała dokładnie tak jak Marisol. Co powiedziała Marisol pierwszego wieczoru? *Myślicie, że jesteście tacy mądrzy, tacy uzdolnieni - lepsi od innych.*

Lecz my wcale tak nie myśleliśmy, to była tylko paranoja Marisol - specjalny rodzaj paranoi. Kaitlyn zerknęła spod opuszczonych rzęs na Joyce. Joyce też na to cierpi - wydaje jej się, że nie dostaje tego, co jej się należy.

Wszystkim im się zdaje, że cały świat na nich czyha - że są wyjątkowi i specjaliści, a wszyscy ich tępią. Czyżby kryształ tak wpływał na ludzi?

Jeśli tak, to nic dziwnego, że sami czyhają na cały świat.

Joyce zaprowadziła ją do szkoły. Kaitlyn znalazła się dokładnie w tej samej klasie, co wtedy, gdy przyjechała po raz pierwszy do Instytutu. Nauczyciele wytłumaczyli jej nieobecność wakacjami, co było odrobinę zabawne. Surrealistyczne, jakby była we śnie - nagle znalazła się znowu na zajęciach z literatury angielskiej z wszystkimi tymi dzieciakami, które wiodły ciche, nudne i zupełnie bezpieczne życie. Którym niesie nie przydarzyło w ciągu ostatnich paru tygodni; którzy nic a nic się nie zmienili. Kaitlyn czuła, że nie pasuje do tego świata. Uważaj, mała. Nie wpadaj w paranoję.

Podczas lunchu kilka osób zapytało, czy nie chciałyby z nimi usiąść. Nie jedna, lecz dwie grupy zaprosiły ją do siebie w stołówce. Kaitlyn o czymś takim zawsze marzyła, lecz teraz wydało się to trywialne. Szukała Lidu - chciała z nią porozmawiać.

Lidii nigdzie nie było widać. Bri i Renny tkwili w kącie, terroryzując uczniów i pewnie wyciągając od nich pieniądze na lunch. Kaitlyn była ciekawa, jak nauczyciele sobie z tym radzą.

Rozejrzę się na kortach tenisowych, pomyślała. Może Lidia tam się skryła, żeby zjeść lunch.

Właśnie przechodziła przed budynkiem sali gimnastycznej, gdy zobaczyła trzy osoby stłoczone przy drzwiach chłopięcej szatni. Wyglądali zza małej ścianki, która zasłaniała otwarte drzwi. Wyglądało na to, że w każdej chwili są gotowi się schować. O dziwo była wśród nich dziewczyna. Dziewczyna z długimi, ciemnymi warkoczami...

A najwyższy chłopak miał włosy, które w słońcu świeciły niczym stare złoto. Serce podeszło Kaitlyn do gardła i prawie ją zadławiło. Rzuciła się biegiem.

- Rob... co ty tu robisz? - wy dyszała, gdy znalazła się za ścianką.

Przytuliła go mocno. Był taki kochany, taki swojski i uczciwy, taki lojalny i niezawodny.... ukrywał przed nią swoich emocji za lodowatym murem. Czuła, jak bardzo mu na niej zależy i jak bardzo się cieszy, że nic jej się nie stało.

- Nic mi nie jest - powiedziała, odsuwając się od niego. - Naprawdę. I przepraszam, że uciekłam bez słowa. Sama nie wiem, czemu się na mnie nie wściekasz.

Lewis i Anna tłoczyli się obok. Uśmiechali się i poklepywali ją, jakby chcieli sprawdzić, czy to naprawdę ona. Wszyscy byli tacy kochani i dobrzy, i wyrozumieli...

- Martwiliśmy się o ciebie - dodała Anna.

- Wczoraj rozbiliśmy obóz niedaleko Instytutu. Liczyliśmy na to, że może wyjdiesz na zewnątrz - wyjaśnił Lewis. - Ale nie wyszłaś.

- Nie, nie wolno wam tego więcej robić - ostrzegła ich drżącym głosem Kait. - Gabriel was widział. Dzięki Bogu, nikt inny chyba was nie zauważył, ale sam Gabriel wystarczy.

- Więcej nie będziemy musieli tego robić - odparł z uśmiechem Rob. - Bo cię znaleźliśmy. Pójdiesz z nami, chociaż nie wiemy jeszcze dokąd. Tony nad tym pracuje.

Kait pomyślała, że w życiu nie był taki przystojny. Te jego bursztynowozłociste oczy, przejrzyste i pełne światła niczym niebo latem. Na jego twarzy malowało się zaufanie i szczęście. Czowała promienną energię jego miłości.

- Rob... nie mogę.

Miał taką minę, że poczuła się, jakby uderzyła w twarz niewinne dziecko.

- Możesz. - Ona nadal kręciła przecząco głową, więc dodał: - Czemu nie?

Po pierwsze, jeśli zniknę, to pomyślą, że ich zdradziłam, i zrobią coś mojemu tacie. Wiem to, wyczułam to w Joyce. Po drugie... Rob, to działa. Nabrałam ich. Uwierzyli, że wróciłam, żeby do nich przystać. Już zdążyłam rozejrzeć się po domu.

Nie śmiała im powiedzieć, co z tego wyniknęło; miała przeczucie, że gdyby Rob się dowiedział, przerzuciłby ją sobie przez ramię niczym jakiś jaskiniowiec i wyniósł z San Carlos.

- Ale czego ty tam szukasz? Kait, po co tam wróciłaś? - chciała wiedzieć Anna.

- Nie domyśliliście się? Szukam kryształu. Rob kiwnął głową.

Myślałem, że to coś w tym rodzaju. Ale przecież nie musisz tam mieszkać, Kait. Możemy się włamać, znajdziemy jakiś sposób.

- Nie, nie da rady. Rob, tam jest teraz piątka telepatów, poza Lidią i Joyce. I wszyscy są paranoicznymi psycholami. Dosłownie. Potrzebny nam ktoś w środku, kto może się bez przeszkód kręcić po domu, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Bo nie chodzi tylko o znalezienie kryształu. Chcę go zniszczyć. Muszę poznać rozkład dnia każdej osoby i wydedukować, kiedy możemy się tam dostać z odłamkiem. Nie możemy tak po prostu wparować tam któregoś popołudnia, wymachując nim nad głowami. Pozarzynają nas.

- Będziemy walczyć - stwierdził ponuro Rob i zacisnął mocno szczękę.

- I tak nas pozarzynają. To świry. Nie wiesz, co zrobili z domem... - Kaitlyn ugryzła się w język. Za dużo informacji na temat zagrożenia. Rob przerzucił ją sobie przez ramię. Szybko zmieniła temat. - Oni mi ufają. Dziś rano jedna dziewczyna powiedziała, że jestem w porządku. Joyce chce, żebym tam była, bo cała reszta jest trochę za bardzo odjechana. To się może udać. Tylko pozwólcie mi zrobić, co do mnie należy.

Rob wziął długi, głęboki wdech.

- Kaitlyn, nie mogę. To zbyt niebezpieczne. Wolałbym sam tam pójść i stoczyć walkę z Gabrielem...

Powiem, że byś wolał. - Ale tego nie zrobisz, pomyślała Kait. - Tam jest nie tylko Gabriel. Nie widziałeś reszty. Jest tam taki chłopak, Szakal Mac, który ma ponad dwa metry wzrostu, ogoloną głowę i mięśnie goryla. Nawet nie wiem, jaką ma moc. Wiem natomiast, że oni wszyscy są nabuzowani kryształem. Dzięki niemu robią się silniejsi, dzięki niemu robią się bardziej szaleni.

- W takim razie nie chcę, żebyś z nimi była.

Muszę. Ktoś to musi zrobić. Nie rozumiesz? - Kaitlyn poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Ostatnio często jej się to zdarzało. Postanowiła postąpić niegodnie i wykorzystać te łzy.

Pozwoliła im popłynąć i zwróciła się do Roba: - Nie ufasz mi?

Widziała, jak go to zabolalo. Jego oczy lśniły podejrzliwością, ale odpowiedział spokojnie na jej pytanie:

- Dobrze wiesz, że ci ufam.

- To dlaczego nie pozwalasz mi tego zrobić? Myślisz, że nie dam rady?

To było niesprawiedliwe, jak również nieuprzejme. Ale zadziało. Rob musiał przyznać, że Kait ze wszystkim da sobie radę. Ze tylko ona w ich gronie jest w stanie coś takiego przeprowadzić. Na koniec zgodził się również, że najprawdopodobniej właśnie to należy zrobić.

- To dlaczego się nie zgadzasz? Rob się poddał.

- Przyjdziemy tu w następny poniedziałek, żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

- To zbyt niebezpieczne, nawet, w szkole...

- Nie przeciągaj struny, Kait - powiedział Rob. - Albo pozwolisz nam regularnie sprawdzać sytuację, albo w ogóle tam nie wrócisz. Będziemy tu w poniedziałek w porze lunchu. Jeśli się nie stawisz, to po ciebie przyjdziemy.

Kaitlyn westchnęła. Dobrze wiedziała, że Rob się nie ugnie.

- No, dobrze. Dam wam znać, jak znajdę kryształ i będę wiedziała, o której godzinie możemy się do niego dostać. Aha, Lewis, dobrze, że mi się przypomniało. Jak się z powrotem zasuwa ukryty panel w boazerii?

Migdałowe oczy Lewisa rozszerzyły się z niepokojem.

- Co? Kait, nie mam zielonego pojęcia!

- Owszem, masz. Znasz się na tym. To twoja specjalność.

- Ale nie umiem tego ująć w słowa... Poza tym ty nie uprawiasz PK.

- Joyce ani pan Zetes też nie mają, a panel zrobiono dla nich. Jeśli nie wiesz, jak to powiedzieć, to prześlij mi myśli. Myśl o tym i pozwól mi słuchać.

Lewis nadal miał wątpliwości, ale zmarszczył czoło i zaczął myśleć.

- Dotykam palcami... to znaczy w myślach... za drewnianym panelem. O, tak. Tam jest coś z metalu. I jak jestem mniej więcej w tej pozycji...

- To się otwiera! Czyli sprężyny albo co to tam jest muszą być w tych miejscach. Świetnie to zwizualizowałeś, o które części panelu ci chodzi. - Kait utrwaliła obrazy, które jej przestał, zamroziła je w pamięci, po czym go uściskała. - Dzięki.

Wspomnę o tym Lidii, dodała bezgłośnie, bo twarz Lidii była w tle wszystkich myśli Lewisa.

Wyczuła jego zakłopotanie, niczym błąd rumieniec. *Dzięki, Kait.*

Następnie uściskała Roba. *Cieszę się, że przyszlście. Uważaj na siebie*, odpowiedział.

Tak by chciała zostać w jego bezpiecznych ramionach. Był taki dobry i tak bardzo jej na nim zależało.

Gdy uściskała Annę, posłała jej wiadomość przeznaczoną tylko dla niej. *Uważaj na niego, proszę cię, dobrze?*

Anna kiwnęła głową i zagryzła wargę, żeby powstrzymać łzy.

Kait odeszła, nie oglądając się za siebie.

Przez resztę dnia w szkole nic ciekawego się nie wydarzyło, lecz Kait była wycieńczona. Po ostatnim dzwonku marudziła przy swojej szafce, gdy przez tłum przedarła się Bri.

- Pośpiesz się - powiedziała swoim męskim głosem. - No, chodź, Joyce czeka. Przysłała mnie po ciebie.

- A co, pali się? - zapytała nerwowo Kait.

Ciemne oczy Bri błyszczały, a policzki miała zarumienione z podniecenia.

- „Czarna Błyskawica” przystępuje do akcji! Pan Zetes ma dla nas zadanie.

Rozdział 8

Kaitlyn biegła w stronę samochodu Joyce ze ściśniętym żołądkiem. Nie wiedziała, do jakich zadań pan Zetes zmusza dzieciaki, ale była pewna, że nie będzie jej się to podobało. Okazało się jednak, że Joyce wcale nie miała dla nich żadnego zadania. Zabierała ich na zakupy.

Gabriela, Renny, Frost i Kaitlyn. Bri podrzucili do Instytutu. Zostawili ją na chodniku przed wejściem wrzeszczącą z wściekłości.

- To nie jej wina, ona po prostu nie ma odpowiedniego wyglądu - powiedziała całkiem spokojnie Joyce, gdy jechali w stronę autostrady. - Mówiłam jej, żeby sobie nie farbowała włosów na niebiesko.

Kaitlyn, ściśnięta pomiędzy Frost a Rennym na maleńkim tylnym siedzeniu, czuła się tak, jakby właśnie utraciła jedynego przyjaciela. Nie żeby mogła polegać na Bri lub jej ufać, lecz pozostała czwórka otwarcie demonstrowała swoją wrogość; Gabriel się do niej nie odzywał. Renny szeptał jej jakieś obsceniczne sugestie na ucho, a Frost uszczypnęła ją złośliwie, gdy Joyce nie patrzyła.

- Do czego nie ma odpowiedniego wyglądu? - zapytała słabo Kaitlyn.

'-^Zobaczycie. Joyce zawiozła ich do centrum handlowego i zaparkowała przed sklepem Macy's. Posłała Gabriela i Renny'ego do działu męskiego, a Kait i Frost do damskiego. Przeszły koło kolekcji Liz Claiborne, kierując się do Anne Klein.

- Wybierzemy dla każdej z was garsonkę. Myślę o Tedzie. W każdym razie coś brązowego. Coś bardzo konserwatywnego. Mikroskopijne rozcięcia w spódniczce.

Kaitlyn nie bardzo wiedziała, czy się śmiać, czy jęczeć z rozpacz. W życiu nie miała na sobie garsonki, więc powinna być podekscytowana. Ale tweed?

Gdy już ją na siebie włożyła, okazało się, że to nie takie straszne. Joyce związała jej włosy. Kait przyjrzała się z namysłem swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała bardzo poważnie z włosami upiętymi w kok i w okularach w rogowych oprawkach, niczym bibliotekarka z jakiegoś filmu.

Przemiana Frost była *jeszcze* bardziej niesamowita. Dziewczyna ubierała się w stylu, który Kait na własny użytek określała terminem „obszkodny” - coś pomiędzy obskurny i paskudny. Lecz w dwurzędowym garniturze z brązowej wełny wyglądała jak druga bibliotekarka - od szyi w dół.

- Jak wrócimy do domu, to pozbędziesz się tej szminki. W całości. Oraz połowy tuszu do rzęs - oznajmiła Joyce. - A to szcurze gniazdo na głowie uczeszysz w kok. I wyrzucisz gumę do kosza.

Również chłopcy byli zupełnie odmienieni. Mieli na sobie trzyczęściowe garnitury marki Mani i skórzane buty. Joyce zapłaciła za wszystko i wyprowadziła ich ze sklepu.

- Kiedy nam powiesz, co mamy zrobić? - zapytał Gabriel, gdy znaleźli się w samochodzie.

- Szczegółów dowiedcie się w domu. W skrócie chodzi o włamanie.

Żołądek Kaitlyn znowu się ścisnął.

- Co teraz? - zapytała Anna. Siedzieli w Taco Bell w Dały City. Tony obiecał znaleźć im dach nad głową u jednego ze swoich znajomych - w jego mieszkaniu w San Francisco. Lecz jeszcze nic nie znalazł, a Rob martwił się, że nie powinni dłużej mieszkać u Tony'ego. Dlatego spędzali jak najwięcej czasu poza domem, gdzie trudno było ich namierzyć.

Po raz pierwszy od zniknięcia Kaitlyn Rob był głodny.

Nigdy w życiu by nie pomyślał, że zostawi ją w Instytucie. Ta mała czarownica - nadal nie był do końca pewien, jak jej się udało go przekonać. Oczywiście, że da sobie radę, ale nawet jaja mogła spotkać tam śmierć.

Poprosiła go, żeby jej zaufała. To wystarczyło. Na Boga, będzie jej musiał zaufała. Nie było mu łatwo się na to zgodzić - nikt chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie to było trudne.

Zdecydowanie wolałby sam tam iść, ale...

Wierzę w ciebie, Kaitlyn Fairchild, pomyślał. Tylko błagam cię, uważaj na siebie.

Był tak głęboko pogrążony w myślach, że Anna musiała go szturchnąć. *Pytałam, co teraz, Rob?*

- He? Och, przepraszam. - Przestał saczyć cokolwiek. - Byliśmy zbyt zajęci obserwowaniem Kait, by zająć się Marisol. Chyba powinniśmy to teraz naprawić. Tony powiedział, że jego rodzice przyjdą do szpitala dopiero dzisiaj wieczorem, więc teraz jest dobry moment.

- Powinniśmy zabrać ze sobą Tony'ego? - zapytał Lewis. Rob się zamyślił.

- Nie, chyba nie. Byłoby mu za ciężko, gdyby się nam nie powiodło. Znajdziemy jakiś sposób, żeby się tam dostać.

Tony ostrzegł, że Marisol mogą odwiedzać tylko członkowie rodziny.

Pojechali do szpitala St. Luke's w San Francisco. Rob wyjął odłamek kryształu ze schowka w samochodzie. Nie powinni tam go trzymać, ale musieli go wszędzie ze sobą zabierać. Wsunął odłamek do rękawa swetra - był mniej więcej tak długi, jak jego przedramię. Weszli do szpitala.

Na trzecim piętrze Rob zaczął pielęgnować pielęgniarkę.

- Przepraszam panią, czy mógłbym o coś spytać?

Gdy bajerował pielęgniarkę, Lewis i Anna zakradli się do pokoju Marisol. Po chwili rozdzwoniły się wszystkie telefony na oddziale i wtedy Rob do nich dołączył. Telefony to było dzieło Lewisa, który użył psychokinezy. Całkiem niezła sztuczka, zdaniem Roba.

Od razu w progach zarejestrował niepokój Anny. Starła się dzielnie to ukryć, ale niespecjalnie jej się powiodło. Uścisnęła jej ramię, a ona uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, ale zaraz spoważniała i odwróciła się od niego tak gwałtownie, aż się przestraszył.

Pewnie się zdenerwowała. Marisol nie wyglądała dobrze.; Rob pamiętał ją jako pełną życia, ładną dziewczynę z szopą rudobrązowych włosów i pełnymi, wydętymi wargami. A teraz...

Była chuda, podłączona do różnych rurek, przewodów i monitorów. Jej prawe ramię leżało na pościeli z nadgarstkiem wykręconym pod dziwnym kątem w stosunku do przedramienia.

Ruszała się - jej głowa nieustannie się wykręcała, brązowe oczy były półotwarte, ale niewidzące. Strasznie było słuchać jej oddychania: wydawało się, że zasysa powietrze przez zaciśnięte zęby. Jej twarz się przy tym wykrzywiała.

Zawsze myślałem, że ludzie w śpiączce pogrążeni są w ciszy, pomyślał roztrzęsiony Lewis.

Rob jednak wiedział, że tak nie musi być. Sam był kiedyś w śpiączce - po tym jak z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę spotkał się z górą. Latał na paralotni w Raven's Roost przy Blue Ridge Parkway, trafił na uskok wiatru i spadł. Złamał sobie obie ręce, obie nogi, szczękę, dość żeber, by przekłuć sobie płuca... oraz kręgosłup. Mówią na to „szyja wisielca”, bo dokładnie w tym samym miejscu łamie się człowiekowi szyjny odcinek kręgosłupa, gdy go wieszają. Nikt się nie spodziewał, że Rob to przeżyje, ale dużo, dużo później wybudził się ze śpiączki. Zobaczył siebie na wyciągu i swojego zapłakanego dziadka.

Całe miesiące przeleżał w łóżku. To wtedy odkrył swoją *moc*. *Może zawsze tam była*, a on nigdy po prostu nie siedział w spokoju na rytle długo, by ją dostrzec, a może był to dar od Boga, któremu zrobiło się przykro, że roztrzaskał chłopaka ze wsi o tamtą górę. Tak czy inaczej, to odmieniło jego życie. Dzięki temu zdał sobie sprawę z tego, jakim był zawsze palantem, jaki był samolubny i krótkowzroczny. Przed wypadkiem marzył o pozycji

rozgrywającego w drużynie Błękitnych Diabłów z Duke. Po wypadku chciał pomagać ludziom.

Teraz zalało go poczucie wstydu. Jak mógł zostawić Marisol w takim stanie choćby dzień dłużej, niż to było konieczne? Nie powinien był czekać, nawet po to, by sprawdzić, czy Kait jest bezpieczna. To niewybaczalne - nadal jest palantem i egoistą. Na niewiele się Marisol zdał.

Tym razem Anna ścisnęła jego ramię. *Żadne z nas nie zdawato sobie z tego sprawy, powiedziała Nie wiemy nawet, czy jesteśmy w stanie jej pomóc. Spróbujmy.*

Kiwnął głową. Jej praktyczne podejście dodało mu siły. Zerknął na obraz Madonny z dzieciątkiem nad łóżkiem i wyciągnął kryształ z rękawa. Był zimny, ciążył mu w dłoni. Nie bardzo wiedział, w którym miejscu go przyłożyć - LeShan tego nie powiedział. Przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym dotknął delikatnie jej czoła, tam, gdzie znajduje się trzecie oko. W potężnym centrum energetycznym.

Nic się nie wydarzyło.

Rob czekał i czekał. Czubek odłamka spoczywał pomiędzy strąkami rudawych włosów. Głowa Marisol nadal wykręcała się na boki. Jej poziom energii nie uległ zmianie.

- Nie działa - wyszeptał Lewis.

Strach kłuł Roba niczym drobne ukąszenia szerszeni. Czy to jego wina? Czy czekał zbyt długo?

A może kryształ potrzebuje wsparcia? - pomyślał.

Wziął głęboki wdech, zamknął oczy i się skoncentrował.

Nigdy nie był w stanie wytłumaczyć, jak dokładnie uzdrawiał - skąd wiedział, co należy zrobić. Lecz jakimś sposobem wyczuwał, co choremu dolega. Widział różne rodzaje energii przepływające przez ludzi niczym jaskrawokolorowe rzeki. Czasem była to stojąca, ciemna, cuchnąca woda, wszystko było zablokowane. Marisol była prawie całkiem zablokowana. Między jej mózgiem a ciałem istniała jakaś blokada i nic nie przepływało ani w tę, ani z powrotem.

Jak to naprawić? Może zacząć od trzeciego oka i wysłać energię poprzez kryształ z taką siłą, aż wypchnie te korki.

Złota energia spływała szeroką strugą z kryształu. Wirowała spiralnie, powiększała się, rosła przy każdym obrocie. A więc tak to działa!

Więcej energii. I jeszcze więcej. Niech płynie. Widział, jak życiodajne światło wpływa teraz w Marisol, a przynajmniej próbuje. Jej trzecie oko było zablokowane, jakby ktoś wsadził tam korek. Za nim gromadziła się energia, wirująca, złocista, coraz gorętsza. Rob poczuł, że palący pot występuje mu na czoło i zalewa oczy.

Nie zwracaj na to uwagi. Wyślij więcej energii. I jeszcze więcej, jeszcze.

Oddychał z trudem. To, co się działo, trochę go przestraszyło. Energia tworzyła teraz trzaskającą, wirującą masę, tak gorącą i gęstą, że ledwo utrzymywał kryształ. To było jak chwywanie sikawki przeciwpożarowej pod wysokim ciśnieniem. A wysyłanie kolejnych dawek energii przypominało pompowanie powietrza do opony roweru, która za chwilę pęknie. Coś musiało się stać.

I nastąpiło nagle. Niczym korek wystrzelający z butelki blokada ustąpiła. Cała nagromadzona energia przepłynęła przez jej ciało i wypłynęła stopami.

Wszędzie złocista poświata. Ciało Marisol było spowite w złoto. Energia krążyła, dudniła jej w żyłach i rozprzestrzeniała się coraz szybciej, buzowała jak w wannie z jacuzzi. Boże, to ją zabije. Za dużo energii.

Rob gwałtownie odsunął kryształ od jej czoła.

Ciało Marisol się przeżyło, plecy wyginały w łuk. Energia krążyła w jej żyłach. Teraz opadła z powrotem na łóżko i leżała w zupełnym bezruchu - po raz pierwszy, odkąd weszli do pokoju.

Miała zamknięte oczy. Rob nagle sobie uświadomił, że jeden z monitorów wyje niczym syrena alarmowa.

A potem, na jego oczach, jej prawa ręka się poruszyła. Palce się rozluźniły, nadgarstek odprężył. Znowu przypominała normalną rękę.

- O Boże - wyszeptał Lewis. - Popatrzcie.

Rob nie był w stanie się odezwać. Alarm nadal wył. A Marisol otworzyła oczy.

Nie do połowy. Otworzyła je szeroko. Patrzyły przytomnie. Rob wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej policzka, ale zamrugła z przestraszonym.

- Wszystko w porządku! - próbował przekrzyczeć alarm. - Wszystko będzie dobrze, rozumiesz?

Pokiwała z wahaniem głową.

Pod drzwiami rozległy się pośpieszne kroki. Do środka wpadła przysadzista pielęgniarka.

Wyhamowała dopiero przy samym łóżku.

- Co wy to robicie? Dotykaliście czegoś? - zapytała, biorąc się pod boki, po czym przyjrzała się uważniej Marisol.

- Proszę pani, ona się chyba trochę lepiej czuje - podział Rob i uśmiechnął się, bo nie potrafił się powstrzymać.

Pielęgniarka patrzyła to na Marisol, to na monitory. Roześmiała się, wyłączyła monitor i sprawdziła puls Marisol.

- Jak się czujesz, skarbie? - zapytała ze łzami w oczach. - Poczekaj minutkę, pójdę po doktora Hiratę. Twoja mama tak się ucieszy.

Po czym wybiegła z pokoju, zapominając o Robie i całej reszcie.

- Chyba lepiej będzie, jak się stąd wyniesiemy, zanim przyjdzie doktor Hirata - wyszeptał Lewis. - Może będzie chciał zadać nam parę niewygodnych pytań.

- Masz rację. - Rob uśmiechnął się do Marisol i dotknął jej policzka. - Dam znać twojemu bratu, że się obudziłaś, dobrze? Przyjedzie tu tak szybko, jak się tylko da. I twoi rodzice też...

- Rob - rzucił ponaglącym szeptem Lewis. Przedostali się na klatkę schodową na tyłach. Na podeście

drugiego piętra stanęli i radośnie pokleпали się po plecach.

- Udało się nam! - szepnął Rob, a jego głos odbił się echem po pustej klatce schodowej. - Udało się!

- Tobie się udało - poprawiła go Anna.

W jej ciemnych lśniących oczach kryła się mądrość. Nie miała racji, to kryształ uleczył Marisol, lecz pochwała sprawiła, że koniuszki palców Roba zapiekły go przyjemnie.

Uściskał Lewisa. Opanowało go szczęście. Potem wziął w ramiona Annę i ogarnęło go coś innego. Coś silniejszego... Ciepłego.

Zgłupiał. Tylko raz coś podobnego czuł - gdy znalazł Kaitlyn żywą w piwnicy u pana Zetesa. Przypominało ból, ale to nie był ból.

Odsunął się, zszokowany i zawstydzony. Jak mógł poczuć coś takiego do kogokolwiek poza Kaitlyn? Jak mógł sobie pozwolić czuć nawet odrobinę w ten sposób?

W dodatku wiedział, że Anna wie i że jest zdenerwowana, bo unikała jego wzroku. Zastaniała przed nim nawet swoje myśli. Pewnie budził jej wstręt. I nic w tym dziwnego.

Cóż, jedno nie podlegało wątpliwości. To się już nigdy więcej nie powtórzy, nigdy przenigdy. Po drodze na dół odzywał się tylko Lewis.

- Dobra, to tutaj - powiedział Gabriel.

Był to imponujący budynek obłożony kamieniem. Stał przy jednokierunkowej ulicy w finansowej dzielnicy San Francisco. Przez okute w metal drzwi Kait widziała strażnika w małej budce.

- Joyce powiedziała, że strażnik nie będzie się nas czepiać. Mamy się wpisać, używając nazwisk, które nam podała. Kancelaria prawnicza nazywa się Digby, Hamilton i Miles. Mieści się na szesnastym piętrze.

Mówiąc to, nie spojrzął nawet na Kaitlyn. Nie zerknął też na nią, gdy weszli do środka. Wyglądało na to, że przestała dla niego istnieć. Lecz Joyce kazała im wchodzić w parach i Kait miała wejść z Gabrielem. Starła się zrobić to równie beznamiętnie jak on.

Strażnik miał na sobie czerwony mundur. Rozmawiał przez telefon komórkowy. Gabriel przejrzał papiery na kontuarze i wpisał się do książki gości. Potem przyszła kolej na Kait. Starannie napisała w odpowiedniej rubryce: „Eileen Cullen, Digby, Hamilton and Miles, 16 oraz 11.17. 11.17” to była godzina wejścia.

Frost i Renny też się wpisali, po czym wszyscy poszli po podłodze wyłożonej mozaiką do wind z brązu. Facet w dzinsach właśnie polerował metal. Kaitlyn wbiła wzrok w swoje porządne buty marki Amalfi z brązowej skóry, gdy czekali na windę. Miała wrażenie, że trwało to całe wieki.

Gdy znaleźli się w środku, Gabriel nacisnął duży czarny guzik szesnastego piętra. Winda ruszyła z miejsca, wolno, z szumem.

Renny parsknął śmiechem, a Frost wydała z siebie całą serię chichotów, z trudem łapiąc powietrze.

- Wiecie, jak się wpisałem? - zapytał Renny, łomocząc w drzwi windy. - Wpisałem się jako Jimi Hendrix. A w rubrykę firmy wpisałem Dewey, Cheatum i Howe. Łapiecie? Firma prawnicza Dewey, Cheatum i Howe?

- A ja się wpisałam jako Ima Pseudonim - oznajmiła Frost.

Serce Kaitlyn szarpnęło się mocno i zaczęło dudnić. Spojrzała na nich zbulwersowana. Wyglądali teraz normalnie: Frost miała elegancko uczesane włosy i po jednym kolczyku w każdym uchu, a Renny wyglądał jak asystent w dziale księgowości. Lecz pod spodem nadal byli tymi samymi kompletnymi obłąkańcami.

- Powariowaliście? - syknęła. - Jeśli strażnik spojrzy na tę stronę w książce gości... Boże, albo jeśli następna osoba zerknie powyżej własnego wpisu... To już po nas. Po nas. Jak mogliście coś takiego zrobić?

Renny machnął tylko na nią ręką i złożył się wpół ze śmiechu. A Frost uśmiechnęła się szyderczo.

Przerażona Kait odwróciła się do Gabriela. To był czysty odruch, nie powinna była. Bo on, nawet jeśli jeszcze chwilę temu sam był przerażony, teraz tylko wzruszył ramionami i posłał jej ironiczny uśmiezek.

- Niezłe - mruknął do Renny'ego.

- Wiedziałam, że tobie nie zabraknie poczucia humoru - prychnęła Frost i przejechała srebrnym paznokciem po szarym, wełnianym rękawie marynarki Gabriela.

Przesunęła dłoń w górę aż po odprasowany biały kołnierzyk koszuli i zaczęła się bawić jego ciemnymi włosami za uchem.

Kaitlyn spiorunowała ją wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. A następnie wbiła wzrok w przyciski na panelu windy. Była wściekła. Nie podobało jej się to zadanie. Nadal im nie powiedziano, co dokładnie mają zrobić - gdzie mają się włamać. Nie wiedziała nawet, na czym polegają parapsychologiczne zdolności Frost i Renny'ego. Jakby tego było mało, teraz martwiła się dodatkowo tym, z jakim szaleństwem mogą jeszcze wyskoczyć.

Drzwi windy się otworzyły.

- Niezła dziura. - Renny parsknął śmiechem.

Gabriel rozejrzał się z uznaniem. Ściany były obłożone boazerią z jakiegoś pięknego, czerwonawożółtego drewna, a na podłodze połyskiwał ciemnozielony marmur. Przez szklane drzwi Kait zobaczyła salę konferencyjną.

Gabriel zerknął na mapę, którą dostali od Joyce.

- W prawo.

Minęli pozostałe drzwi - nawet one wyglądały kosztownie - i weszli do holu wyłożonego ciemnozieloną wykładziną. Zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami. Były bardzo duże i ciężkie, wyglądały na metalowe, ale gdy Kaitlyn ich dotknęła, okazało się, że to drewno. Były zamknięte na klucz.

- To tutaj - oznajmił Gabriel. - Renny, do roboty.

Lecz Renny gdzieś zniknął. Frost, która stała z tyłu, powiedziała:

- Musiał iść do łazienki.

Z trudem zachowywała powagę.

Kaitlyn zacisnęła pięści. Widziała graffiti w Instytucie, potrafiła się domyśleć, co tam teraz robi.

- Co teraz? - warknęła do Gabriela. - Słuchaj, pójdziesz po niego czy ja mam to zrobić?

Gabriel ją zignorował, ale zauważyła, że *zacisnęła szczękę*. Ruszył w stronę łazienki, lecz w tym samym momencie wyszedł z niej Renny z miną niewiniątka.

- Spodziewałbym się - powiedział Gabriel do Kaitlyn, nawet na nią nie patrząc - że nie chcesz, żeby się nam powiodło. W końcu nie jesteś tak naprawdę jedną z nas... prawda?

Kaitlyn zrobiło się zimno.

- Jestem, nawet jeśli ty w to nie wierzysz - odpowiedziała, starając się, by jej głos brzmiał przekonująco. - Może ja po prostu nie lubię kraść i nie chcę zostać przyłapaną i wsadzona za kratki. - Renny podszedł do nich buńczucznym krokiem, więc dokończyła ciszej: - Nawet nie wiem, po co w ogóle go ze sobą zabraliśmy.

- No to patrz i ucz się - odpowiedział Gabriel. - Renny, to tutaj. Od tego miejsca trzeba mieć przepustkę.

Urządzenie na ścianie wyglądało trochę znajomo. Było jak automatyczna pompa na stacji benzynowej, przez którą przeciąga się kartę, żeby zatankować.

- No, tak, magnetyczne - mruknął Renny. Poprawił palcem wskazującym okulary na nosie i przesunął dłonią po czytniku. - Ktoś patrzy? - zapytał.

- Nie, ale się pośpiesz - syknął Gabriel.

Renny raz za razem przesunął ręką po urządzeniu. Jego twarz była skupiona. Wyglądał jak małpa. Kaitlyn zagryzła wargę i patrzyła tam, skąd przyszli. Każda osoba wychodząca z windy miałaby ich jak na dłoni.

- Proszę, kochanie - szepnęła nagle Renny. I prawa połówka drzwi się otworzyła.

Więc teraz Kaitlyn już wiedziała. Renny uprawia psychokinezę; potrafi przesunąć przedmioty samą siłą umysłu, również drobne mechanizmy w środku czytnika.

Zupełnie tak jak Lewis, pomyślała. O co chodzi z tymi niewysokimi chłopakami?

Drzwi zamknęły się za nimi.

Gabriel poprowadził ich szybko w dół korytarza. Na lewo odchodził inny korytarz, na prawo mieli biurka sekretarek z komputerami. Za nimi widać było drzwi do biur z nazwiskami na tabliczkach z brązu. Na jednych drzwiach napis głosił „Pokój bitewny”.

Być może prawo jest bardziej ekscytujące, niż mi się wydawało, pomyślała.

Podeszli do innych dużych drzwi i Renny rozprawił się z nimi w taki sam sposób, jak z poprzednimi. Znaleźli się na kolejnym korytarzu.

Im dalej wchodzili, tym bardziej Kait była przestraszona: Jeśli ktoś ich tu złapie, to będą się musieli nieźle tłumaczyć. Joyce nie dała im żadnych wskazówek - Kaitlyn zrobiło się nie-dobrze na myśl, że Gabriel będzie chciał użyć swojej mocy.

- Czego my tak w ogóle szukamy? - zapytała szeptem Gabriela. - Trzymają tu Mona Lisę czy coś w tym rodzaju?

- Siedz cicho. Ktoś nas może usłyszeć.

Kaitlyn zatkało z wrażenia. Gabriel nigdy w życiu się tak do niej nie odezwał. I nawet słowem się nie zająknął na temat Renny'ego i Frost, a przecież to oni zachowywali się ryzykownie.

Zamrugła i zagryzła zęby. Postanowiła, że więcej się nie odezwie, choćby nie wiem co.

- To tutaj - powiedział w końcu Gabriel. Na tabliczce na drzwiach było napisane „E. Marshall Winston”. - Zamknięte -dodał. - Renny, otwórz. Pozostali, trzymają się na baczności. Jeśli nas ktoś tu zobaczy, to już po nas.

Rozdział 9

Kaitlyn patrzyła w dół korytarza z taką intensywnością, że po chwili zobaczyła czerwone powidoki. Pociła się w swojej białej jedwabnej bluzce. W końcu usłyszała trzaśnięcie i drzwi się otworzyły.

- Frost, trzymaj wartę tutaj. Renny, chodź ze mną.

Kaitlyn była pewna, że Gabriel chce, by ona również została na straży, ale nie był w stanie zmusić się do wypowiedzenia jej imienia. Weszła za Rennym do ciemnego biura. Gabriel właśnie zasuwiał rolety, izolując ich od panujących na zewnątrz ciemności.

- Pan Zetes myśli, że to jest w szafce na akta... Może w tej? - Podszedł do drewnianej szafki z mnóstwem szuflad na dokumenty. - Zamknij ją.

Renny się tym zajął. Gabriel przyświecał mu małą latarką. Serce Kaitlyn łomotało jak szalone, szybko i mocno. Była świadkiem przestępstwa - poważnego, ciężkiego przestępstwa. Jeśli ich złapią, to zostanie uznana za winną.

Renny cofnął się o krok, a Gabriel otworzył górną szufladę. Po czym zaklął cicho, zamknął ją i wysunął dolną.

Była pełna akt w zielonych teczkach, każda porządnie opisana. Kaitlyn patrzyła, jak światło latarki przesuwają się po etykietach: „Taggart i Altshuld - reorganizacja”. „Star Systema-pcs - fuzja”. „Slater Inc. - likwidacja. TCW- dofinansowanie”.

- Bingo! - wyszeptał Gabriel. Wyciągnął grube akta z napisem „TCW”. W środku pełno było szarych kopert. Gabriel zabrał się szybko do ich przeglądania. To były chyba tylko dokumenty, w większości biały papier pokryty czcionką Courier. Było tam też kilka broszurek z cienkiego papieru, na jakim jest drukowana Biblia.

O dziwo, to przyniosło Kaitlyn ulgę. Kradzież papierów nie wydawała się aż taka straszna, nawet jeśli to ważne papiery. To nie to, co kradzież pieniędzy czy biżuterii. Gabriel wypuścił powietrze z płuc z sykiem. Zaglądał właśnie do szarej koperty. Wyjął jej zawartość i rozłożył na blacie szafki. Oświetlił papiery latarką.

Kaitlyn zmrużyła oczy. Wyglądały jak jakieś certyfikaty czy coś w tym rodzaju - mięsisty, niebieskoszary papier z wymyślną ramką dokoła.

W końcu jej wzrok spoczął na słowach wydrukowanych niewielką czcionką. Gabriel przesuwał po nich palcem. „Wypłata na okaziciela...” O Boże.

Kaitlyn stała jak sparaliżowana. Litery skakały jej przed oczami. Wpatrywała się w cyfrę na obligacji. Była pewna, że to nie może być prawda, ale cały czas widziała to samo. „1000 000 USD”.

Milion dolarów. A tych papierów było mnóstwo. Cała sterta. Gabriel je przeglądał i liczył pod nosem.

- Dwadzieścia - oznajmił w końcu. - Zgadza się.

Zgarnął obligacje i je pogłaskał. Miał taką samą minę jak wtedy, gdy oprowadzono ich po posiadłości pana Zetesa. Niczym Scrooge podczas liczenia złota.

Kaitlyn zapomniała o swojej przysiędze milczenia.

- Kradniemy dwadzieścia milionów dolarów? - zapytała szeptem.

- To tylko kropla w morzu - odparł Gabriel i znowu pogłaskał obligacje. Następnie się wyprostował i zaczął szybko odkładać pozostałe tečky z powrotem do szuflady. - Nie chcemy, żeby dozorca albo ktokolwiek inny się zorientował dzisiaj wieczorem, że coś jest nie tak. Przynajmniej do czasu, aż opuścimy budynek.

Zamknął szufladę, a szarą kopertę wsunął sobie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Chodźmy.

Na korytarzu nikogo nie było i bez przeszkód dotarli do pierwszych drzwi. Z tej strony otwierało się je samym pchnięciem. Kaitlyn nie bardzo wiedziała, czy powinno być jej niedobrze, czy też powinna czuć ulgę. Popełnili przestępstwo, Gabriel miał pod marynarką skradzione dwadzieścia milionów dolarów. Najstraszniejsze było to, że im się upieczą.

Poprawka, mieli szczęście, bo im się upieczą. A to znaczy, że Kaitlyn nie skończy w więzieniu.

I dokładnie w tym momencie z pokoju przed nimi wyszło dwóch mężczyzn.

Serce podeszło Kaitlyn do gardła. Stopy przyrosły jej do podłogi, a ręce i nogi były jak sparaliżowane. Płuca ścisnęły się tak mocno, że zabrakło jej tchu.

Na początku miała nadzieję, że ci mężczyźni nawet na nich nie spojrzą. Spojrzeli. Potem liczyła na to, że odwrócą wzrok, nie będą się gapić - przecież już i tak była dość przerażona i dość się już w życiu nacierpiała. Nie chciała mieć nic wspólnego z kryminałem. Lecz mężczyźni nie odwrócili wzroku, a po chwili ruszyli w stronę grupki Kaitlyn. Ich wargi się poruszyły. Tylko tyle zarejestrowała Kaitlyn, że ich wargi zaczęły się ruszać. Nie słyszała, co mówią. Miała wrażenie, że wszyscy są w wodzie albo we śnie.

Po chwili jej mózg odtworzył ich słowa, jasno i wyraźnie:

- Co wy tu robicie? Nie jesteście tu na praktykach.

W ich głosach pobrzmiwała podejrzliwość, a przynajmniej przekonanie, że coś tu nie gra. Kaitlyn wiedziała, że jeśli szybko nie zareagują, to będzie już po nich.

Wymyśl coś, dziewczyno. Myśl, myśl.

Ale nic nie przychodziło jej do głowy, jej mózg był beużyteczny. Myślała jedynie o grubej kopercie pod szarą marynarką Gabriela, która wyglądała w jej oczach niczym słoń pochłonięty przez boa dusiciela.

I wtedy do akcji wkroczyła Frost.

Wyszła płynnym krokiem, kołysząc zalotnie biodrami. Kaitlyn zobaczyła, jak koleżanka uśmiecha się do mężczyzn i bierze ich za ręce.

Boże, nie teraz, pomyślała Kaitlyn. Flirt ich nie powstrzyma. Lecz to trwało tylko sekundę. Frost się odezwała i to wcale nie kokieteryjnie, ale pogodnie i radośnie:

- Wy musicie być... Jim i Chris - powiedziała, ściskając im dłonie, jakby był to ktoś, kogo właśnie poznała na popołudniowej herbatce. - Wujek mi o was opowiadał. Jesteście z zarządu spółki, prawda?

Mężczyźni spojrzeli na nią, a potem po sobie.

- My się tylko rozglądamy. Zastanawiam się nad pracą tutaj za parę lat. A to są moi koledzy. Wujek powiedział, że możemy tu wpaść, i dał mi swoją przepustkę.

- Wujek? - powiedział jeden z nich, już nie tak ostro jak wcześniej.

- Pan Morshower. Jest tu starszym partnerem. No, ale panowie to przecież wiedzą. Musicie go znać, skoro on was zna. Czemu nie zadzwonicie do jego domu i nie sprawdzicie, czy mówię prawdę? Potwierdzi moje słowa.

- Aha, Sam... - powiedział jeden z młodych mężczyzn słabym głosem. Zabawne, że Kaitlyn dopiero teraz zdała sobie sprawę z ich młodego wieku. - To znaczy, pan Morshower - Zerknął na kolegę i dodał: - Nie będziemy mu zawracać głowy.

- Ależ nie, ja nalegam - powiedziała Frost. - Proszę do niego zadzwonić.

Złapała słuchawkę z biurka jednej z sekretarek.

- Nie ma potrzeby - odezwał się drugi młody mężczyzna. Robił żalosne wrażenie. Kaitlyn dopiero teraz popatrzyła na nich jak na istoty ludzkie. Jeden był szatynem, a drugi brunetem, obaj mieli na sobie białe koszule i pasiaste krawaty zaciągnięte pod samą szyję, nawet o tej godzinie. Obaj byli bladzi i przepracowani.

- Jesteście panowie pewni? - zapytała Frost, udając rozczarowaną.

Odłożyła słuchawkę. Młodzi urzędnicy posłali jej blade uśmieški.

- Traficie do wyjścia? - zapytali, na co Frost przytaknęła. Kaitlyn bała się odezwać, ale zdobyła się na uśmiech, gdy mijali urzędników i szli korytarzem w stronę wind.

Płuca znowu jej się ścisnęły, ale tym razem było to ciśnienie od środka. Dusila się ze śmiechu. Ledwie była w stanie się powstrzymać, nim wszedli do windy.

Pokładali się ze śmiechu, ryczeli, płakali. Renny rzucił się na podłogę i zaczął walić piętami. Oszaleli. Niewiele brakowało, a Kaitlyn ucałowałaby Frost.

- Jak ty to zrobiłaś? - zapytała. - Joyce ci powiedziała?

- Nie, nie. - Frost zaprzeczyła. - Wszystkiego dowiedziałam się od nich. Wystarczyłby mi skrawek ich ubrań albo jeden z tych grubych, srebrnych długopisów, jakie mieli w kieszonkach.

- To były pióra Montblanc. I wcale nie były srebrne, lecz platynowe - powiedział cicho Gabriel.

Musieli się teraz uspokoić, bo dojechali już do holu na dole. Frost ostro pomaszerowała w stronę strażnika w czerwonym mundurze, żeby wypisać się z książki, ale Gabriel wypchnął ją na ulicę. Strażnik popatrzył za nimi, podszedł do drzwi.

- Dociśnij gaz - poprosiła Kait Gabriela, gdy wszedli do samochodu Joyce.

- To się nazywa psychometria - rzuciła Frost do Kait po kolejnej fali śmiechu. Gabriel jechał szybko ulicami San Francisco.

Kaitlyn słyszała o psychometru. To umiejętność odczytywania całej historii danej osoby na podstawie osobistych przedmiotów.

- Ale czemu wybrałaś pana Morshowera?

- Bo wyczułam, że oni się go boją. Coś... chyba dokumenty dotyczące fuzji... mieli wysłać do jego klienta FedExem najpóźniej dzisiaj, ale tego nie zrobili.

Frost nawijała bez zająknięcia, ale Kaitlyn się zorientowała, że koleżanka straciła już zainteresowanie tym tematem. Znikały też pomysłowość i rozsądek, którymi się wykazała w sytuacji kryzysowej. W ich miejsce wracała wewnętrzna mgła. Jakby inteligencja była narzędziem, którego ta dziewczyna używa, a potem - gdy już go nie potrzebuje - odkłada na bok.

To trochę ostudziło ekscytację Kaitlyn. Z wolna słabło poczucie, że udało im się błyskotliwie przechrzyć okrutny świat. Na moment aż jej od tego zabrakło tchu, ale teraz... Jesteśmy prawdziwymi bandziorami, pomyślała i westchnęła w duchu.

Poza tym moc Frost ją przerażała. Każdy, kto tak dużo może się dowiedzieć za pomocą dotknięcia, jest niebezpieczny. Frost już dotknęła Kait, gdy siedziały razem na tylnym siedzeniu w samochodzie Joyce. Czy coś odkryła?

Chyba jednak nie, stwierdziła Kaitlyn, bo inaczej Joyce by mnie z nimi nie wysłała. Może pomaga mi fakt, że nauczyłam się osłaniać myśli. Jednak będę musiała uważać - jeden fałszywy krok...

- Postaraj się nie dostać mandatu - powiedziała do Gabriela, który wziął właśnie ostry zakręt.

Nie odpowiedział Super. Znowu się przestał do niej odzywać.

- Zdałam? - Kait zapytała Joyce.

Joyce podniosła na nią wzrok. Na jej twarzy odmalowała się cała gama odcieni zdziwienia.

- O co ci chodzi?

- To był egzamin, prawda? Zdałam czy oblałam? Niewiele zrobiłam.

Było nad ranem, siedziały w pokoju Joyce przy ziołowej herbacie. Renny i Frost poszli na górę, żeby się napić czegoś mocniejszego. Gabriel poszedł z nimi. Nawet nie spojrzął na Kait.

- Owszem, to był egzamin - przyznała w końcu Joyce. - Przydadzą nam się te pieniądze, ale przede wszystkim chodziło o to, żeby się upewnić, że naprawdę jesteś jedną z nas. Jeśli kiedykolwiek najdzie cię ochota, by się nam przeciwstawić, to pamiętaj, że wzięłaś udział w przestępstwie. Policja tego nie pochwała. - Napiła się herbaty i dodała: - Ty i Gabriel zdaliście. A co do Frost i Renny'ego...

- Ale to oni wykonali większość roboty.

- Lecz z tego, co mówiłaś, również oni popełnili najwięcej głupstw. - Przez moment Kait myślała, że Joyce coś jeszcze powie, że jej się z czegoś zwierzy. Lecz Joyce wstała i rzuciła tylko krótko: - Od teraz skoncentrujemy się na innego rodzaju zadaniach. Być może długodystansowych. Mac jest w tym dobry.

- Naprawdę? - zapytała niewinnie Kait. - Na czym polega jego moc? Nie mam pojęcia, co robią on i Bri.

Wstrzymała oddech. Była pewna, że Joyce jej powie, lecz Joyce wzruszyła tylko ramionami i rzuciła:

- Jego specjalizacja to projekcja astralna.

Lewis zawsze mówi, żeby pozwolić umysłowi wykonać całą robotę, pomyślała Kait. Więc to Mac jest odpowiedzialny za projekcje astralne i telepatyczne ataki w drodze do Kanady.

- Widzieliśmy co najmniej cztery postaci - wyrwało jej się, nim zdążyła się nad tym zastanowić. - I była wśród nich Bri. Rozpoznałam ją.

Joyce ustawiała radio z alarmem na stoliku nocnym. Odpowiedziała z niecierpliwością:

- Mac był ich przewodnikiem, pomagał im się wydostać, a potem wrócić do własnych ciał. Ale każdy może stworzyć projekcję astralną przy użyciu kryształu... - Przerwała tak szybko, że jej drobne, białe zęby aż szczęknęły. Po chwili dodała: - Do łóżka, Kaitlyn. Już późno.

Wiedziała, że używali kryształu do projekcji, pomyślała Kait. Widziała go za ich astralnymi formami. Nie wspomniała jednak o tym Joyce. Zapytała tylko:

- No, dobrze, ale powiedz mi najpierw, co potrafi Bri?

- Nie. Idę spać.

I nic więcej nie udało się Kaitlyn z niej wyciągnąć. Na górze dobiegły ją głosy z pokoju Gabriela. Gabriel, Frost i Renny? Gabriel i Frost? Nie było jak się tego dowiedzieć.

- Szkoda, że nie umiem tworzyć projekcji astralnych - mruknęła pod nosem.

Lidia już oczywiście spała, więc nie było szansy na rozmowę. Nie mogła też zakraść się do ukrytego panelu na dole - znajdował się dokładnie naprzeciwko pokoju Joyce.

Nie pozostało jej w takim razie nic innego, jak położyć się spać... Minęło dużo czasu, nim zdołała się rozluźnić, a gdy się to stało, dręczyły ją koszmary.

Następnego dnia rano natknęła się na Frost, jak wychodziła od Gabriela z pokoju. Gabriel pojawił się chwilę później. Kaitlyn nadal stała jak skamieniała przy schodach. Właśnie wciągał na siebie T-shirt. Wyglądał wyjątkowo apetycznie, jak ktoś, kto dopiero się obudził. Włosy mocno mu się kręciły, jakby przeczesał je tylko palcami. W oczach pod ciężkimi powiekami czaiło się rozleniwienie, na wargach tańczył mu uśmiezek satysfakcji. Kaitlyn poczuła, że ma ochotę go zabić. Stał jej przed oczami obraz samej siebie, jak okłada go wałkiem do ciasta, i to wcale nie w zabawny, komiksowy sposób, tylko do pierwszej krwi.

Mina trochę mu się zrzędała na jej widok. Zmrużył oczy i się skrzywił. Posłał jej twarde spojrzenie i wyminął ją bez słowa.

- Dziś masz testy - powiedziała Joyce do Kaitlyn po śniadaniu.

Lecz nim zaczęła z Kait, Joyce najpierw przygotowała pozostałych studentów. Testy wyglądały inaczej niż kiedyś, zauważyła Kaitlyn. Wtedy eksperymenty Joyce miały naukowy charakter, jak coś, co nadawało się do opisanie w artykule. Teraz wszystko wydawało się nastawione na przestępczość.

Szakał Mac w dziurawych kąpielówkach został zaprowadzony do tylnego laboratorium, gdzie znajdowało się pomieszczenie do całkowitej izolacji. Kait usłyszała, jak Joyce mówi:

- Zajrzyj do sejfów w mieście i sprawdź, czy papiery tam są, A potem wybierz się trochę dalej i sprawdź ten pożar.

Projekcje astralne dla kryminalistów, pomyślała Kait. To w ten sposób się dowiedzieli, że w szafce na akta jest dwadzieścia milionów? Lecz skąd im w ogóle przyszło do głowy, żeby zajrzeć do tej szafki?

Renny ćwiczył PK, lecz nie za pomocą generatora liczb losowych jak kiedyś Lewis. Miał przed sobą zestaw zamków, jak również schematy tego, jak wyglądają w środku. Niczego nie dotykając, otwierał i zamykał zamki.

Aha, pomyślała Kait. No tak, to ma sens. Musi wiedzieć, którą część w środku przesunąć siłą umysłu, żeby otworzyć zamek. Psychokineza to nie magiczna wiedza na temat zamków, a tylko umiejętność pchnięcia zapadki w środku.

To wyjaśniało uwagę Gabriela na temat tego, że Lewis nie umiałby otworzyć zamka szyfrowego, który chronił kryształ - gdziekolwiek kryształ się znajdował. Kaitlyn założyłaby się o ostatnich parę doliczów, że pan Zetes miał jakiś szatańsko skomplikowany zamek szyfrowy, coś czego schematu nie udało się Lewisowi zdobyć. A to znaczy, że jedynym sposobem na otwarcie zamka było wymyślenie ośmiu cyfr szyfru.

Prr, dziewczyno. Spokojnie. Najpierw musisz znaleźć sam kryształ.

Gdy tylko ta myśl przemknęła Kaitlyn przez głowę, przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Gabriel i Frost siedzieli po drugiej stronie pomieszczenia, przy wieży stereo. On jednak był zajęty przeglądaniem płyt, a ona potrafiła coś powiedzieć tylko, jeśli dotknęła osoby. Zresztą wyglądało na to, że była zaabsorbowana studiowaniem Gabriela. Dziś wyglądała bardziej obskurnie niż paskudnie - miała na sobie pomarańczową bluzkę z tak dużym wycięciem, że można było niemal dostrzec pępek. Jej włosy znowu były rozczochrane, a wargi miała pociągnięte jaskrawopomarańczową szminką.

- Co robisz? - rzuciła Kait w kierunku Bri, żeby się czymś zająć.

Bri podniosła na nią wzrok.

- A co, nie widać?

Trzymała wahadełko nad mapą. Wahadełko wyglądało jak coś, czego ojciec Kaitlyn używał, by sprawdzić, czy jakaś powierzchnia jest idealnie pionowa - mały ciężarek swobodnie zwisający na sznurku. Kaitlyn patrzyła na mapę do góry nogami. Zdołała przeczytać tylko „Wyspy Królowej Charlotty”.

- Uprawiam różdżkarstwo - wyjaśniła Bri.

Na widok zdziwienia Kaitlyn posłała jej swój chłopięcy uśmiech.

- Myślałam, że do tego używa się rozdwojonego patyka.

- Nie, głupia. To do poszukiwania wody, złota czy czegoś w tym rodzaju. Wahadełko służy do poszukiwania rzeczy, które są daleko, cokolwiek by to było.

- Aha.

Na oczach Kaitlyn wahadełko zaczęło wirować nad pewną częścią mapy.

- Widzisz? Trzeba tylko skupić myśli na tym, co się chce znaleźć. Sasha uprawiał inny rodzaj różdkarstwa, ale nie używał patyka. Robił to za pomocą wieszaków w kształcie litery „l”.

- Sasha?

- No, tak, ty go nigdy nie spotkałaś. - Bri parsknęła śmiechem. - To był taki śliczny blondynek, pliczny ślondynek. Śliczninek.

- Należał do pierwszych studentów pana Zetesa? - zapytała szybko Kaitlyn. - W ramach badania pilotażowego, tak jak ty?

Bri była chyba na krawędzi jednego z tych swoich dziwacznych ataków, gdy wygadywała w kółko jakieś kompletne nonsensy, czym doprowadzała wszystkich do szaleństwa.

- Tak. On i Parte King. To nie jego prawdziwe nazwisko. Parte King był kurierem rowerowym w mieście, prawdziwy chudzielec. Obaj bardzo utalentowani telepaci.

- Co się z nimi stało? Nie żyją?

- Hę? Oni... - Nagle twarz Bri zlodowaciała, jakby ktoś wyłączył jej w środku światło. Podniosła wzrok na Kait i jej mina stwardniała. - No tak, nie żyją - odpowiedziała. - Sasha i Parte King. I co z tego?

Z tylnego laboratorium właśnie wróciła Joyce. Kaitlyn odsunęła się od Bri. Ogarnęło ją przygnębienie.

Studenci byli teraz dla niej miłsi, to prawda, ale przypominało to bulgotanie gejzera pomiędzy erupcjami. W każdej chwili groziło to wybuchem.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- To ochotnicy. Gabriel, pójdziesz po nich? - zapytała Joyce, która kręciła się po laboratorium z rozpiską w ręce. - i Frost, poćwiczysz na nich psychometrię. Kait, ty zaczniesz pracować nad zdalnym postrzeganiem.

Usadziła Kaitlyn i położyła przed nią zdjęcie. Była to zrobiona na błyszczącym papierze duża fotografia wbudowanego w ścianę sejfu.

- Skoncentruj się na zdjęciu i narysuj wszystko, co ci przyjdzie do głowy - powiedziała. - Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś w sejfie, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała Kaitlyn, tłumiąc falę protestu.

To nie są legalne badania. Kradzież coraz mniej jej się podobała.

- Przykleję ci to do czoła - dodała Joyce i wyciągnęła kawałek taśmy klejącej. To mocno Kait zaalarmowało i nie zdołała tego ukryć.

- Elektroda na moim trzecim oku? - zapytała na tyle lekkim tonem, na ile się dało. - Wiesz, co to jest. Nie byłaś wystawiona na działanie dużego kryształu, więc to ci pomoże zwiększyć swoją moc.

- No, to czemu nie wystawisz mnie na działanie dużego kryształu? - zaryzykowała Kait. - Od tych małych odłamków dostaję tylko bólu głowy i...

- Przykro mi, ale o tym decyduje pan Zetes. Nie życzysz sobie siebie nigdzie w pobliżu kryształu. A teraz się nie ruszaj.

Ton głosu Joyce jasno świadczył o tym, że jej cierpliwość się skończyła. Jej oczy przypominały kamienie szlachetne. Szorstko odgarnęła Kaitlyn włosy z czoła i przykleiła jej taśmę. Odprysk kryształu był zimny. Był większy niż kawałek, którego Joyce używała dawniej, być może dlatego, że teraz niczego już nie próbowała ukryć. Kaitlyn odniosła wrażenie, że ten jest wielkości ćwierćdolarówki.

Ponieważ wiedziała, skąd pochodzi, leciwie była w stanie powstrzymać się przed zdarciem go z czoła. Lecz zobaczyła Gabriela w drzwiach. Przyglądał jej się z rozbawieniem.

Chyba nie masz nic przeciwko kryształowi, co? W końcu jesteś jedną z nas...

Kaitlyn odparowała:

Ja nie jestem, ale ty najwyraźniej tak.

Zgadza się, skarbie. Jestem jednym z nich. Lepiej o tym nie zapominaj.

Kaitlyn zostawiła taśmę w spokoju.

Nie chciała jednak pomóc Joyce z sejfem. Wbiła wzrok w fotografię, a potem zamknęła oczy i zaczęła gryzmolić, robiąc przerwy, żeby się namyślić.

Rozumiała już teraz, jak studenci przeprowadzili atak w drodze do Kanady. Najpierw pewnie Bri ich odszukała za pomocą wahadełka. Potem Szakal Mac doprowadził ich projekcje astralne w odpowiednie miejsce. Mogli wtedy walczyć za pomocą psychokinezy na odległość. Proste jak drut. W ten sposób można terroryzować ludzi, nigdy się do nich nie zbliżając.

A teraz Joyce chciała, by ona dołączyła do tej długodystansowej fali przestępczości. Miała pomóc w wizualizacji sejfu, do którego chcieli się włamać.

Zaraz, zaraz.

Skoro może zajrzeć do sejfu, to czemu nie do pomieszczenia? Może mogłaby spróbować wizualizacji sekretnego pokoju pod schodami?

Nie otwierając oczu, Kait sięgnęła po nową kartkę papieru. Nigdy wcześniej nie próbowała wyobrazić sobie konkretnego miejsca, lecz zdalne postrzeganie miała teraz w małym palcu. Pozwól swoim myślom dryfować. Zablokuj wszelkie hałasy z zewnątrz. Niech ciemność się poprowadzi...

A teraz skup myśli na sekretnym pokoju. Wyobraź sobie, że podchodzisz do drzwi, wyobraź sobie korytarz w przytłumionym zielonkawym fluorescencyjnym świetle. Podejź do drzwi... I daj ciemności się poprowadzić...

Poczuła skurcz i swędzenie w ręce.

Jej dłoń zaczęła tańczyć po papierze, poruszając się bez jej udziału, podczas gdy Kaitlyn unosiła się w ciemnościach. Rysowała płynnie. Wstrzymała oddech. Starła się powściągnąć niepokój i nie myśleć o niczym ani niczego nie czuć.

No, dobrze, zwalniamy. Skończone? Mogę popatrzeć?

Nie mogła się już dłużej oprzeć pokusie. Otworzyła jedno oko, a potem oba. Szeroko. Przeszył ją dreszcz. Gapiła się na kartkę papieru, nie tę, na której jej dłoń nadal coś kreśliła, lecz na pierwszą, która rzekomo miała być tylko bazgrołami.

O Boże, co to jest? Co ja zrobiłam?

Rozdział 10

Rysunek był zupełnie nie w jej stylu. Przypominał komiks, straszny komiks z nowego gatunku. Na początku Kait pomyślała, że może przedstawia ją, gdy mści się na Gabrielu za to, co zrobił w nocy.

Lecz te podłużne łezkowate rzeczy przy krawędziach to były płomienie. Płomienie, ogień. Rysunek przedstawiał kulę ognia albo eksplozję, kolistą, z dymem buchającym na wszystkie strony i falami uderzeniowymi przemieszczającymi się na zewnątrz niczym zmarszczki wodne na powierzchni stawu.

A w środku tkwiła jakaś osoba. Niczym kot Itchy, w którego mysz Scratchy* wali z miotacza ognia. Machający rękami, z nogami rozrzuconymi w groteskowym tańcu.

Ha, ha.

Rzecz w rym, że rysunkowe przepowiednie Kait zawsze się sprawdzały, a to znaczy, że ktoś splonie. Może ktoś związany z tym sejfem? Kait próbowała odtworzyć swoje myśli, gdy bazgroliła na kartce. Za dużo ich było. Ataki telepatyczne, Kanada, różdżkarstwo Bri, Szakal Mac i projekcje astralne, psychokineza Renny'ego. Oraz sejf, choć o nim starała się nie myśleć.

Rysunek mógł być związany z każdą z tych rzeczy. Kait ogarnęły w związku z nim bardzo złe przeczucia. Sytuację dodatkowo pogarszał dokuczliwy, przybierający na sile ból głowy.

A drugi rysunek? Ten, który miał być wizualizacją sekretnego pokoju? Kait spojrzała na niego i miała ochotę huknąć pięścią w stół.

Śmieć! Nie dosłownie, ale rysunek i tak był bezużyteczny. Wcale nie przedstawiał wnętrza pomieszczenia, a już na pewno, nie było tam kryształu. Był to prosty wizerunek statku na rozkołysanych falach oceanu. Na pokładzie, zaraz pod żaglami, tkwiła choinka. Śliczna, mała choinka z girlandami i gwiazdą na czubku.

(* Itchy i Scratchy - bohaterowie kreskówki *Itchy & Scratchy Show*, którą oglądają często dzieci w serialu animowanym *Simsonowie*(przyp. tłum.)

Kaitlyn piekły oczy z bólu i z wściekłości. Pierwszy rysunek sprawił, że ogarnęła ją bezsilność. Drugi do niczego się nie nadawał.

A to znaczy, że jestem do niczego.

Nagle poczuła, że nie jest w stanie zapanować nad własnymi uczuciami. Zmięta rysunki ze złością i z całej siły rzuciła je we Frost. Jedna papierowa kulka uderzyła Frost w policzek, druga trafiła w jej ochotnika.

- Kaitlyn! - krzyknęła Joyce.

Frost zerwała się na równe nogi z jedną ręką przy policzku. Po czym ruszyła w stronę Kait z wyciągniętymi szponami.

- Frost! - zawołała Joyce.

Kaitlyn wystawiła nogę, żeby zablokować Frost. W szkole podstawowej nieźle się biła. Odganianie Frost sprawiało jej przyjemność. A jeśli Frost ją uderzy, to Kait odpowie tym samym. Ogarnął ją spokój. Stała tam wyprostowana niczym królowa, gotowa wymierzyć Frost kopniaka w klatkę piersiową.

- No, chodź, śnieżynko - kusiała. - Chodź do mnie!

- Już idę! - wrzasnęła Frost i rzuciła się do ataku.

- Gabriel, pomóż mi! Renny, zostań na swoim miejscu! - zawołała Joyce.

Joyce z Gabrielem odciągnęli Frost na bok i usadzili ją szorstko na krześle. Kait kusiała, żeby na nią skoczyć, ale się powstrzymała.

- Spokój - zaczęła Joyce głosem tak ostrym, że można by nim przeciąć stal. - Co się dzieje?

- Odbiło mi - stwierdziła Kaitlyn, której zupełnie nie było z tego powodu przykro. - Moje rysunki to śmieci.

- Plecie - mruknęła cicho Bri.

Kait ogarnęła ochota, żeby parsknąć śmiechem.

Joyce wpatrywała się w Kait z zaciśniętymi wargami i zmarszczonymi brwiami. Po czym gwałtownym ruchem zerwała jej taśmę z czoła.

- Jak się czujesz? - zapytała,

- Kiepsko. Głowa mnie boli.

- No, tak - mruknęła Joyce. - Idź na górę i się połóż. Ale najpierw podnieś z podłogi te papiery i wrzuć je do kosza.

Zesztywniała Kait pozbierała zmięte kulki papieru z ziemi. Potem, gdy Joyce zajęła się swoimi papierami, udała, że znowu rzuca nimi we Frost. Dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak, a Kait szybko wybiegła z pomieszczenia.

Na górze zamknęła się w pokoju i zaczęła się zastanawiać, co też ją naszło.

Zwariowała? Nie, oczywiście, że nie - to kryształ. Joyce użyła sporego odprysku kryształu i w efekcie Kaitlyn zaczęła się zachowywać jak psychole.

Muszę być sama nieźle szurnięta, bo dużo nie było trzeba, pomyślała. Może kiedyś Bri i reszta byli dużo normalniejsi niż ja. Szkoda, że ich wcześniej nie znałam...

Wypuściła powietrze z płuc. Starła się przeanalizować swoje uczucia. Naprawdę się tam wściekła. Miała w nosie konsekwencje swoich działań. Z przyjemnością wydrapałaby Frost oczy.

Cóż, to może nie było aż takie szurnięte. Ostatecznie...

Kaitlyn usiadła ciężko na łóżku. Próbowwała sobie wmówić, że nie zależy jej na Gabrielu - lecz jeśli jej na nim nie zależy, to dlaczego Frost wzbudziła w niej dzisiaj taką nienawiść?

Gabriel nie rzucił mi się na pomoc, pomyślała. Pewnie z przyjemnością przyglądał się bójce.

Kait roztarła sobie pulsujące skronie. Szkoda, że nie może wyjść na zewnątrz i położyć się pod drzewem. Potrzebne jej było świeże powietrze. Bezmyślnie bawiła się kulkami z papieru.

Podniosła głowę, gdy otworzyły się drzwi.

- Mogę wejść? Odwołali mi poranną lekcję jazdy konnej - wyjaśniła Lidia wyraźnie przygnębiona.

- To twój pokój - odpowiedziała Kaitlyn.

Nadal bawiła się papierowymi kulkami. Ścisnęła je razem. Zabrała je ze sobą, żeby Frost nie mogła ich wyjąć z kosza i się z nich naśmiewać, ale czy tylko dlatego? Teraz zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zadziałał instynkt samozachowawczy.

Jej rysunki nie były tak naprawdę bezużyteczne. Może powinna je zatrzymać.

- Co się dzieje? - zapytała Lidia.

Kait zmarszczyła brwi. Lidia chce rozmawiać?

- Głowa mnie boli - powiedziała krótko i wrzuciła papierowe kulki do szuflady.

A potem sobie przypomniała obietnicę złożoną Lewisowi; Zerknęła kątem oka na Lidię.

Drobna koleżanka wyglądała bardzo porządnie w swoim brązowym stroju do konnej jazdy. Ciężkie, ciemne włosy miała ściągnięte z tyłu, odsłaniając drobną, bladą twarz i zielone oczy. Porządna, bogata i... nieszczęśliwa.

- Masz chłopaka? - zapytała nagle Kait.

- He? Nie. - Zawahała się, po czym dodała: - Nie uganiam się za Gabrielem, jeśli o to ci chodzi.

- Nie, nie o to. - Kait nie miała ochoty rozmawiać o Gabrielu. - Tak sobie myślałam o Lewisie. Zwróciłaś na niego kiedykolwiek uwagę?

Lidia robiła wrażenie zaskoczonej, niemalże przestraszonej.

- Lewis! Chodzi ci o Lewisa Chao?

- Nie, o Lewisa i Clarka*. Pewnie że chodzi mi o Lewisa Chao. Co o nim myślisz?

- No, cóż... był dla mnie miły. Inaczej niż reszta waszej grupy.

- On też uważa, że jesteś miła. Powiedziałam mu... - Kaitlyn ugryzła się w język.

Boże, ten ból głowy totalnie ją ogłupił. Niewiele brakowało, a powiedziałyby, że obiecała wczoraj Lewisowi, że o nim wspomni w rozmowie z Lidią. Gorączkowo myślała teraz, jak inaczej zakończyć to zdanie.

- Powiedziała mu, że pewnie uważasz się za lepszą od niego i że go wyśmiejesz, jeżeli ci o tym wspomni. Ale to było dawno temu - dokończyła.

Oczy Lidii pociemniały.

- Wcale bym go nie wyśmiewała - oznajmiła. - Jesteś wredna. Powoli stajesz się taka jak oni - dodała i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

* Meriwether Lewis i William Clark - przywódcy pierwszej amerykańskiej wyprawy lądowej na zachód (1804-1806). Dotarli aż do wybrzeży Pacyfiku (przyp. tłum.).

Kaitlyn oparła się o zagłówek łóżka. Była przekonana, że szpiegowanie nie leży w jej naturze.

Nadal nie czuła się do końca sobą. Jedno było pewne - nie pozwoli Joyce wystawić się znowu na kontakt z kryształem. Pod jego wpływem traciła nad sobą kontrolę.

Jeszcze jedno nie ulegało wątpliwości. Nie potrafiła użyć swojej mocy do wizualizacji ukrytego pokoju na dole, a Joyce nie dopuścił ją nawet w pobliże tego miejsca. Nie pozostało jej więc nic innego, jak samej tam pójść.

Tylko kiedy?

Potarła sobie czoło, zrzuciła adidasy i się położyła.

Na początku zamknęła oczy tylko po to, by trochę zmniejszyć ból głowy, lecz szybko jej myśli zaczęły się uspokajać, a mięśnie się rozluźniły. Tym razem nie dręczyły jej koszmary.

Obudziła się znowu z poczuciem opuszczenia. W domu było za cicho, ciepłe powietrze było nieruchome.

Przynajmniej głowa już jej nie bolała. Niespiesznie wstała z łóżka i podeszła na palcach do drzwi.

Cisza.

Och, przecież nie zostawiliby mnie znowu samej. Chyba że to pułapka. Jeśli to pułapka, to nigdzie się stąd nie ruszam.

Ale miała przecież prawo zejść na dół. W końcu tu mieszka, jest pełnoprawnym członkiem grupy. Mogłaby zejść na dół, żeby wziąć sobie dietetyczny napój albo jabłko.

W takim razie - na dół.

Miała również prawo pokręcić się na dole. Mogłaby szukać innych; mogłaby czuć się osamotniona. Trzymała odpowiednie słowa na podorędziu.

- Joyce, chciałam tylko zapytać...

Ale Joyce nie było u siebie w pokoju.

- Hej, nadal prowadzicie testy...?

Lecz frontowe laboratorium było puste. Podobnie jak to na tyłach.

Tak samo jak kuchnia, jadalnia i salon. Kaitlyn odsunęła na bok zastony w salonie, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Nikt nie grał w zoškę ani we frisbee. Miała przed sobą jedynie żywopłot z jałowca i drzewa akacji. Nigdzie nie było widać nawet samochodu Joyce.

No, dobrze, nawet jeśli to pułapka, nie mogę przepuścić takiej okazji.

Serce podeszło jej do gardła i Kaitlyn zakradła się na palcach do wyłożonego boazerią przedpokoju pod schodami.

Środkowy panel, pomyślała i z poczuciem winy obejrzała się za siebie, na przeszkłone drzwi do pokoju Joyce. Musnęła palcami gładkie, ciemne drewno i znalazła rowek nad drzwiami.

No, dobrze, stoisz przed tym. Teraz trzeba znaleźć miejsce, które pokazał jej Lewis. Zamknęła oczy i się skoncentrowała. To nie były do końca obrazy, raczej przecucie tego,

jakie gesty powinna wykonać. Lewis znalazł coś mniej więcej na tym poziomie - a potem nacisnął to za pomocą umysłu. Ona będzie musiała nacisnąć palcami.

Następnie przesunął się w tę stronę oraz w dół i znowu nacisnął. Kaitlyn nacisnęła mocno.

Coś kliknęło.

Otworzyła oczy. Udało mi się! Naprawdę mi się udało!

Cała buzowała podnieceniem, które promieniowało od stóp w górę i wypełniało każdą część jej ciała. Zaimponowała sama sobie.

Środkowy panel zniknął, przesunął się w lewo. Zobaczyła prowadzące w dół schody. Były oświetlone tylko słabymi czerwonymi lampkami umieszczonymi na poziomie nóg.

Podniecenie szumiało jej teraz w uszach, ale Kaitlyn zignorowała je i nasłuchiwała. Nadal cisza. Dobrze. Schodzę.

Kiedy schodziła w czerwoną ciemność, czuła, jak opuszcza ją podniecenie. To nie było miłe miejsce. Gdyby była kilka lat młodsza, pewnie skojarzyłoby jej się z trollami.

Na dole obmacała ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Wiedziała, że gdzieś tam musi być. Nagle jednak cofnęła dłoń - za dużo światła to kiepski pomysł. Jeśli ktoś jest w pokoju na końcu korytarza, to mógłby ją zauważyć.

Lecz jeżeli nie włączy światła, to będzie musiała przejść całą drogę po ciemku. Na samą myśl o tym zmiękły jej kolana.

Nic na to nie poradzi. Napięła mięśnie, położyła rękę na ścianie i ruszyła przed siebie. Po chwili wystawiła przed siebie drugą rękę, by wyczuć ewentualne przeszkody. Nic nie widziała.

Każdy krok wymagał wysiłku. Coraz mocniej zagryzała usta. Czerwone schody za jej plecami coraz bardziej ją kusiły.

Boże, a co, jeśli ktoś przyjdzie i zobaczy, że panel jest otwarty, i go zamknie, a przy tym mnie w środku?

Ta myśl była tak straszliwa, że prawie obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem. Zamiast tego jednak skupiła całą swoją energię, by zmusić się do pójścia dalej. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden...

Jej palce natrafiły na drzwi.

Tak bardzo potrzebowała światła, że odruchowo sięgnęła po klamkę, nie sprawdzając, czy słychać coś ze środka. Ale jej palce natrafiły na coś w rodzaju kalkulatora wbudowanego w drzwi.

Co to jest? Czuła pod palcami rozmieszczone regularnie małe kwadraciki. To naprawdę przypominało kalkulator.

Ale z ciebie idiotka. Idiotka. Chyba nadal jesteś ogłupiała po porannych testach. A jeśli to jest zamek szyfrowy, to za tymi drzwiami...

To tam jest. Ta groteskowa rzecz z obscenicznymi naroślami. Jest za tymi drzwiami, tylko kilka metrów od niej.

Ostatnim razem nie skoncentrowała się na właściwej rzeczy. Próbowала zwizualizować wnętrze pokoju - Bóg wie czemu namalowała te bzdury. Może Joyce trzyma choinkę w pokoju z kryształem? Może jest tam żaglowiec w butelce? Zresztą teraz już wiedziała, o czym powinna myśleć.

O cyfrach. Potrzebny był jej szyfr do zamka. Z ukochanymi pastelami i wiernym szkicownikiem zdobędzie te cyfry.

Drzwi były zamknięte, górne światło zgaszone. Kaitlyn zarzuciła T-shirt na lampkę nocną, żeby stłumić światło.

Dobrze, to odpowiednia atmosfera. Głowę owinęła ręcznikiem, nogi podwinęła pod siebie i przyłożyła kredkę do papieru.

Nigdy tak szybko nie udało jej się oczyścić umysłu. Palce ją zaswędziały i zaczęły drętwieć. Poruszyły się. Ręka złapała kilka nowych pastel. Na kartce pojawiły się kolory.

Kilka minut później spojrzała na swoje dzieło.

Niewiarygodne. Nie-wia-ry-god-ne!

Jeszcze jeden statek z choinką.

Tym razem w kolorze. Żagle były śnieżnobiałe, deski pokładu w kolorze sienny, a spienione fale w trzech odcieniach błękitu. Na pokładzie dumnie przeżyła się seledynowa choinka z czerwonym łańcuchem i ochrowożółtą gwiazdą.

Rozwścieczona Kaitlyn zmięła papier i rzuciła nim w lustro.

Miała ochotę coś rozbić. Miała ochotę rzucić czymś cięższym.

Drzwi stanęły nagle otworem.

Wściekłość Kaitlyn natychmiast się ulotniła, a w jej miejsca pojawiło się przerażenie. Lidia im powiedziała. Przyszli po nią, Słyszała dudnienie kroków w korytarzu.

- Hej, Kait, czemu siedzisz po ciemku? - zawołała Bri, I nie czekając na odpowiedź, dodała: - No, chodź! Ubieraj się!

Po co? Na egzekucję? Zastanawiała się Kait. Usłyszała własny, przyciszony głos:

- Czemu?

- Bo świętujemy! Idziemy wszyscy do klubu! Szykuj się, Włóż najlepsze ciuchy.

Będzie tam mnóstwo chłopaków - dodała nieśmiało Bri. - Masz co na siebie włożyć? Jak nie, to coś ci pożyczę.

- Eee... nie trzeba. Mam co włożyć - rzuciła pośpiesznie Kaitlyn. Potrafiła sobie wyobrazić, jakie ciuchy mogłaby jej pożyczyć Bri. Lecz pośpiech Bri był zaraźliwy i Kaitlyn ruszyła w stronę szafy. - Mam czarną sukienkę... Ale co to za okazja?

- Dziś po południu wykonaliśmy zadanie - powiedziała Bri i potrząsnęła swoimi złączonymi dłońmi niczym bokser. - Astralne. Naprawdę ważne zadanie. Zabiliśmy LeShana.

- Spotkałem ją na schodach. Powiedziała, że was szuka - oznajmił kolega Tony'ego.

Rob, Lewis i Anna siedzieli w małym jednopokojowym mieszkanku. Rob zerknął na osobę stojącą za plecami znajomego Tony'ego, żeby sprawdzić, kto to.

- Tropię was od domu do domu - powiedziała.

Miała kręcone jasne włosy i profil Greczynki. Oliwkową cerę i migdałowe oczy. Była bardzo ładna. I wyglądała znajomo.

- Ja cię znam - stwierdził Rob. - Jesteś... jesteś z Bractwa.

- Tamsin - powiedziała Anna, nim przybyszka zdążyła się odezwać.

Dziewczyna - Tamsin - kiwnęła do niej głową. Chyba próbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. Uśmiech zmienił się w drżenie warg. Spuściła głowę i się rozplakała.

Z progu odezwał się kolega Tony'ego:

- Zobaczymy się później. Po czym szybko wyszedł.

- O co chodzi?

Rob próbował ją podprowadzić do krzesła. Początkowa radość z jej obecności ulotniła się, jakby ktoś przekłuł balonik. W pierwszej chwili pomyślał, że Bractwo przysłało im kogoś na pomoc.

- Przyszłam wam pomóc - wydusiła z siebie dziewczyna, jakby czytała w jego myślach, co prawdopodobnie było zgodne z prawdą. Wszyscy członkowie Bractwa mieli zdolności nadprzyrodzone. - LeShan mnie przysłał.

- No, to o co chodzi? - zapytała cicho Anna i delikatnie położyła dłoń na drżącym ramieniu Tamsin.

- O nic. Jeszcze do niedawna. A potem to poczułam. Wyczułam, jak umierał. LeShan nie żyje.

Rob przełknął ślinę.

- Jesteś pewna?

- Poczułam to. Myśleliśmy, że na nowej wyspie będziemy bezpieczni. Ale jakoś go znaleźli. Czułam, jak umierał.

Jest naprawdę rozstrojona, powiedział bezgłośnie Lewis.

To prawda, pomyślał Rob. Nie tylko rozstrojona, ale bezradna - tak zachowywali się ludzie z Bractwa, gdy nie mieli przywódcy. Nie wysłał tej myśli do Lewisa, bo miał poczucie, że Tamsin mogłaby to usłyszeć.

- Nie wiem, co teraz począc - powiedziała Tamsin, przechodząc w zawodzenie. - LeShan miał mi powiedzieć, gdy tu dotrę. A teraz nie wiem, jak wam pomóc.

Rob spojrział na Annę, jakby szukał w jej twarzy otuchy. Anna jest taka mądra. Lecz oczy Anny, ciemne i pełne łez, szybko się odwróciły.

Rob otoczył Tamsin ramieniem. Powiedział tylko:

- Może Meren...

- Mereniang też nie żyje - wyszeptała Tamsin. - Zginęła w drodze na wyspę. Znikąd pomocy, znikąd nadziei!

Rozdział 11

Kaitlyn siedziała na łóżku Lidii z czarną sukienką na kolanach. Właśnie po nią sięgała zadowolona, że ją ze sobą zabrała i że sukienka się nie pogniotła, gdy Bri jej powiedziała, co się stało.

A teraz tylko siedziała. Mogła Bri o nic nie pytać. Znała całą prawdę.

Wyspy Królowej Charlotty. To było napisane na mapie. W Kanadzie. To tam musiało się przenieść Bractwo, gdy opuścili wyspę Vancouver. Bri namierzyła ich wahadełkiem.

A Szakal Mac podłożył ogień. Wywołali pożar w siedzibie Bractwa. Kaitlyn to wiedziała, bo miała rysunek, który to przedstawiał - obrazek kuli ognia, wybuchającego pożaru. Z mężczyzną w środku.

Wieczorem zebrawali się wszyscy przy kryształach i wysłali swoje projekcje astralne. Opuścili swoje ciała i przenieśli się na Wyspy Królowej Charlotty, gdzie Renny użył psychokinezy.

Och, LeShan. Kaitlyn brutalnie zmiotła w palcach szyfon czarnej sukienki. Lubiłam cię. Naprawdę cię lubiłam. Byłeś arogancki, gniewny i niecierpliwy, a ja cię naprawdę, ale to naprawdę lubiłam.

Skóra w kolorze karmelu. Skośne rysie oczy. Lekko kręcone włosy, które jakby promieniały od środka, lśniące i srebrzystobrązowe.

Nie żyje.

A teraz Kaitlyn miała to uczuć. Nie mogła się z tego wykręcić. Domyśliliby się, gdyby próbowała znaleźć wymówkę. Jeśli ma być jedną z nich, to musi udawać, że nienawidzi Bractwa tak jak oni.

Opanowało ją poczucie kruchości, lekkości i niestabilności. Wstała i podeszła do lustra. Rozebrała się i włożyła czarną sukienkę. Zaczęła mechanicznie przeczesywać włosy palcami. I nagle coś sobie uświadomiła.

Wyglądam jak czarownica.

W przygaszonym świetle, z długimi włosami opadającymi na ramiona, które przypominały teraz rudą aureolę dokoła głowy, w czarnej sukience, bosy, z pobladłą twarzą...

Naprawdę. Wyglądam wypisz, wymaluj jak czarownica

Dopasowany gorset naprawdę ją wyszczuplał. Spódnica z przejrzystego szyfonu opadała jej od bioder do połowy łydek.

Lecz nie próżność trzymała ją przed lustrem, a raczej ta nowa wiedza i wynikająca z tego determinacja.

Każdy, kto wygląda jak wiedźma, potrafi rzucać klątwy. I właśnie to zrobię. Sprawię, że wszyscy za to zapłacą, LeShan. Pomszczę twoją śmierć. Przyrzekam.

Przyrzekam.

Na korytarzu rozległy się krzyki. Lidia zajrzała do środka z przeproszącą miną.

- Właśnie się dowiedziałam - zaczęła. Kaitlyn nigdy nie widziała jej tak przygnębionej i spłoszonej. - Mówiłam ci, że mój ojciec wygra. On zawsze wygrywa. Mądrze, że przesłaś na tę stronę, Kait.

- Pożyczysz mi pończochy? - zapytała Kaitlyn.

Pan Zetes czekał na nich w salonie. Kaitlyn domyśliła się, że pewnie był z nimi w sekretnym pokoju, kierując całą akcją. Kiwnął do Kaitlyn kurtuazyjnie. Podeszła bliżej w butach pożyczonych od Frost.

Robił przyjazne wrażenie, lecz Kaitlyn wyczuwała jego dziką radość. Dobrze wiedział, że ona cierpi, i to mu się podobało.

- Miłej zabawy, Kaitlyn - powiedział.

Kaitlyn uniosła głowę. Nie chciała dostarczyć mu satysfakcji.

Gabriel też tam był. Wyglądał bardzo atrakcyjnie w ciemnym ubraniu. Kaitlyn przyjrzała mu się uważnie. Chyba nie bardzo obeszła go śmierć LeShana. No, ale trzeba przyznać, że nie miał powodu lubić Bractwa. Ich filozofia głosiła, że nie wolno im otworzyć drzwi przed nikim, kto odebrał komuś życie... bez względu na okoliczności, w jakich się to stało. Gabriel zabił niechcący i w samoobronie, więc odmówili mu wstępu. I dlatego nie był teraz z martwiony.

A wszyscy pozostali upajali się szczęściem.

Pan Zetes ich wyprawił. Pojechali dwoma samochodami. Kait wsiadła razem z Bri i Rennym do samochodu Lidii, a Joyce zabrała Gabriela, Frost oraz Szakała Maca. Całą drogę Kait planowała zemstę. Chciała, by wszyscy zapłacili za śmierć LeShana, nie wyłączając Gabriela.

Klub nazywał się Ciemny Karnawał. Kaitlyn na moment przestała knuć zemstę i się rozejrzała. Nigdy nie była w takim miejscu.

Ludzie stali w kolejce przed wejściem. Ubrani w cokolwiek. Absolutnie niewyobrażalne kreacje. Wyglądali dziwnie i można się ich było przestraszyć.

Samochód utknął w korku niedaleko wejścia i Kaitlyn miała okazję popatrzeć, co się dzieje. W drzwiach stał ochroniarz z kolczykiem w wardze i z liverpoolskim akcentem decydował, kto może wejść, kto musi poczekać, a kto ma wracać do domu. Do środka dostali się: chłopak umalowany błyszczącą fioletową szminką, ze srebrnymi, aluminiowymi zawijasami zamiast włosów; dziewczyna w wieczorowej sukience z czarnej pajęczej sieci; elegancka włoszka w białym obcisłym kombinezonie i czarnych szortach z aksamitu - bardzo króciutkich.

- Jego zadanie polega na selekcyjonowaniu ludzi. Wpuszcza tylko śmietankę. - Bri nachyliła się do Kaitlyn i powiedziała jej na ucho:

- Trzeba być albo sławą, albo totalną pięknnością, albo...

Albo wyglądać jak skrzyżowanie kogoś z produkcji Busby'ego Berkeleya* i bohatera z filmu science fiction, pomyślała Kaitlyn.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytała cicho.

Przyglądała się przegranym - ludziom, którzy się nie dostaną do środka. Normalnym ludziom, którzy nie byli ani dość dziwaczeni, ani ciekawi. Czekali w kolejce przed wejściem, niektórzy zapłakani.

- Mamy zaproszenia - powiedziała Lidia martwym głosem. - Mój ojciec ma koneksje.

Miała rację. Ochroniarz ich wpuścił. W środku powitały ich stroboskopy, światła fluorescencyjne i kolorowe reflektory. Wszystkie błyskały raz za razem, w pomieszczeniu wypełnionym dymem. Kaitlyn widziała praktycznie tylko tęczę błysków.

Muzyka grała głośno. Ludzie musieli przekrzykiwać rytmiczne dudnienie. Na parkiecie dziewczyna z długimi lśnącymi włosami wyrzuciła nogę ponad swoją głowę.

- Super, co? - zawołała Bri.

Kaitlyn nie była pewna. Było tu głośno. Dziwacznie. Ekscytująco, jeśli jest się w nastroju na świętowanie, albo surrealnie, jeśli się nie jest.

Pomszczę cię, LeShan. Obiecuję.

Zauważyła Joyce idącą w stronę parkietu do tańca. Szakał Mac, od którego czaszki odbijały się światła, zamawiał coś właśnie u skąpo odzianej kelnerki.

Gdzie jest Gabriel?

Bri gdzieś zniknęła. Kait była otoczona skrzydlatymi ludźmi, odzianymi w celofan, z kolcami zamiast paznokci. Gdziekolwiek spojrzała, widziała włosy pociągnięte fluorescencyjnym lakierem. Gigantyczne sztuczne rzęsy. Ukośne brwi, brwi ze srebrnego błyszczka. Zero brwi. Kolczyki na całym ciele.

Gdyby nie była taka rozwścieczona śmiercią LeShana, być może ogarnąłby ją strach. Lecz w tym momencie nic nie było w stanie jej dotknąć. Jakiś facet w kombinezonie w lamparcie cętki i masce zaprosił ją do tańca i poszła z nim na parkiet. O tańcu wiedziała tylko to, czego nauczyła się w domu, oglądając telewizję i marząc na jawie.

Było za głośno na rozmowę, więc miała w nosie, co sobie facetlampart o niej myśli. Była to więc idealna okazja, by powrócić do rozmyślań o zemście.

I wtedy rozgryzła tajemnicę szyfru do zamka.

Nie odbyło się to tak, jak w książkach, gdzie wierny pomocnik rzuca jakąś nieprzemysłaną uwagę, która pomaga słynnemu detektywowi rozwikłać zagadkę. Po prostu nagle przyszło jej to do głowy, bez konkretnego powodu. Jej umysł cały czas krążył wokół tego.

Muszę się dostać do kryształu. A to znaczy, że muszę znać szyfr.

I gdy znowu się na tym skupiła, stwierdziła, że już zna kombinację. Jeden rysunek się sprawdził. A co z drugim?

I wtedy ta myśl się po prostu pojawiła, w pełni wykształcona - pytanie skierowane do samej siebie: jak choinka i statek mogą być kombinacją ośmiu cyfr?

No, tak, Boże Narodzenie ma oczywiście numer. To data, dwudziesty piąty grudnia. 12/25. Albo 25/12.

Podłoga dygotała pod stopami Kaitlyn. Facetlampart właśnie się oddalał, ale ona miała to w nosie. Cofnęła się pod barierkę i wbiła wzrok w błyskające światła.

Aż drżała z podniecenia, jej umysł podążał tym nowym tropem, niczym iskra wędrująca po smużce prochu.

* Busby Berkeley (1895-1976) - wpływowy hollywoodzki reżyser filmowy i choreograf, słynny ze skomplikowanych produkcji muzycznych z użyciem dużej liczby tancerek rewiowych i rekwizytów (przyp tłum.).

Statek. Statek również reprezentuje numer. Tylko jaki? To może być liczba masztów albo marynarzy na pokładzie, albo rejsów, które odbył. Albo data, data rejsu. Ale co to za statek?

Żołądek jej się ścisnął. Wpadła w konsternację. Nic nie wiedziała o statkach. Ile czasu będzie potrzebowała na zebranie informacji, na rozważenie wszystkich możliwości?

Nie, uspokój się. Nie wpadaj w panikę. Rysunek jest dziełem twojej podświadomości, więc nie może być mądrzejszy od ciebie. Twój umysł nie zmieniłby daty w statek, gdybyś ty tej daty nie znała.

Jestem taka głupia, odparowała Kaitlyn. Jestem kiepska z historii. Znam tylko podstawowe daty, 1492...

Gdy Kolumb płynął przez błękitne morze.

Lśniące niebieskie morskie fale. Trzy odcienie błękitu. Aż zbyt starannie narysowane. Znalazła odpowiedź.

Wiedziała, była tego pewna. Próbowwała to zbagatelizować. Pan Zetes nigdy by nie ustawił takiej prostej kombinacji. Nie zacząłby - ani nie skończył - szyfru liczbą 1492. To zbyt łatwe, każdy by to bez trudu zapamiętał. Włamywacz mógłby spróbować tej cyfry na chybił trafił.

I wtedy nadeszła kolejna myśl. Założmy, że szyfr nie zaczyna się ani nie kończy na 1492 - nie w całości.

Choinka stała na środku statku, więc może kombinacja wygląda tak: 14/12/25/92. Albo 14/25/12/92.

Dobry Boże, albo nawet 1/12/25/492. Albo...

Kaitlyn przerwała gwałtownie. Później pomyśle nad wszystkimi kombinacjami. Zaczę od najłatwiejszej. I...

Jakiś łysy gość pokazał jej czarny język. Kaitlyn odskoczyła i dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że to Szakal Mac.

- Co jest? Boisz się mnie?

Kaitlyn wbiła wzrok w te zwierzęce oczy.

- Nie - powiedziała beznamiętnie.

- To chodź zatańczyć.

Nie, pomyślała Kaitlyn. Lecz była szpiegiem i jej najważniejszym zadaniem było nie dać się przyłapać. Nic innego się nie liczyło.

- Dobrze - zgodziła się i poszli zatańczyć.

Nie podobało jej się, jak z nią tańczył. To nie był wolny utwór, więc Szakal Mac nie próbował wziąć jej w ramiona, ale cały czas się do niej zbliżał, zmuszając ją do cofania się. Wymachiwał rękami i kręcił biodrami, więc gdyby tego nie zrobiła, to by jej dotknął.

Wypatrzyła Frost i Gabriela na parkiecie. Frost idealnie się tu komponowała. Miała na sobie krótką srebrną sukienkę i srebrne botki do kostek. Cały czas ocierała się o Gabriela. No cóż, przynajmniej była bardziej ubrana niż kobieta w negliżu obok nich. Albo pomalowany na pomarańczowo gość, który prawie nic nie miał na sobie.

- Hej, mała! Skup się!

Szakal Mac znowu się do niej zbliżał. Kaitlyn zrobiła krok do tyłu i wpadła na kobietę w kosmicznych, neonowych okularach przeciwsłonecznych.

- Przepraszam - wymamrotała, choć zagłuszyła to muzyka. Zeszła z parkietu i poszła w kierunku odosobnionego kąta przy scenie. - Słuchaj, Mac. Jestem trochę zmęczona...

- To usiądź i odpocznij.

Spychał ją dalej i dalej, pod i trochę za scenę. Kaitlyn potknęła się o jakiś kabel. Nie mogła się dalej cofać.

- Chyba muszę się czegoś napić. Masz na coś ochotę?

O dziwo jej głos brzmiał spokojnie, choć nagle opanował ją strach.

Byli teraz w odosobnionym kącie, gdzie muzyka brzmiała jeszcze głośniejsz. Nie było ich widać z parkietu. I na pewno nikt by ich nie usłyszał. To było zadymione, ciemne i wilgotne miejsce. Pułapka.

- No, tak, chętnie bym się czegoś napił - powiedział Szakal Mac, ale nadal tarasował jej drogę.

Oczy lśniły mu w przygaszonym świetle. Jedną rękę podniósł do góry i położył na scenie. Kaitlyn poczuła zapach jego potu.

Zagrożenie.

Czerwone światła ostrzegawcze zapaliły się jej w głowie, syreny alarmowe się rozdzwoniły. Czuła jego umysł, równie zatłoczony, zaśmiecony i paskudny, co jego pokój. Paskudny jak u tamtego rudego mężczyzny.

- Wiesz, chętnie bym się czegoś napił, ale niekoniecznie drinka. Gabriel mi powiedział, że kiedyś mu nieźle dogodziłaś.

A jednak nie jak u tamtego rudego mężczyzny. Szakal Mac miał inne zboczenie. Nie chciał jej fizycznie skrzywdzić, chciał wyssać jej mózg.

Ty świnię, pomyślała Kaitlyn, rozwścieczona do białości, lecz wcale nie miała na myśli Szakala Maca. Jej nienawiść była skierowana na Gabriela.

Powiedział temu... temu zwierzakowi, o tym, co dla niego zrobiła. O najintymniejszych chwilach, jakie z kimkolwiek dzieliła.

Kaitlyn poczuła się tak, jakby ją zgwałcono, jakby była teraz dla każdego niczym otwarta księga.

- Co jeszcze Gabriel ci powiedział? - zapytała głosem, który brzmiał twardo, śmiało i z rezerwą.

Na twarzy Szakala Maca odmalowało się zdziwienie. Obliznął wargi czarnym językiem.

- Powiedział, że zawsze się za nim uganiałaś. Pewnie to lubisz, co? - Opuścił ramię w dół i przysunął się do niej bliżej. - Będziesz się stawiać czy sama się poddasz?

Kaitlyn nie cofnęła się przed nim.

- Nie jesteś telepatą - odparła. - Nie wiem, co ty sobie wyobrazasz...

- A kto mówi, że trzeba być telepatą? - zaśmiał się Mac. - Tu chodzi o energię, ślicznotko. Wszyscy potrzebujemy energii. Wszyscy przyjaciele kryształu.

Kryształ. Oczywiście. To w ten sposób pan Zetes trzyma ich w szeregu. Wszyscy stali się psychicznymi wampirami, tak jak Gabriel. To im dostarczało satysfakcji, dodawało sił... Chyba że się jest Szakalem i chce się czegoś ekstra.

On chce, żebym się go bała, pomyślała Kait. Czerpie z tego przyjemność. Najbardziej chce wyssać ze mnie energię. To da mu dodatkowego kopa.

Nienawidzę cię, Gabrielu. Nienawidzę.

Lecz to jej nie powstrzymało przed powiedzeniem tego, co należało powiedzieć.

- A myślisz, że Gabrielowi się to spodoba, że położysz na mnie łapy? - zapytała. - Nie bardzo był zadowolony, jak zająłeś jego pokój.

W oczach Maca odmalowała się niemalże uraza.

- Nigdy bym nie dotknął kobiety Gabriela - oznajmił. - Rzecz w tym, że teraz jest nią Frost. To on mi powiedział, żebym wziął cię pod lupę.

Jego zęby błysnęły bielą w ciemności.

Przez moment Kaitlyn czuła tylko odrętwienie. Gabriel rzucił ją niczym kość Szakalowi Macowi na pożarcie. Jak ona ma z tym żyć?

Lecz po chwili instynkt samozachowawczy wziął górę. Dotarło do niej, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, to i tak długo nie pożyje.

Niespokojne ręce Szakala Maca już się po nią bezceremonialnie wyciągały. Znała procedurę. Każdy ma kilka punktów transferowych, ale najlepiej działało przyłożenie trzeciego oka do trzeciego oka albo warg do kręgosłupa. Mogłaby się założyć, że Mac sięgnie po jej kręgosłup.

W takim razie rozluźnij się. Rozluźnij się i pozwól mu zająć się od tyłu. Udawaj, że będziesz współpracować.

Jakiś głos w jej głowie nadal wrzeszczał, że powinna wezwać pomoc. Krzyk zginąłby w pulsującej muzyce, ale mogła przecież i krzyknąć w myślach. Ostatnim razem Gabriel się pojawił, może tym razem też przyjdzie, jeśli pomyśli, że Mac ją morduje.

Tylko że ja nie krzyknę, pomyślała. Ogarnęła ją fala zimna niczym lodowaty wodospad. Nie krzyknę, nawet jeśli będzie, próbował mnie zabić. Nie chcę pomocy od Gabriela, nawet jeśli od tego zależy moje życie.

To Gabriel napuścił na nią tę ludzką bestię. Niech Gabriel żyje z konsekwencjami swojego postępowania. Zresztą całkiem możliwe, że na jej krzyk tylko by się uśmiechnął.

- No, to chodź - powiedziała Kaitlyn do Maca uwodzicielskim tonem. - Nie mam nic przeciwko. Tylko pozwól mi najpierw odgarnąć włosy.

Jego ręce z brzydkimi, obgryzionymi paznokciami zamarły w powietrzu. Zrobiła krok w jego stronę i w bok. Złapała włosy jedną ręką i odgarnęła je z karku. Śledził żarłocznie każdy jej ruch.

- Dobrze, jeszcze tylko zrobię... to.

Gdy zagapił się na jej obnażone ramię, wbiła mu obcas w goleń. Aż stęknął ze zdziwienia i z bólu, bardziej jak prosiak niż szakal. Rzucił się w jej stronę...

Lecz ona kopnęła luźny kabel pod jego nogi. Potknął się. Kaitlyn nie czekała, by sprawdzić, czy odzyskał równowagę, czy nie. Rzuciła się biegiem.

Dotarła na parkiet i wmieszała się w tłum. Wpadła komuś w ramiona. Był to młody człowiek o wyglądzie poety w białej koszuli z dużym kołnierzem i zwiewnymi rękawami.

Kaitlyn pobiegła dalej, zataczając się. Gdzie jest Joyce? Tylko ona mogła powstrzymać Maca przed zaciągnięciem jej z powrotem na tyły...

Tam.

Joyce z Lidia. Kaitlyn przeciskała się chwiejnym krokiem przez tłum w ich stronę.

- Joyce...

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Za jej plecami rozległ się ryk. Szakal Mac rozdzielał tłum niczym Mojżesz Morze Czerwone. Lecz w odróżnieniu od Mojżesza, Mac robił to pięściami i łokciami. Czerwone Morze coraz bardziej się wściekało.

- Nie musisz nic wyjaśniać - powiedziała stanowczo Joyce do Kaitlyn.

Na oczach Kaitlyn Mac wpadł na niską kobietę z nastroszonymi włosami. Odepchnął ją na bok. Duży facet obwieszony łańcuchami rzucił się w jego stronę.

- O, idzie Renny. - Lidia pokazała chłopaka.

Renny pojawił się z butelką w ręce. Kaitlyn nie była w stanie powiedzieć, czy atakuje, czy też broni Maca, ale nagle nad głowami zaczęły latać szklanki i wszyscy zaczęli się bić. Szakal Mac złapał krzeselko i podniósł je nad głowę.

Przez muzykę przebiły się głośnie wrzaski. Ze wszystkich stron biegli solidnie zbudowani mężczyźni w garniturach.

- Lepiej się stąd zabierajcie - poleciła Joyce.

Kaitlyn widziała, że jest bardzo zła i zbiera jej się na łyż. Przyszła tu dzisiaj coś uczcić, włożyła różową sukienkę od St. Johna ozdobioną kryształami górskimi, a Mac wszystko zrujnował. Gdyby Kaitlyn nie wiedziała, co świętuje Joyce, może nawet byłoby jej żal.

Zamiast tego wzięła tylko Lidię pod rękę i popchnęła ją w stronę drzwi ze znakiem „wyście”. Lidia odezwała się dopiero, gdy znalazły się w samochodzie.

- Co się wydarzyło?

Kait pokręciła głową i oparła się czołem o chłodną szybę. Było jej niedobrze, była obolała w środku. I to nie w związku z atakiem Maca. Raczej dlatego, że Gabriel go na nią napuścił. I od dziury we wszechświecie, która pozostała po LeShanie.

Świat jest okropny, pomyślała. Zrobię, co do mnie należy, by go naprawić. I nigdy więcej nie chcę widzieć Gabriela. Wyjadę tak daleko, jak się tylko da.

Było już bardzo późno, gdy usłyszała, jak Joyce i pozostali wrócili do domu. Rozległy się ciężkie kroki na schodach, trzaskanie drzwiami, śmiechy i przekleństwa.

- Boję się ich - powiedziała cicho Lidia z drugiego łóżka. - Tego, jacy są. Co potrafią zrobić.

Kaitlyn też się ich bała. Chciała podnieść koleżankę na duchu, powiedzieć, że wszystko się niedługo zmieni, ale się na to nie odważyła. Lidia nie była zła, ale była słaba. Poza tym nikomu nie wolno ufać. Nikomu.

- Myśl o czymś innym - poradziła jej Kaitlyn. - Natrafiłaś tu gdzieś kiedyś na budzik z krową?

- Nie. Na co?

- Na budzik w kształcie krowy. Należał do Lewisa. Codziennie rano muczał, a potem dobiegał głos: „Wstawaj! Nie przesypiaj całego życia! Wstawaj!” A potem krowa znowu zaczynała muczeć.

Lidia zachichotała bez przekonania.

- Szkoda, że go nie widziałam. Brzmi zupełnie... jak Lewis.

- On nie, brzmi jak krowa.

Kaitlyn usłyszała w ciemności ciche parsknięcie śmiechem, a potem zapadła cisza. Naciągnęła sobie kołdrę na głowę i zapadała w sen.

Następnego dnia okazało się, że ma problem. Wszyscy byli zmęczeni i spali, więc Joyce odwołała testy. To znaczy, że Kaitlyn miała dzień dla siebie, ale nie bardzo wiedziała, jak się skontaktować z Robem.

Zadzwoić do Diazów do domu? Nie z Instytutu. Za duże ryzyko. Nie bardzo wiedziała, pod jakim pretekstem mogłaby się wymknąć, żeby poszukać budki telefonicznej. Nie chciała zrobić nic, co by mogło wzbudzić podejrzenia.

Lecz musiała porozmawiać z Robem, powiedzieć mu, żeby w poniedziałek przyniósł ze sobą odłamek. Nie chciała marnować więcej czasu.

Siedziała przy biurku w swoim pokoju, stukając ołówkiem w blat i zastanawiała się, czy poprosić Lidię o pożyczenie samochodu, gdy jakiś hałas za oknem przyciągnął jej uwagę.

Kociak. Duży kociak, prawie dorosły kot. Walił łapką w okno.

Pomimo przygnębiającego nastroju Kaitlyn prawie się uśmiechnęła. Och, skarbie, jak ty się tu dostałeś, tak wysoko?

Otworzyła okno.

Kociak wsunął głowę do środka i liznął kostkę jej dłoni szorstkim językiem, który wyglądał jak zwinięty, różowy liść. Kaitlyn podrapała jedwabiste czarne futerko między uszami.

Co za zabawna obróżka. Dużo za szeroka. To cię musi uwierać...

Był to kawałek papieru owinięty kilkakrotnie wokół niebieskiej obróżki z nylonu i przytwierdzony taśmą klejącą. List.

Nagle serce Kaitlyn zaczęło bić jak szalone. Spojrzała w dół, do ogrodu za oknem. Nikogo tam nie było. A potem obejrzała się za siebie, na zamknięte drzwi pokoju.

Nie spuszczać drzwi z oczu, oderwała taśmę klejącą i odwinęła kartkę z obróżki kota.

Rozdział 12

„Pan na lotnisku i pani z widłami nie żyją. Woda zrobiła się za gorąca. Spotkaj się ze mną niedługo w starym miejscu spotkań. Talerz ucieknie razem z łyżką. Wybierz czas i daj mi znać. Wyślij wiadomość w butelce”.

List nie był do nikogo zaadresowany ani podpisany - Rob uznał, że to zbyt ryzykowne, domyśliła się Kaitlyn. Zrozumiała jednak znaczenie listu.

Również Mereniang nie żyje. LeShan zagadnął ją na lotnisku, a gdy pierwszy raz spotkała Meren, ta przerzucała gnój. Zdaniem Roba Kaitlyn była w dużym niebezpieczeństwie i chłopak chciał, by przyszła do szkolnej sali gimnastycznej, skąd chciał ją zabrać. Miała zdecydować, o której da radę stąd zniknąć, i odesłać mu list z wiadomością.

Kaitlyn przez chwilę siedziała w bezruchu, obracając ołówek w palcach. Potem wyprostowała się, wydarła kartkę ze szkicownika i zaczęła pisać dużymi, zdecydowanymi literami.

„Czarownice lubią gorącą wodę. Nie umawiamy się dzisiaj. To samo miejsce i czas jutro. Przynieś magiczny nóż. Odrobiłam zadanie domowe i opanowałam cyfry”.

Liczyła na to, że Rob pamięta, jak Tony kiedyś powiedział: „Widzę, że przynieśliście ze sobą magiczny nóż dla Marisol”.

Miała również nadzieję, że zrozumie, iż ona nie może teraz uciec; w końcu dowiedziała się, gdzie jest kryształ i zna szyfr, by dostać się do tego pomieszczenia.

Kociak ją poszturchiwał, przeciągał się, domagał pieśczot. Kaitlyn go pogłaskała, a potem owinęła list dokoła jego obróżki i zakleiła go taśmą. Otworzyła okno i wstrzymała oddech.

Kociak odszedł, nie oglądając się za siebie. Anna musiała go dobrze przygotować do tej akcji.

A teraz, pomyślała Kaitlyn, nie mam nic więcej do roboty. Pozostaje mi tylko czekać do jutrzejszego południa. Miejmy nadzieję, że Rob się stawi.

- Nie mogę ci na to pozwolić - powiedział Rob.

- Czy ty nie rozumiesz? To jedyny sposób.

- Nie - oznajmił beznamiętnie Rob.

Było poniedziałkowe południe. Skryli się w sali gimnastycznej, bo uznali, że będą tam bezpieczniejsi niż przy wejściu.

Kaitlyn spojrzała na Lewisa i Annę, szukając u nich pomocy, ale oboje robili wrażenie bezradnych. Jakby nic nie rozumieli. Natomiast Rob już podjął decyzję.

- Nie mogę ci pozwolić, żebyś sama z tym poszła do Instytutu. Idę z tobą. Zakradnę się.

To nie było rozsądne.

- A co, jeśli cię przyłapią?

- A co, jeśli złapią cię z kryształem? Nie będzie lepiej.

- Wcale nie. - Kaitlyn ze wszystkich sił starała się zapanować nad ogarniającym ją zniecierpliwieniem. - Kryształ mogę ukryć. Zawsze mogę spróbować go szybko schować, gdy usłyszę, że ktoś się zbliża. Natomiast ciebie schować się nie da. Niby co mam zrobić, wsadzić cię pod poduszkę?

Rob też starał się zachować cierpliwość - widziała i czuła to. Jednak przegrywał walkę.

- To... po prostu... zbyt niebezpieczne - powiedział wolno i wyraźnie. - Naprawdę myślisz, że będę siedział spokojnie w mieszkaniu, kiedy ty się narażasz? Za kogo ty mnie masz?

- Za kogoś, kto ma dużo oleju w głowie. Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj dotrę do kryształu, chociaż to się może okazać trudne. Joyce zostawi otwarte drzwi do laboratorium albo ktoś będzie siedział w salonie, skąd widać panel w boazerii. Być może będę musiała poczekać parę dni, aż nadarzy się okazja. Nie możesz się tak długo ukrywać - dodała, nie dopuszczając go do słowa. - Gabriel cię wyczuje, tak jak poprzednio. I będzie po wszystkim, bo on jest teraz naszym wrogiem.

Wszystko przemyślała i nie miała zamiaru ustąpić. Rob to wiedział, była tego pewna. Jego mina nagle się zmieniła; zacisnął szczękę. W oczach płonęła mu złocista poświata. Kaitlyn pomyślała, że wygląda jak pozytywny charakter, którego doprowadzono do ostateczności.

Bez słowa wyciągnął do niej rękę i złapał ją w pasie. Kaitlyn została uniesiona w powietrze, jej stopy straciły kontakt z drewnianą podłogą sali gimnastycznej.

- Przykro mi, ale mam już tego dość - oznajmił. - Idziesz z nami do samochodu.

Jeszcze kilka dni temu Kaitlyn być może pomyślałaby, że to zabawne, ale teraz...

Postaw mnie na ziemi!

Natężenie jej głosu tak zszokowało Roba, że rozluźnił uścisk. Czysta wściekłość w oczach Kaitlyn sprawiła, że się nie odezwał, gdy się wyrwała i odsunęła.

Anna i Lewis też byli w szoku. Kaitlyn wiedziała, że czują, jak gniew wylewa się w z niej niewidzialnymi falami. Stała niczym królowa, wysoka i straszna, a gdy się odezwała, jej słowa ciężo powietrze niczym rozgrzana do białości stal.

- Nie jestem rzeczą, którą możesz przenieść, gdzie ci się podoba. Tak myślał o mnie Gabriel. Mylił się. Obaj się mylicie - wyszczała do Roba.

Miał potargane włosy. Przypominał teraz małego chłopca. Jego oczy były ciemnobursztynowe i rozszerzone. W sali gimnastycznej panowała absolutna cisza.

- Tylko ja decyduję o tym, co się ze mną stanie - szepnęła Kaitlyn. - Nikt inny. Ja. Już podjęłam decyzję. Wracam tam i zamierzam ich powstrzymać. Od ciebie zależy, czy dasz mi odłamek, czy nie, ale ja i tak tam wracam.

Nigdy przedtem tak się do niego nie odezwała. Był zbity z tropu. Kaitlyn spróbowała złagodzić swój głos, ale słyszała, że mówi niecierpiącym sprzeciwu tonem:

- Rob, czy ty nie widzisz, że ta rzecz jest ważniejsza niż my wszyscy razem więci? To dzięki tobie chcę coś zmienić. Timon, LeShan i Mereniang zginęli. Jeśli nie powstrzymamy Instytutu, umrą kolejni ludzie. Muszę temu zapobiec.

Rob kiwał powoli głową. Przełknął ślinę i powiedział:

- Rozumiem. Ale jeśli coś ci się stanie...

- Jeśli coś mi się stanie, to przynajmniej będę wiedziała, że to był mój wybór, moja decyzja. To nie ma nic wspólnego z tobą... Rozumiesz?

Anna płakała. Lewis też połykał łzy.

A Rob był tak zszokowany, że się poddał. Spojrzał na Annę, jakby była jego ostatnią deską ratunku.

Dziewczyna zamrugła. Na jej twarzy malowały się współczucie, smutek i spokój. Ten spokój był głęboki, ale nie pełen rezygnacji.

- Kait ma rację - stwierdziła. - Jeśli mówi, że pójdzie, to tak zrobi. Nie możesz decydować za nią. Nikt nie może podejmować decyzji za nikogo innego.

Rob spojrzął znowu na Kait. Dotarło do niej, że po raz pierwszy patrzy na nią jak na kogoś równego sobie. Równego sobie. I nie chodziło tylko o inteligencję, moce nadprzyrodzone czy zaradność, ale o prawo do ryzykowania własnego życia.

Równego i samodzielnego. Jakby dokładnie w tym momencie się rozdzielili i stali się dwiema niezależnymi istotami. Jeśli cokolwiek było nie tak w ich związku, to było to przekonanie Roba, że musi ją ochraniać. W pewnym sensie Kaitlyn go do tego zachęcała, sugerując, że potrzebuje opieki. Teraz w jednej chwili oboje zdali sobie sprawę z tego, że tak nie jest.

Kait uświadomiła sobie, że przez ostatnich kilka minut urosła w oczach Roba.

Szanował ją, a może nawet kochał bardziej niż przedtem... w inny sposób.

Lecz nadal nie pogodził się z tym, że musiał patrzeć, jak ona odchodzi, by wziąć na siebie całe ryzyko. Dlatego spróbował jeszcze raz, już nie na siłę, lecz błagalnie:

- Wiesz, tak się zastanawiałem, czy nie moglibyśmy trochę poczekać z użyciem odłamka. Uleczył Marisol, wiesz? Nie widziałaś tego, Kait. To było cudowne. W tym szpitalu leży mnóstwo ludzi. Miałem nadzieję...

Wzruszył ramionami i zrobił tęskną minę.

Kaitlyn była poruszona. Lecz nim zdążyła się odezwać, zrobiła to Anna. Na jej twarzy malowało się jeszcze głębsze współczucie niż wcześniej, i jeszcze większy smutek. A także głębokie przekonanie.

- Nie, Rob - powiedziała cicho. - Nie wolno nam tego zrobić. Odłamek do nas nie należy, został nam wypożyczony. Timon dał go nam, żebyśmy zniszczyli kryształ. Nie wolno nam korzystać z mocy, która tak naprawdę do nas nie należy. Wyniknęłoby z tego coś niedobrego.

Następnie delikatnie położyła Robowi rękę na ramieniu.

- Masz własną moc, którą możesz wykorzystać do pomocy innym. To powinno wystarczyć. Twój dzień jeszcze nadejdzie, Rob.

Rob długo się w nią wpatrywał. Wreszcie kiwnął głową na zgodę. Przeniósł wzrok na Kaitlyn, która złapała przebłysk jego myśli. Był zaskoczony faktem, że znalazł się pomiędzy dwiema tak mądrymi kobietami. Czuła, że się zastanawia nad tym, kiedy to się stało, podczas gdy on nadal był taki sam.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko się zgodzić.

- No, to załatwione - skwitowała cicho Kaitlyn. - Wezmę odłamek do Instytutu, a wy wróćcie do mieszkania znajomego Tony'ego.

- Zostawiliśmy tam Tamsin - powiedziała Anna. - Powiemy jej, co masz zamiar zrobić. Będzie trzymać za ciebie kciuki, Kait, tak samo jak Marisol.

Kait z przyjemnością zmieniła temat rozmowy, bo widziała, że jeszcze chwila, a się rozplacze.

- Marisol naprawdę lepiej się czuje?

- Nadal jest w szpitalu. Ma osłabione mięśnie, ale Tony mówi, że za kilka dni powinna zacząć chodzić. Och, Kait, szkoda że nie widziałaś, jaką miał minę, gdy przyszedł się z nami zobaczyć! A jego mama i tata... Zadzwonili i nie mogli przestać nam dziękować. Z trudem odłożyliśmy słuchawkę.

- Tony wspominał, że zapali dla ciebie świeczkę - wtrącił się Lewis. - No, wiesz, w kościele. Bo Rob mu powiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Gardło Kaitlyn się ścisnęło, a oczy zaczęły ją piec. Przełknęła ślinę.

- Lepiej już pójdę.

Rob uklęknął przy worku marynarskim, który ze sobą przyniósł.

Wyjął odłamek kryształu, otworzył plecak Kaitlyn i włożył go do środka. Kaitlyn zdawała sobie sprawę z tego, że był to symboliczny gest, by pokazać jej, że miała rację. Wiedziała też, że każdy ruch przychodzi mu z ogromnym trudem.

Wstał. Był bardzo blady. Podał jej plecak.

- Daj nam znać, jak będzie po wszystkim - poprosił. - Daj też znać, jeśli do jutra nic się nie wydarzy. I... Kait?

- Tak?

- Jeśli nie zadzwonisz, to ja tam przyjdę. Koniec, kropka, Kaitlyn; to moja decyzja. Jeśli cię nie usłyszę, to zakładam, że coś poszło nie tak i cały nasz układ jest nieważny.

Co Kaitlyn miała na to powiedzieć?

Powodzenia. Lewis wysłał jej myśl, gdy go uściskała. *Będę trzymał kciuki.*

Uważaj na siebie, powiedziała Anna. *Bądź mądra jak kuk i wyjdź z tego cala i zdrowa.*

Po czym dodała coś w języku Suquamish. Kaitlyn niepotrzebne było tłumaczenie. To było błogosławieństwo.

Na końcu uściskała Roba. Jego oczy były zaczerwienione. Przytulił ją mocno.

Proszę cię, wróć do mnie. Będę czekał.

Ile razy kobiety mówiły tak do swoich mężczyzn, gdy wyruszali na wojnę?

Gula w gardle Kaitlyn z każdą chwilą rosła.

Kocham was wszystkich, powiedziała do nich. A potem odwróciła się i ruszyła w stronę tylnego wyjścia z sali gimnastycznej. Czuła na sobie ich spojrzenia. Wiedziała, że stoją w absolutnej ciszy. Przeszła przez boisko do kosza, a potem przez boisko do bejsbola. Czekali, aż zniknie im z oczu.

Kaitlyn wróciła do Instytutu, pokonała piechotą jakieś półtora kilometra. Powiedziała Robowi, że będzie musiała poczekać kilka dni, nim dostanie się do kryształu, ale wiedziała, że zrobi to teraz. Bri, Renny i Lidia przebywają w szkole, Gabriel chyba też. A to znaczy, że w domu są tylko Frost, Szakal Mac oraz Joyce.

Musi się prześliznąć do środka niezauważenie, pomyślała. Może wszyscy będą w tylnym laboratorium, a wtedy ona dostanie się do panelu w korytarzu.

Spacer okazał się całkiem przyjemny. Kaitlyn złapała się nawet na tym, że gapi się w niebo, które miało piękny błękitny kolor i było usiane drobnymi pierzastymi chmurkami. Słońce grzało ją w ramiona. Żywopłot po obu stronach usiany był żółtymi kwiatkami w kształcie gwiazdek.

Wiosna, pomyślała.

Dziwne, że człowiek bardziej docenia świat, gdy mu się wydaje, że niedługo może go opuścić.

Nawet Instytut robił wrażenie egzotycznego i pięknego niczym gigantyczna sterta winogron.

Teraz najtrudniejsze zadanie. Musiała zakraść się do środka tak, by jej nikt nie przyłapał, i żeby to nie wyglądało przypadkiem na zakradanie się. Może powie, że wróciła do domu ze szkoły, bo źle się poczuła?

Zastanowiła się przez chwilę i weszła kuchennymi drzwiami. Kuchnia znajdowała się zaraz obok frontowego laboratorium. Nawet jeśli ktoś tam był, to nie mógł jej zobaczyć do chwili, aż będzie mijała drzwi do laboratorium.

Z laboratorium dochodziły dźwięki muzyki. Dobrze, to zagłuszy wszelkie hałasy. Wyprostowała się i śmiało przemaszerowała przed laboratorium. Zmusiła się, by od niechcenia zajrzeć do środka i by nie iść na palcach.

Jedno spojrzenie wystarczyło. Zobaczyła Frost pochyloną nad tacą z zegarkami i kluczami. Koło niej znajdowała się Joyce z notatnikiem na kolanach. Frost siedziała przodem do tylnego laboratorium - doskonale.

Joyce patrzyła na notatnik. Nieźle.

Szakala Maca nigdzie nie było widać. Kait miała nadzieję, że jest w zbiorniku.

Nadal zmuszała się, żeby się nie skradać. Pokonała jadalnię i obesła schody. Wyrzała zza rogu i sprawdziła mały korytarzyk, który prowadził do drugich drzwi do laboratorium.

Dobrze. To musi wyglądać naturalnie. Zaczekam tu... Może powinnam wiązać sznurówki?

Nie spuszczać z oczu sylwetek w laboratorium, schyliła się i rozwiązała jedno sznurowadło. Po czym została w tej pozycji, cały czas przyglądając się Joyce.

Nie mogę podejść do panelu, zanim ona się nie odwróci albo nie pójdzie do tylnego laboratorium, pomyślała. Odsunięcie panelu zabierze kilka sekund. Joyce mogłaby podnieść głowę i mnie zobaczyć.

Czas się włókł. Plecak zaczął jej ciążyć na ramionach.

No, dalej, Joyce. Rusz się. Idź po książkę albo coś. Zmień płytę. Zrób coś, cokolwiek, tylko rusz się z miejsca.

Ale Joyce nadal tkwiła na miejscu. Kaitlyn miała wrażenie, że minęła godzina. W końcu postanowiła, że będzie musiała zaryzykować. I w tym momencie zobaczyła, że Joyce wstaje.

Kait mieniło się w oczach. Twarz Joyce była tylko plamą opalenizny, jej plecy - różową plamą. Joyce szła do laboratorium na tyłach.

Och, dziękuję! Dziękuję!

Gdy tylko ostatni ślad różu zniknął jej z oczy, Kaitlyn weszła do przedpokoju. Nie było czasu na skradanie się. Teraz liczyło się tylko szybkie działanie.

Stuknęła palcami w drewniany panel. Kliknięcie zabrzmiało boleśnie głośno. Zerknęła na Frost - nadal była odwrócona tyłem.

Panel się odsunął. Kaitlyn weszła w ziejącą dziurę.

Schodami na dół. Szybko. Szybko.

Nigdy się nie nauczyła, jak zamyka się panel od środka. Cóż, teraz było to bez znaczenia. Musi się tylko dostać do kryształu. Potem mogą ją odkryć, było jej to obojętne.

Dotarła na dół, zdjęła plecak z ramion i wyciągnęła z niego latarkę. Rano zwędziła ją z kuchennej szuflady.

Szybko. Jeszcze szybciej. Mały okrąg światła pokazywał jej drogę.

Aha. Tam.

Zamek z szyfrem na ścianie koło drzwi odbijał słabo światło. Miała wrażenie, że znalazła się w filmie science fiction. Na statku „Enterprise”.

Serce biło jej głośno - w gardle, w uszach, w koniuszkach palców. Mimo to Kaitlyn zachowała spokój. Przećwiczyła wszystko w głowie wczoraj w nocy.

Odłóż plecak na ziemię. Latarka w zęby. Wyjmij kartkę z możliwymi kombinacjami. Nie wykonuj zbędnych ruchów.

Małe gumowe kwadraciki poddały się jej palcom. Wystukany numer pokazał się na podświetlanym ekranie powyżej.

1... 4... 1... 2... 2... 5... 9... 2... Wprowadź.

Nic. Ekran zgasł.

Dobrze. Następna kombinacja!

1... 4... 2... 5... 1... 2... 9... 2...

Znowu nic. Kaitlyn poczuła narastającą panikę. Nadal miała sześć kombinacji, ale sprawdziła już dwie najlepsze. A jeśli pan Zetes zmienił szyfr? Czemu nie zrobiła wczoraj wieczorem nowego rysunku, żeby się upewnić? Boże, czemu o tym nie pomyślała?

Zaraz, zaraz. Zapomniałam o przycisku „Wprowadź”.

Nacisnęła odpowiedni guzik. Natychmiast rozległ się przyjemny szum oraz dźwięk, który skojarzył jej się z bankomatem.

Drzwi otworzyły się z miękkim kliknięciem.

Udało mi się! Och, dziękuję ci, Kolumbie. Będę ci wdzięczna do końca życia!

Serce znowu jej łomotało, a skóra mrowiła. Czowała podniecenie i strach. Musiała wziąć głęboki oddech, żeby nie stracić głowy.

No, dobrze, szybko. Teraz szybko. Ktoś na górze może zauważyć światło, więc lepiej najpierw wyciągnąć odłamek.

* „Enterprise” - statek kosmiczny, na którego pokładzie dzieje się akcja serialu *Star Trek* (przyp. tłum.).

Wygrzebała go z plecaka. Latarka wysunęła jej się spod brody. Kartka z kombinacjami szyfru spadła na ziemię. Kaitlyn to zignorowała.

No, dobra, mam go.

Wzięła odłamek kryształu w obie ręce.

Nigdy nie był taki miły w dotyku. Zimny, ciężki i ostry, był jak narzędzie broni, wzmacniał ją. Zdawał się mówić: *Od tej pory niczym się nie martw. Musisz tylko donieść mnie do kryształu. Ja się zajmę resztą.*

Tak, pomyślała Kaitlyn. Teraz.

To się okazało takie łatwe. Czemu Rob się o nią martwił?

Wyprostowała się. Trzymając kryształ niczym włócznię, pchnęła drzwi i weszła do środka. Było tam ciemno. Straciła latarkę. Sięgnęła do ściany i pomacała. Znalazła włącznik światła. Była gotowa je zapalić. Planowała przypuszczenie ataku na kryształ, jak tylko go zobaczy. Wydać z siebie okrzyk bitewny, dziedzictwo odległych irlandzkich przodków.

Teraz...

Włączyła światło i... zamarła.

Atak nigdy nie nastąpił. Kryształ rzeczywiście tam był, ogromny, zdeformowany i groteskowy - taki, jakim go zapamiętała. Lecz nie był sam. Przed nim były dwie... inne rzeczy.

Na ich widok oczy Kaitlyn zrobiły się wielkie jak spodki. Otworzyła usta, ale zamiast wojennego zawołania, wydała okrzyk z przerażenia.

Rozdział 13

W pierwszej chwili Kaitlyn była w stanie zarejestrować jedynie własną odrazę i przerażenie. Tego rodzaju obrzydzenie ogarniało ją w domu, gdy ojciec przerzucał łopatą ziemię w ogrodzie - i pod spodem ukazywało się coś miękkiego i wijącego się albo twardego i chitynowego.

To było podobne uczucie, tylko z tysiąc razy większe. Domyśliła się, że te dwie rzeczy to istoty ludzkie. A przynajmniej kiedyś nimi były. Teraz nienaturalnie zdeformowane sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze, jak wtedy, gdy zobaczyła stonogę. Albo wtedy, gdy oglądała obraz Hieronima Boscha przedstawiający sceny piekielne z ludźmi, którzy zamiast rąk mieli szczypce homarów albo okna w ciałach.

Od razu się zorientowała, że te dwie postacie są strażnikami. Nowymi strażnikami na usługach pana Zetesa. Pilnowali kryształu.

Sasha i Parte King.

Rozpoznała ich na podstawie opisu Bri - choć trzeba było wysilić wyobraźnię. Skóra Sashy była kredowobiała, jak u kogoś, kto nigdy nie oglądał słońca. Niemal przejrzysta, widać było przez nią błękitne żyły. Oczy miał czerwone jak mysz albinos albo ślepa ryba jaskiniowa.

Był blondynem, tak jak powiedziała Bri. Jego jasne włosy były niechlujne i pełne różnych rzeczy. Odpadków i kawałków papieru. Śmieci, które pokrywały podłogę. Wyglądał jak nagi ślimak: biały, wiotki i nieruchomy.

Był jeszcze Parte King - cokolwiek to dziwaczne imię znaczyło. Bri powiedziała, że jest chudy. Teraz przypominał szkielet. Skóra naciągnięta na kościach. Ciemne włosy wypadały mu kępkami, a pod spodem ukazywała się naga czaszka.

Przypominał świerszcza. Odnosiło się wrażenie, że wystarczyłoby nim potrząsnąć, żeby zaczął ćwierkać.

Obaj byli żywi, choć nie wyglądało na to, że długo pociągną. Kaitlyn uświadomiła sobie z czystym przerażeniem, że oni mieszkają tu na dole, samotni i szaleni, przypięci łańcuchami do podłogi. Gryzą ludzi w kostki i uśmiechają się od ucha do ucha.

Bała się, że zaraz zwymiotuje.

- Ma-ma-ma - powiedział rozpromieniony Sasha. Ślina kapła mu na brodę. Poruszył się jak robak w jej stronę.

Powinam uciekać, pomyślała beznamietnie Kaitlyn. Lecz ta myśl zniknęła, nim komunikat dotarł do jej nóg. Stała jak skamieniała i patrzyła na nabrzmiałą białą larwę, która pełzała do niej po podłodze. Wyglądała jak istota ludzka, która właśnie przekształca się w coś innego. Poczwarzka.

Nie dopuszczą jej do kryształu. Ich umysły były niczym zasłona przedzielająca pomieszczenie. Mieli taką moc, że prawie zważyło ją to z nóg, zaatakowało wszystkie jej zmysły. Dotknięcie ich umysłów wystarczyło, by pomyślała o gniciu i robalach.

Parte King wydawał z siebie terkoczące dźwięki. Usiadł. Obaj mieli na sobie kaftany, których rękawy ściągnięto za plecami za pomocą licznych pasków.

Kaftany bezpieczeństwa.

Poniżej byli owinięci workami na śmieci. W pierwszej chwili Kaitlyn nie wiedziała dlaczego, ale zaraz do niej dotarło: pieluchy.

Uciekaj, głupia! Błagam, uciekaj.

Parte King upadł do przodu i zaczął wolno przebierać swoimi patykowatymi nogami w powietrzu.

- Cz-cz-cz-cz-cz.

Nadal szczyrzył zęby w uśmiechu.

A więc tak kończą studenci pana Zetesa. Tobie też to się mogło przydarzyć. Trochę więcej czasu w pobliżu kryształu i...

Nadal zachowali swoje moce! Błagam, uciekaj stąd.

W końcu jej prośby dotarły do mózgu. Odwróciła się, żeby rzucić się do ucieczki. Miała przed sobą otwarte drzwi. Zrobiła chwiejny krok.

I wpadła na niewidzialną ścianę, jakby zgęstniałe powietrze. Zimne powietrze. A może to nie powietrze, lecz jej mięśnie.

Nie była w stanie zbliżyć się do drzwi. Złapali ją, drenowali jej myśli. Nie mogła się stąd wydostać. Być może cały czas o tym wiedziała.

Sasha gaworzył sobie radośnie i puszczał bąbelki jak niemowlę.

- Biedaki - wyszeptwała Kaitlyn.

Litowanie się nad nimi ani trochę nie zmniejszyło jej nienawiści do nich. Wiedziała, że nie można im pomóc. Pan Zetes zrobił im jeszcze większą krzywdę niż Marisol.

Nawet gdyby pozwolili jej do siebie podejść z odłamkiem, nawet gdyby potrafiła uzdrawiać, tak jak Rob, nie byłaby im w stanie pomóc. Nie miała co do tego wątpliwości.

Kolana się pod nią ugięły. Poddała się, usiadła na podłodze i patrzyła na te biedne istoty. Podpełzały coraz bliżej. Nic nie mogła zrobić.

Nic, poza czekaniem na pana Zetesa.

- Spodziewałem się, że mi to przyniesiesz - powiedział pan Zetes. - Bardzo ci dziękuję, moja droga.

Wyciągnął rękę po odłamek. Kaitlyn wbiła wzrok w jego długie palce z kwadratowymi, zadbanymi paznokciami. Zebrała się w sobie i spróbowała go dźgnąć.

To był idiotyzm. Za plecami miała ludzkie poczwaraki, które spowalniały każdy jej gest. A za panem Zetesem stali wszyscy psychole. Przyszli się zabawić. Poza tym sam pan Zetes był bardzo silny.

Wziął od niej odłamek, wykręcając jej przy tym boleśnie nadgarstek. Zrobił to specjalnie, pomyślała.

- W pewnym sensie szkoda, że postanowiłaś teraz się ujawnić - powiedział. - Mogłaś grać swoją rolę jeszcze przez parę dni. Wasze następane zadanie miało polegać na uciszeniu rodziny Diazów.

Jego przystojna twarz miała teraz czysto diaboliczny wyraz.

- Ma pan fajnych eksstudentów - wykrztusiła Kaitlyn. - Silne umysły. Jaka szkoda.

- Ma-ma-maaaa - zawtórował jej Sasha. - Maaa.

Pan Zetes spojrział na niego niemal czule.

- Nadal się na coś przydają - oznajmił. - Kryształ wzmocnił ich moc, w pewnym sensie pomógł im osiągnąć prawdziwy potencjał. Obawiam się jednak, że ty do nich nie dołączysz. - Odwrócił się bokiem i powiedział przez ramię: - John, zanieś to, proszę, do pokoju Joyce. Laurie i Sabrina, zabierzcie Kaitlyn na górę i ją przygotujcie. Paul, miej na nie oko.

Do kogo on mówi? - zdziwiła się Kaitlyn. Szakal Mac wziął odłamek i zniknął. Frost i Bri zrobiły krok do przodu i wzięły ją pod ręce, po czym wyprowadziły z pokoju. Renny poszedł za nimi.

W korytarzu przy ukrytym panelu stały Joyce i Lidia. Frost i Bri przeprowadziły Kaitlyn obok nich. Gdy dotarły na piętro, Kait zapytała:

- Co się ze mną stanie?

- Nieważne.

Frost popchnęła ją. Kaitlyn potknęła się i wpadła do pokoju, który Frost dzieliła z Bri. Twarz Frost iskrzyła od złośliwego triumfu. Wyglądała niemalże pięknie, jak anioł z choinki z włosami ze szklanych nitek. Miała cukierkoworóżową szminkę na wargach, która tak mocno się błyszczała, że odbijało się od niej światło.

- Bri? Powiesz mi?

Bri sprawiała wrażenie rozzłoszczonej.

- Ty oszuście. Ty mały, wredny szpiegu. - Jej chłopięcy głos brzmiał szorstko od gniewu i obrzydzenia. - Dostanie ci się zaraz.

Renny stał przed drzwiami pokoju. Skrzyżował ręce na piersi. Jego wąska twarz była surowa. Wyglądał jak kat. Frost szukała czegoś w stercie ciuchów na podłodze.

- Masz. Włóż to.

Był to kostium kąpielowy, jednoczęściowy, w biało-czarne paski.

Kaitlyn miała ochotę zapytać dlaczego, ale nie było sensu. Powiedziała:

- Nie rozbiorę się przy nim.

- Pan Zetes kazał mi was pilnować - oznajmił Renny. Nie zabrzmiało to lubieżnie, lecz beznamiętnie.

- Masz teraz większe problemy na głowie - powiedziała szorstko Bri.

Kaitlyn uznała, że nie ma sensu się kłócić. Dziewczyna miała rację: co za różnica? Odwróciła się tyłem do drzwi i się rozebrała. Renny był dla niej jak mebel. Starła się trzymać głowę wysoko podniesioną, poruszać się majestatycznie i z obojętnością. Lecz mimo to, gdy już wciągnęła na siebie kostium kąpielowy, twarz ją paliła, a w oczach stały jej łzy.

Frost zachichotała i strzeliła ramięczkiem na plecach Kaitlyn. Bri stała ze spuszczoną głową, w milczeniu. Nawet Renny unikał wzroku Kaitlyn, gdy się do niego odwróciła.

- Jestem gotowa.

Zaprowadzili ją na dół.

Nie do pokoju z kryształem, lecz do frontowego laboratorium. Drzwi do tylnego stały otworem. I wtedy Kaitlyn zrozumiała.

Nie będę krzyczeć, powiedziała do siebie. Sprawiłoby im to tylko jeszcze większą przyjemność. Bardzo by chcieli, żebym zaczęła krzyczeć.

Bała się jednak, że nie wytrzyma i zacznie ich błagać.

- Wszystko gotowe? - zapytał pan Zetes Joyce. Dziewczyna stała w drzwiach do laboratorium na tyłach.

Kiwnęła głową.

Szakał Mac gapił się na Kaitlyn. Tymi złymi oczami szakała. Usta miał częściowo rozdziawione. Wyglądał jak zdyszany pies,

On to uwielbia. Rozkoszuje się tym.

- Skończysz jak ci dwaj na dole - zwróciła się do niego Kaitlyn.

Szakał Mac uśmiechnął się chytrze.

Pan Zetes wykonał formalny gest, który skojarzył się Kaitlyn z innym momentem. Było to wtedy, gdy pierwszy raz go usłyszała, gdy zaprosił ją, Roba i innych do Instytutu i powiedział im, jacy są wyjątkowi. Miała wrażenie, że od tamtej chwili minęły długie lata.

- Moi drodzy - pan Zetes zwrócił się do całej grupy. - Myślę, że wszyscy znacie sytuację. Odkryliśmy szpiega. Od początku miałem podejrzenia, ale postanowiłem dać jej szansę. - Spojrzał na Joyce, która miała nieobecny wyraz twarzy. - Jednak teraz nie ma już wątpliwości, po co się tu zjawiała. Uważam, że najlepsze będzie ostateczne rozwiązanie. - Powiódł wzrokiem po wszystkich dokoła, po czym dodał: - Chcę, żebyście wszyscy byli

świadkami i zrozumieli, co się dzieje z tymi, którzy nadużywają mojego zaufania. Jakies pytania?

W laboratorium panowała cisza. Kurz wirował w padającym ukośnie popołudniowym świetle. Nikt nie miał pytań.

- No, to dobrze. John i Paul, zaprowadźcie ją do środka. Joyce zajmie się sprzętem.

Walcz, pomyślała Kaitlyn. To co innego niż krzyk. Gdy Mac i Renny po nią sięgnęli, zrobiła unik i rzuciła się do ucieczki, próbując przy tym kopać.

Lecz oni byli na to przygotowani. Mac nie zamierzał dać się znowu nabrać. Rzucił się na nią, jakby była stukilogramowym rozgrywającym na boisku i ściał ją z nóg. Kaitlyn zobaczyła gwiazdy i ogarnęło ją koszmarnie poczucie, że nie może oddychać. Brakowało jej powietrza.

Na moment straciła kontakt z rzeczywistością, a potem sobie uświadomiła, że siedzi i ktoś ją wali w plecy. Rozkaszała się. Nim zdołała odzyskać orientację, dźwignięto ją na równe nogi.

Kaitlyn była bezradna.

I wtedy usłyszała głos, słaby, wysoki i pełen przerażenia. Ze zdumieniem stwierdziła, że to Lidia.

- Proszę cię, nie rób tego. Proszę cię... ojczu.

Lidia stała przed panem Zetesem. Skrzyżowała dłonie na wysokości talii, nie w geście modlitwy, lecz jakby chciała przytrzymać swoje wnętrzości przed wypłynięciem na zewnątrz.

- Nie może już z tobą walczyć, dobrze o tym wiesz. Mógłbyś ją stąd odesłać. Nikomu by o nas nie powiedziała; wyjechałaby, trzymała buzię na kłódkę i wiodła spokojne życie. Prawda, Kaitlyn?

Lidia zwróciła swoje wielkie zielone oczy na Kait. Miała pobladłe wargi, ale w tych oczach był ogień, który wzbudził podziw Kaitlyn.

Świetnie, Lidio, pomyślała. W końcu mu się przeciwstawiłaś. Odezwałaś się i to w chwili, gdy nikt inny się na to nie zdobył.

Lecz nagle odezwał się ktoś inny.

- Emmanuelu, Lidia ma sporo racji - powiedziała Joyce niskim głosem. - Naprawdę nie jestem pewna, czy musimy posunąć się aż tak daleko. Nie podoba mi się to.

Kaitlyn wbiła w nią wzrok. Włosy Joyce były przygładzone niczym futerko foki, jej opalona twarz była gładka. A jednak Kaitlyn wyczuła, że wewnętrzne poruszenie Joyce dorównywało Lidii.

Dziękuję, Joyce. Wiedziałam, że to wszystko nie było grą. W głębi ducha jest w tobie coś dobrego. Kaitlyn zerknęła na pozostałych.

Bri przestępowała z nogi na nogę i drapała się w swoją pofarbowaną na niebiesko głowę. Była zarumieniona. Chyba miała ochotę coś powiedzieć. Renny miał zmarszczone brwi. Był zły, ale nie do końca przekonany.

Tylko Szakal Mac i Frost nadal robili wrażenie gorliwych i pełnych entuzjazmu. Oczy Frost lśniły niemalże romantycznym żarem, a Szakal Mac oblizywał sobie wargi przekłutym językiem.

- Ktoś jeszcze? - zapytał pan Zetes przerażająco cichym głosem. Następnie zwrócił się do Joyce: - Twoje szczęście, że wiem, iż nie mówisz poważnie. Udało ci się pokonać wewnętrzny opór w dużo delikatniejszych sytuacjach niż ta. Teraz też tak będzie, oczywiście. Nie chciałabyś przecież dołączyć do niej w zbiorniku. Albo spędzić nocy w pokoju na dole.

Przez twarz Joyce przeniknął dreszcz. Jej akwamarynowe oczy zamglily się.

- To samo dotyczy reszty z was - powiedział pan Zetes. - Ciebie również.

Patrzył na Lidię. Nie unióśł pięści do góry, nie podniósł nawet głosu. Lecz Lidia się uchyliła, a wszyscy inni znieruchomieli. Sama jego obecność wystarczyła, by ich zastraszyć.

- Każdy z was poszedłby na wiele lat za kratki, gdyby policja się dowiedziała, co robiliście przez ostatnich parę tygodni - ciągnął bezlitośnie ich szef. - Lecz ta sprawa nigdy nie trafi w ręce policji. Sam się wszystkim zajmę, jeśli mi się sprzeciwiacie. Wasi dawni koledzy na dole mi w tym pomogą. Nie macie dokąd uciec. Kryształ jest potężny, jeśli trzeba, sięgnie aż na drugi koniec globu i zmiecie was jak natrętną muchę.

Cisza i bezruch. Wszyscy gapili się w podłogę. Nawet Frost już się nie uśmiechała.

- Słucham? - wycedził pan Zetes szorstkim szeptem. - Czy ktoś jeszcze ma jakieś obiekcje?

Niektórzy pokręcili głowami. Była wśród nich Lidia, żałośnie przygarbiona. Inni stali cicho i nieruchomo, jakby mieli nadzieję, że szef na nich nie popatrzy.

- Gabriel? - zapytał pan Zetes.

Zaskoczona Kaitlyn podniosła głowę. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Gabriel do nich dołączył. Tak jak wcześniej nie zauważyła jego nieobecności.

Miał zmarszczone brwi. Wyglądał jak ktoś, kto przybył na przyjęcie i się dowiedział, że zaczęło się godzinę wcześniej, bez niego.

- Co się dzieje? - zapytał.

Powtórzył to samo pytanie bezgłośnie do Kaitlyn. Jego zwężone oczy wpatrywały się w czarno-biały kostium kąpielowy.

Co się dzieje? Co zrobiłaś?

- Kwestia dyscyplinarna - wyjaśnił pan Zetes. - Mam nadzieję, że w przyszłości to się nie zdarzy.

Kaitlyn nie czekała, aż skończy, lecz odezwała się do Gabriela.

Nie twoja sprawa. Gardzę tobą.

Z całej siły rzuciła w niego tą myślą, jakby to była puszka piwa, kamienie albo cegłówki. Wiedziała od Roba, gdzie uderzyć, żeby go najmocniej zabolalo, więc dodała: *Recydywista. Lepiej rób, co ci każe, bo wezwie policję.*

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że go nienawidzi. Cała ta odraza, której nie czuła do Renny'ego ani nawet do Szakala Maca czy Frost, ogniskowała się na nim. Cała złość i poczucie zdrady. Gdyby była bliżej, plunęłaby mu w twarz.

Twarz Gabriela stężała. Czuła, jak się od niej odsuwa, czuła lodowaty mur. Nie odezwał się więcej.

- No, dobrze - powiedział pan Zetes. - Chłopcy, weźcie ją do środka. Potem pójdziemy wszyscy do miasta na kolację. To trzeba uczcić.

Nie było sensu dalej walczyć. Mac i Renny zaciągnęli ją do tylnego laboratorium. Stała bez ruchu, podczas gdy Joyce wsadziła jej ustnik między wargi. Był połączony z rurką doprowadzającą powietrze, niczym maska do nurkowania.

Następnie Joyce założyła jej rękawice na ręce i zmusiła do włożenia płóciennego kaftana podobnego do tych, które miały oba stworzenia na dole. Ręce Kaitlyn związano. Do pasa w talii i do kostek przymocowano jej ciężarki.

Usłyszała jakiś głos za plecami. To był pan Zetes:

- Do widzenia, moja droga. Słodkich snów.

Joyce wsadziła jej coś do uszu, coś w rodzaju zatyczek. Nagle Kaitlyn przestała słyszeć.

Popchnęli ją do przodu.

Pomieszczenie do całkowitej izolacji wyglądało jak kosz na śmieci. Krzywy kosz na śmieci z drzwiami jak do schronu. Drzwi były otwarte. Zmusili ją do wejścia do środka. Nic nie mogła na to poradzić.

Zamkną ją, pogrzebią żywcem.

Otaczały ją ciemne ściany z metalu. Gdy pojemnik zaczęła wypełniać woda, nerwy Kaitlyn puściły. Krzyknęła. A przynajmniej próbowała krzyżeć. Lecz ustnik zadziałał jak knebel, a zatyczki do uszu stłumiły resztę. Była tylko cisza. Otaczała ją woda. I ciemność. Przekręciła się na plecy, żeby zobaczyć drzwi i światło...

Dostrzegła tylko zmniejszający się szybko biały prostokąt. Metalowe drzwi zatrzasnęły się ze zgrzytem. I to był ostatni dźwięk, jaki usłyszała.

Od samego początku było bardzo źle.

Przypomniała sobie słowa Bri: „Pewnie, to fajowe. Odjazd! Kosmiczny”. Liczyła na to, że na samym początku zbiornik będzie przyjemny. A przynajmniej znośny. Lecz tak nie było. To była śmiertelna pułapka i Kaitlyn czuła narastający w środku krzyk. Może to dlatego, że wiedziała, iż jest tu na dobre. Nie wypuszczą jej za godzinę czy dwie albo jutro. Będą ją tu trzymać tak długo, jak będzie trzeba - aż przemieni się w rzecz, w śliniący się kawał mięsa o pustym spojrzeniu i umyśle.

Na początku próbowała pokonać system. Wyprodukuje własne dźwięki, nie podda się. Lecz nawet najgłośniejszy śpiew ledwo docierał do jej uszu i wkrótce rozboleła ją od tego gardło. Po chwili nie była już nawet pewna, czy w ogóle śpiewa.

Trudno było kopać nogami obciążonymi ciężarkami. Gdy jej się to w końcu udało, okazało się, że zbiornik od środka wyłożono gumą. Kombinacja ciężarków, wody i gumowej wykładziny sprawiła, że prawie nic nie poczuła.

Nie była też w stanie się szczytać, bo przeszkadzały jej w tym rękawice. Ramiona miała unieruchomione. Nie mogła nawet zagryźć ust z powodu ustnika.

Co więcej, ten wysiłek ją wyczerpał. Gdy już spróbowała wszystkiego, co jej tylko przyszło do głowy, była wycieńczona i mogła już tylko dryfować. Ciężarki sprawiały, że unosiła się dokładnie pośrodku, z dala od góry i dołu zbiornika, a temperatura wody była tak ustawiona, że nie czuła ani zimna, ani gorąca.

Dopiero wtedy zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, w jak koszarnej sytuacji się znalazła. Było ciemno. Nic nie widziała.

Nic nie słyszała. Cisza była tak głęboka, tak przepastna, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle pamięta, co to jest dźwięk.

W tej głuchej ciszy jej ciało zaczęło się rozpuszczać.

Kiedyś, gdy miała trzynaście lat, przyśnił się jej koszmar. Obok niej w łóżku leżało czyjeś odcięte ramię. W środku nocy zorientowała się, że jedno z ramion jej ścierpło. Mogła go dotknąć: było chłodne, nienaturalnie bezwładne. W półśnie wydało jej się, że ktoś podłożył jej martwą, odciętą rękę do łóżka. Jej własne ramię wydawało się obce.

Potem we wszystkich nocnych koszmarach pojawiała się zimne, niebieskawe ramię, które się do niej tuli i próbuje wciągnąć ją pod łóżko.

Teraz Kaitlyn czuła się tak, jakby całe ciało jej ścierpło. Najpierw wydało jej się, że jest martwa, potem, że już nie ma ciała.

Jeśli w zbiorniku były jakieś ręce i nogi, to nie należały już do niej. To martwe, przekłete członki innych ludzi, które dryfują w wodzie i próbują ją zabić.

Po jakimś czasie zbladło nawet poczucie, że koło niej unoszą się ręce i nogi innych. Dokoła nie było już niczego.

Już nie unosiła się w małym koszu na śmieci. Miała poczucie, że przestała być gdziekolwiek. Była sama w jakimś ekstremalnym miejscu, otaczała ją nicość, pustka.

Świat zniknął, bo go nie wyczuwała. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale życie sprowadzało się do zmysłów. Nie wiedziała, że w środku zbudowała sobie mapę świata, na którą składało się to, co widziała i słyszała. A teraz niczego już nie było.

Czy świat na zewnątrz ma jakieś znaczenie? Czy istnieje coś poza wszechświatem? Może nigdy nie istniało nic poza nią.

Czy pamięta, jak wyglądał żółty kolor? Albo jaki jest w dotyku jedwab?

Nie. To były tylko słowa. Żadna z tych rzeczy tak naprawdę nie istnieje. Idee dotyku, smaku czy dźwięku wymyśliła sama, żeby uciec przed pustką.

Zawsze była sama w tej pustce. Tylko ona, tylko K...

Kim jestem? Przez moment prawie miała imię, lecz teraz ono również zniknęło. Była bezimienna.

Ja też nie istnieję.

Nie ma mnie.

Nie ma... nie... nie...

A potem:

Kaitlyn!

Rozdział 14

Gabriel się bał.

Frost siedziała koło niego przy kolacji. Był pewien, że pan Zeres jej kazał. Co chwilę go dotykała, muskała jego nadgarstek, klepała go w ramię. Pewnie na polecenie szefa.

Chcieli wiedzieć, czy będzie próbował skontaktować się z Kaitlyn.

Lecz restauracja w San Francisco była zbyt daleko od Instytutu. Nie mógł stąd sięgnąć do Kaitlyn. Joyce na pewno wspomniała o wszystkim panu Zetesowi. Gabriel nawet nie próbował nawiązać kontaktu; zamiast tego skupił się na jednej myśli, że wcale nie ma zamiaru tego zrobić. Chciał wmówić ludziom, że nienawidzi Kaitlyn równie mocno, jak nienawidził jej Szakał Mac.

Musiało mu się powieść, bo zielone oczy Lidii płonęły nienawiścią. Oczywiście wtedy, gdy jej ojciec nie patrzył.

Nie tylko ona wyglądała na nieszczęśliwą. Bri prawie nie dotknęła jedzenia. Renny w kółko przełykał ślinę, jakby było mu niedobrze. A Joyce siedziała prosto, jakby kij połknęła, z twarzą kompletnie wypraną z emocji. Akwamarynowe oczy wbiła w świeczkę na środku stołu.

Byli dość daleko od San Carlos, lecz nie aż tak daleko. Frost zostawiła go, żeby zatańczyć z Szakałem. Gdy tylko sobie poszła, Gabriel wyjął przyniesiony ze sobą odprysk kryształu z kieszeni.

To powinno zwiększyć jego zasięg, lecz czy wystarczająco? Nie miał pewności. Udało mu się nawiązać telepatyczne połączenie na taką odległość tylko raz, gdy konał z bólu.

Musiał spróbować.

Pan Zetes palił cygaro i przyglądał się tańczącym ludziom z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. Gabriel zacisnął dłoń na maleńkim kryształku i zaczął szukać.

Przerażające było to, że nigdzie nie mógł wyczuć Kaitlyn. Jej miejsce wypełnione było nicością. Nie była to nawet ściana, lecz pustka.

Zdesperowany zaczął wykrzykiwać jej imię.

W jej umyśle pojawiła się wizja.

W czym umyśle? Nieważne. Może wcale nie ma umysłu.

Róża w pełni rozkwitu z rumianymi płatkami. Płatki były w ciepłym kolorze, który już zapomniała. Na początku był to przyjemny obraz, wszystkie te płatki na łożdźce. Z czymś jej

się to kojarzyło. Lecz potem wizja się zmieniała. Płatki poczerniały, nabrały koloru pustki. Z róży zaczęła kapać krew. Była śmiertelnie ranna. Płatki zaczęły opadać... Na każdym z nich była twarz, która krzyczała...

Kaitlyn! Kaitlyn, słyszysz mnie?

Płatki opadały. Niczym łzy.

Kaitlyn! Boże, odpowiedz. Błagam cię, Kaitlyn. Kaitlyn!

W tym głosie brzmiała desperacja. Czyj to głos? I do kogo się zwraca?

Nie mogłem się z tobą wcześniej skontaktować. Posadził koło mnie Frost. A ona ciągle mnie dotykała. Domyśliłaby się. Teraz są przekonani, że nie chcę się z tobą porozumieć - och, błagam, Kaitlyn, odpowiedz. Tu Gabriel.

Nagle pojawiła się inna wizja. Ręka, z której kapała krew. Na podłogę. Ręka Gabriela, odcięta przez odłamek kryształu, ociekająca krwią.

Widziała to, ona, Kaitlyn. Ona była Kaitlyn.

Odzyskała siebie.

Gabriel?

Jego głos powrócił do niej z taką siłą, że ją to zabolalo.

Tak, Kaitlyn, mów do mnie.

To naprawdę ty? Myślałam... że się na mnie wściekłeś. Po tym, co powiedziałam...

Nie była pewna, co dokładnie mówi. Ani nawet co to jest mówienie.

Kaitlyn, przestań... Nawet o tym nie myśl. Dobrze się czujesz?

Głupie pytanie. Kaitlyn nie potrafiła ująć tego w słowa, więc wysłała po łączącej ich cienkiej, drżącej nici wizję pustki. Nicości, próżni, braku...

Przestań. Błagam cię, przestań. O Boże, Kait, jak mogę ci pomóc?

Kaitlyn czuła, że czarna studnia próbuje ją z powrotem zassać. Kurczowo trzymała się słabego połączenia z Gabrielem. Było niczym małe promień światła w jaskini. Dzięki niemu nie postradała jeszcze zmysłów, ale to było za mało. Potrzebne jej było więcej, musiała...

Musisz widzieć i słyszeć, powiedział Gabriel.

Już nawet nie pamiętam, co to znaczy, odpowiedziała Kaitlyn. Czuła narastającą falę hysterii, która odbierała jej rozsądek.

Gabriel powiedział tylko:

Pokażę ci.

Po czym zaczął przysyłać jej w myślach rzeczy, które widział lub słyszał, rzeczy ze wspomnień. Dał jej wszystko.

Pamiętasz słońce? Jest gorące i żółte, i takie jasne, że nie można w nie patrzeć. O, takie. Widzisz?

Dla jej pozbawionych bodźców zmysłów ten głos brzmiał jak prawdziwy głos, a nie telepatia. On z nią rozmawiał. I wysyłał jej obraz. Gdy tylko Kaitlyn go zobaczyła, przypomniała sobie. Słońce.

To jest dobre, powiedziała. Miłe.

Tak wygląda słońce latem. Wychowałem się w Nowym Jorku i mama czasami zabierała mnie nad ocean. Pamiętasz ocean?

Niebieskozielony chłód. Gorący piasek pod stopami. Spieniona, sycząca woda, piszczące dzieci. Zapach i smak soli.

Kaitlyn spijała to wszystko żarłocznie. Była wygłodniała każdego najdrobniejszego dźwięku, każdego szczegółu, widoku.

Więcej, proszę. Więcej.

Szliśmy na spacer promenadą, tylko mama i ja. Zawsze kupowała mi hot doga i lody. Nie miała dużo pieniędzy, bo mój stary wszystko przepijał, ale czasem udawało się jej wydusić z niego dolara za ugotowanie pysznej kolacji. I za to kupowała mi lody. Pamiętasz lody?

Kremowy chłód. Lepka broda. Intensywny, ciemny smak czekolady.

Pamiętam. Dziękuję ci, Gabrielu.

Dał jej więcej. Wszystkie swoje najlepsze wspomnienia, wszystko, co tylko przyszło mu do głowy i było dobre. Każde złociste popołudnie, każdą jazdę na deskorolce, każdą chwilę z mamą, gdy miał siedem lat, i gorączkę, która ujawniła jego moc.

Wszystko, co się na niego składało, oddał Kaitlyn.

Kaitlyn pochłaniała te wrażenia, napełniała się realnością świata na zewnątrz. Była przesycona słońcem i chłodnym wiatrem, zapachem palonych liści i smakiem cukierków na Halloween.

I muzyką.

Nie wiedziała nawet, że Gabriel tak kocha muzykę. Gdy miał czternaście lat, chciał grać w zespole. Któregoś wieczoru miał sesję z perkusistą, starając się dopracować synchronizację - i nagle perkusista padł na podłogę i złapał się za głowę.

Przygwoździł go umysł Gabriela. Gabriel chciał mu pomóc, ale chłopak zerwał się i uciekł z krzykiem.

Tydzień później Gabriel był już w drodze do ośrodka badawczego w Durham. Dyrektor tej instytucji, jego matka oraz pracownik opieki społecznej mieli nadzieję, że tam nauczy się kontrolować swoją moc. Jego ojciec powiedział tylko:

- Dziwadło.

- Zignoruj to - poprosił Gabriel.

Chciał dać jej tylko dobre rzeczy, nic przynębiającego. Wyczuła, że nie chce, by zobaczyła twarz jego ojca z kilkudniowym zarostem i zmęczonymi, przekrwionymi oczami. Ani by poczuła palące, gorące razy wymierzane pasem.

Nie martw się, powiedziała Kaitlyn. Nie będę patrzeć na nic, czego nie chcesz mi pokazać, ale nie musisz się o mnie martwić... Nikomu nic nie powiem. I jest mi przykro. Och, Gabrielu, tak mi przykro. I...

Chciała mu powiedzieć, że teraz go rozumie, że nigdy tak nikogo innego nie rozumiała. Była z nim. Była bliżej i głębiej niż z kimkolwiek wcześniej. Zniósł wszelkie bariery i oddał w jej ręce swoją duszę.

Kocham cię, powiedziała do niego.

Kocham cię, Kaitlyn. Od pierwszej chwili.

Zobaczyła siebie samą, jego oczami. Fragmenty jego wspomnień o niej. Jej oczy w przydymionym odcieniu błękitu z dziwnymi, ciemniejszymi obwódkami, okolone gęstymi, ciemnymi rzęsami. Jej skóra o smaku brzoskwiń. Włosy, które elektryzowały się przy czesaniu, płomienne i jedwabiste.

Wyczuwała również fragmenty tego, co o niej myślał przez te wszystkie tygodnie.

Ta dziewczyna mogła się okazać zbyt interesująca, mogła stanowić pokusę, by się znowu zaangażować. .. Dziewczyna, która stanowi dla Ciebie wyzwanie, która może okazać się równym partnerem... Jej umysł jest jak błękitne jezioro i płonący meteor... Jej szczupła i dumna sylwetka, niczym u średniowiecznej księżniczki czarownicy, odcinała się od porannego nieba...

A potem pomyślałem, że mnie zdradziłaś, powiedział. Lecz tak naprawdę przyszłaś mnie chronić, prawda?

I wtedy Kaitlyn uświadomiła sobie, że zajrzał w jej umysł równie głęboko, jak ona w jego. Myślała, że dawał, a ona tylko brała... lecz - oczywiście - musiał się z nią zupełnie zjednoczyć, by podzielić się swoim życiem.

Teraz wiedział wszystko.

I wtedy natrafił na coś, co wprawiło Kaitlyn w dygot.

- Szakał Mac powiedział... co?

Kaitlyn wiedziała, na które wspomnienie teraz patrzy.

*Powiedział, że mu kazałeś wziąć mnie pod lupę.
Zimny gniew Gabriela wypełnił wszechświat.
- Nigdy niczego takiego nie powiedziałem. W ogóle nigdy z nim o tobie nie rozmawiałem.
Wiem, Gabrielu. Nie miała wątpliwości.
Lidia wiedziała, że podczas podróży do Kanady dałaś mi się napić swojej energii.
Pewnie mu o tym wspomniła...
Gabrielu, zapomnij o tym.
Jego wściekłość ją bolała, napełniała wizjami śmierci, Szakala plującego krwią.
Proszę cię, myśl o czymś miłym.*

Tak więc zrobił. Przez całą noc myślał o pięknej muzyce, o zboczach wzgórz porośniętych kwiatami dzikiej gorczycy, a zapachu świeżo zatemperowanego ołówka i smaku bananowych cukierków ślazowych. O dotyku, o tym, jak jej dotknie, jeśli wróci do świata.

Rob gapił się na brzeg koca, który służył za zasłonę na okno. Nie ruszył się z miejsca, bo nie chciał obudzić innych. Na podłodze leżeli Anna, Lewis i Tamsin. Nawet czarny kociak, którego Anna dostała od Tony'ego, zwinął się w kłębek. Lecz Rob nie mógł spać. Przy brzegach koca widać było słabe światło.

Poranek. A Kaitlyn wczoraj nie zadzwoniła.

Miał złe przeczucia.

Niby nie miał powodu. Kaitlyn im przecież powiedziała, że może będzie musiała poczekać na odpowiednią okazję. Pewnie tak właśnie jest.

Lecz Rob był chory ze strachu.

Rob?

Odwrócił się i zobaczył, że patrzy na niego Anna. Na jej twarzy ani w ciemnych oczach nie było ani śladu snu.

Ja też nie mogę spać.

Położyła mu rękę na ramieniu, a on przykrył ją swoją dłonią. Ciepło promieniujące z jej ciała podniosło go trochę na duchu.

Chcesz iść jej poszukać, co?

Rob znowu odwrócił się w stronę okna. Jej spokojne spojrzenie, opanowana twarz i łagodna obecność wzmacniały go.

- Tak - wyszeptał.

W takim razie pójdziemy. Ja też myślę, że powinniśmy iść. Trzeba obudzić Lewisa i Tamsin.

Kaitlyn wiedziała, że jest poranek, bo tak jej powiedział Gabriel.

Chyba niedługo cię wyciągną. Pan Zetes przyjechał chwilę temu. Joyce właśnie łomocze w drzwi na górze.

Kolejna odsłona cyrku, co? - zapytała Kaitlyn.

Już nie wiedziała, co myśli o zewnętrznym świecie. Wiedziała jednak, że nie podoba jej się perspektywa tego, że ktoś miałby się na nią gapić.

Będę z tobą, powiedział Gabriel.

Z upływem nocy coraz częściej wyłapywała od niego coś dziwnego, coś, co cały czas tkwiło za myślami, którymi się dzielili, co go trzymało od niej na odległość. Choć starał się to kontrolować, domyśliła się, że to musi być ból.

Gabrielu, dobrze się czujesz? Mam wrażenie... Coś cię boli?

Boli mnie głowa. Drobiazg. Nadal to czujesz?

Znowu miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Tym razem lepiej.

Dobra, Joyce właśnie kazala nam zejść na dół, po chwili dodał: Jesteśmy w laboratorium.

No, tak, pora na prezentację. Kaitlyn zaśmiała się bezgłośnie i nerwowo. Ciekawe, co sobie pomyśla. Pewnie powinnam zgrywać wariatkę.

Nieglupi pomysł. Kait, jeszcze nie wiem, jak cię uratować. Innym też się nie podoba, co tu się wyprawia. Wydaje mi się, że to Joyce uprosiła pana Zetesa, żeby cię już wyciągnął. Ale oni się go boją. Mogę walczyć z nimi tylko pojedynczo.

Kaitlyn to wiedziała. Niszczycielska siła Gabriela działała najskuteczniej, gdy mógł dotknąć swojej ofiary, a na to trzeba czasu. Nie dałby rady powstrzymywać Szakala Maca i Renny'ego, gdy będzie zajęty panem Zetesem.

Poza tym jesteś osłabiony, powiedziała do niego. Bo mi pomagales. Przepraszam. Jakoś damy radę - może wsadzą mnie tylko z powrotem do zbiornika.

I wtedy dotarło do niej coś, od czego krew zadudniła jej w uszach.

Poczekaj! Rob jest w drodze. Zapomniałam. Zapomniała o zewnętrznym świecie. Poczekaj tylko, aż on tu dotrze. On nam pomoże.

To zależy od tego, co pan Zetes chce z tobą zrobić. Właśnie przemawia. Gada i gada. Nie chcę tego słyszeć.

Zdajesz sobie sprawę z tego, że Rob wcale nie myśli tego, co powiedział u Marisol w domu? Był na ciebie wściekły. Zraniony. Czuł się zdradzony. Ale to dlatego, że naprawdę mu na tobie zależy. Wiesz to, prawda?

Nawet teraz Gabriel nie chciał odpowiedzieć na to pytanie. Lecz Kaitlyn zbyt głęboko w niego zajrzała, by dać się nabrać. Jej pytanie było czysto retoryczne. Gabriel wiedział. Jego uczucia w stosunku do Roba były wymieszanie z poczuciem winy, zazdrością i rozgoryczeniem wynikającym z łatwości, z jaką Robowi przychodziło bycie dobrym, a także to, że całe życie otacza go miłość.

Kaitlyn pomyślała jednak, że Rob ucieszyłby się, gdyby wiedział, co Gabriel czuje pod spodem. Podziw dla Roba. Szacunek. Pragnienie, by stać się kimś, kogo Rob by mógł polubić.

Ależ on cię lubi, powtórzyła Kaitlyn, a potem do niej dotarło, że właśnie otwierają się drzwi zbiornika.

Był to dźwięk innego rodzaju niż ciepły głos Gabriela. Pomyślała, że gdyby rzeczywiście była pogrążona w ciszy przez całe wczorajsze popołudnie oraz noc - jakieś piętnaście godzin - to teraz już nie miałaby pojęcia, co to jest dźwięk i pewnie zaczęłaby krzyczeć ze strachu. Na szczęście nie musiała teraz udawać, bo nikt jej i tak nie słyszał.

Jakieś ręce się po nią wyciągnęły. Ich dotyk był równie nieprzyjemny, co zgrzyt drzwi. Wszystko było takie szorstkie. Jej skóra zrobiła się bardzo wrażliwa i najlżejszy dotyk mógł ją zranić. A te ręce nie obchodziły się z nią delikatnie.

Następnie światło uderzyło ją w oczy. Bolało i oslepiło jednocześnie, dezorientowało ją. Widziała tylko biel, którą czasem przesłaniał jakiś kształt. Zmrużyła oczy, bo to trochę pomagało. Łzy popłynęły jej po twarzy.

To bez znaczenia. I tak była cała mokra. Czuła, jak ściągają z niej kaftan bezpieczeństwa, ciężarki i wyjmują ustnik. A potem, gdy z wolna zaczęła odzyskiwać wzrok, odwrócono ją przodem do pana Zetesa.

Była biała i cała pomarszczona. Usta ją bolały, miała ściernięte ręce i ramiona, kolana się pod nią ugiwały. Na podłogę ściekała z niej woda.

- Nie może ustać na nogach - oceniła krótko Joyce. - Bri, przynieś krzeselko.

Posadzili ją. Pan Zetes przyjrzał się jej uważnie.

Co teraz? - zapytała Kaitlyn Gabriela. *Chyba nie dam rady krzyknąć. Powinnam zrobić nieobecny minę?*

Spróbuj. Poleciał jej. Teraz, gdy słyszała prawdziwe głosy, jego telepatyczny szept brzmiał inaczej.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię, Kaitlyn? - zapytał pan Zetes. - Czy wiesz, gdzie jesteś?

Miał skupioną minę. Niczym koneser, który właśnie ma pociągnąć pierwszy łyk wina i zanim to zrobi, smakuje bukiet. Jeśli uzna, że ona stała się już porządną wariatką, to powie: „Aaach”.

Kaitlyn starała się robić wrażenie obłąkanej. Spojrzała na niego, starając się naśladować spojrzenie ludzkich poczwerek. Zastanawiała się, czy powinna próbować powiedzieć: - „Ma-ma-maaa...”

Bała się jednak, że robi to nie tak. Zamiast tego próbowała się więc uśmiechnąć. Natychmiast się zorientowała, że to na nic. Pan Zetes doskonale się znał na szaleńcach - on ich kolekcjonował, jego przesywające oczy się rozszerzyły, a potem zwężyły. Uważnie się jej przyglądał. Kaitlyn mogłaby się założyć, że dostrzegła w nich czerwoną iskierkę.

A potem jego białe brwi się ściągnęły ponad orlim nosem, a usta zacisnęły w zgorzkniałą, pogardliwą kreskę. Postawił swoją laskę ze złotą główką na ziemi i wyprostował się, niczym biblijny patriarcha. Tylko że przypominał bardziej *El Diablo*, *El Gato*, Szatana.

- Nie udało się - powiedział i spojrzał na Joyce. - Dlaczego?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Nawet Kaitlyn usłyszała ulgę w jej drżącym głosie. Dłoń Joyce nacisnęła lekko plecy Kaitlyn, poza zasięgiem wzroku pana Zetesa.

- Ta dziewczyna próbowała nas zniszczyć. I to nie raz. Wielokrotnie.

Głos pana Zetesa drżał od powściąganej złości. Joyce się wyprostowała.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Nie wiem, jak udało jej się to wytrzymać. Ale teraz, gdy przez to przeszła...

Na twarzy pana Zetesa malowała się wewnętrzna walka - w jednej chwili była wyrazem szatańskiej wściekłości, a w następnej wygładzała się, jakby próbował to stłumić. Niemal jak plastelinowa animacja, pomyślała Kaitlyn. W końcu nad sobą zapanował. Wargi rozciągnęły mu się w ponurym uśmiechu.

- Teraz będziemy musieli po prostu znaleźć inne rozwiązanie - powiedział do Joyce. - Kryszał się nią zajmie.

Kaitlyn poczuła ucisk w żołądku. Spojrzała na Gabriela, który stał w jednym rzędzie z Rennym, Szakalem i Lidią. I wtedy usłyszała:

Kaitlyn? Kaitlyn, tu Rob. Jesteś już w moim zasięgu?

Robi Dzięki Bogu. Rob, dzięki Bogu, że przyszedłeś wcześniej.

Poczuła również błysk odpowiedzi Gabriela. Przeogromną ulgę.

Rob, gdzie jesteś? - zapytała Kaitlyn.

Na rogu. Martwiliśmy się, że może jesteś w tarapatach.

Jesteśmy! Rob, lepiej się pośpiesz. W tym samym momencie Gabriel powiedział: Jeśli uda ci się jakoś odwrócić ich uwagę, spróbuję wydostać Kait.

W tym momencie Kaitlyn została na siłę przywołana z powrotem do realnego świata. Frost wyskoczyła do przodu i złapała ją za rękę, kurczowo owijając wokół niej palce. - Już wiem, jak to zrobiła! - pisnęła Frost wysokim i ostrym tonem, przesyconym złościwością. - Ona z nimi rozmawia! Właśnie do nich powiedziała, że się boi, że ich złapiemy. Oni tu idą!

Kaitlyn wyrwała rękę, jakby się sparzyła. W środku eksplodowała wściekłość. Odsunęła rękę dla zwiększenia impetu, po czym z całej siły trzasnęła Frost w policzek. Lecz Gabriel nie stracił głowy. Usłyszała, jak wykrzykuje ostrzeżenie do Roba. *Zostańcie tam, gdzie jesteście! Dowiedzieli się o was! Nie zbliżajcie się do domu!* - Szybko. - Pan Zetes się uśmiechnął. Rozkoszował się każdym słowem. - John, Laurie, Paul, proszę zaprowadzić Kaitlyn na dół. Wszyscy tam idźcie. Pośpieszcie się. To będzie interesujące.

Kaitlyn próbowała wyrwać się Szakalowi, Frost i Renny'emu, ale była zbyt osłabiona. Chyba bardziej im utrudniała zadanie, dając się bezwładnie ciągnąć.

Gabriel też nie walczył - pewnie dlatego, że było ich zbyt wielu, pomyślała Kaitlyn. Lecz nie bardzo rozumiała, dlaczego trzyma się z tyłu i jako ostatni zszedł na dół do ukrytego pokoju. Próbowała na niego zerknąć, gdy ją ciągnęli na dół, ale nic nie zobaczyła.

- Chcę go własnoręcznie zabić! - wrzasnął Gabriel piętro wyżej.

Kaitlyn poczuła świeże ukłucie przerażenia. A co, jeśli kryształ doprowadził Gabriela do szaleństwa, tak jak innych? I dopiero teraz wyszło to na światło dzienne?

Gabrielu...

Nie odpowie. Dlatego że Frost jej dotyka? Nie wiedziała.

- Chodź na dół! - zawołał pan Zetes, wystukując szyfr na panelu koło drzwi.

Kaitlyn nie chciała tam wejść. Nie chciała. Szarpała się ze zdwojoną energią, gdy wciągnęli ją do środka.

Potem uderzył ją zapach ludzkich poczwarek. Zrobiła się bezwładna.

Przeprowadzili ją koło kryształu do jedynego mebla w tym pomieszczeniu - krzesła. Wszyscy inni zbierali się w środku. Pan Zetes zagonił ich do środka, pokazał gestem, że mają się stłoczyć. Jak ktoś, kto chce zmieścić jak najwięcej ludzi do windy. Gabriel przyszedł jako ostatni. Stał pod ścianą, obok reszty zgromadzonych.

Pan Zetes cofnął się o krok. Opierał się obiema rękami o laskę i wpatrywał się wyczekująco w drzwi.

- Nie przyjdą - powiedziała do niego Kaitlyn. Jej głos brzmiał szczerze, szkoda tylko, że drżał. - Ostrzegłam ich. Nie są tacy głupi, żeby to zrobić. Wiedzą, że na nich czekacie.

Pan Zetes się uśmiechnął.

- Słyszałaś, moja droga? Ktoś właśnie się włamał przez kuchenne drzwi.

Rob? Jesteś w środku? Rob, posłuchaj... Nie rób tego. Trzymaj się z daleka! Nie zbliżaj się!

Lecz rozkazujący ton, który zadziałał w sali gimnastycznej, tym razem na nic się nie zdał.

To moja decyzja, Kaitlyn, powiedział Rob.

Kaitlyn usłyszała kroki na schodach.

Rozdział 15

Rob, wracaj, skąd przyszedłeś! - krzyknęła głośno Kaitlyn.

Rob wszedł do środka. Był zarumieniony, włosy miał rozwiane, a oczy mu błyszczały. Zbiegł po schodach i stanął w progu, gotowy do walki. Rozejrzał się dokoła, żeby oszacować sytuację. Chciał znaleźć Kaitlyn oraz sposób na wydostanie jej stamtąd.

- Idź stąd - wyszeptała Kaitlyn.

Anna i Lewis byli zaraz za Robem. Przystąpili próg i znaleźli się w pułapce. Za ich plecami stała dziewczyna, która wydała się Kaitlyn znajoma. Jasne loki i skośne oczy... oczywiście, to Tamsin.

- Gość z Bractwa! - powiedział pan Zetes. - Co za zaszczyt.

Uklonił się nad swoją laską.

Nie podszedł, by zamknąć drzwi. Nie musiał. Gdy znaleźli się wszyscy w środku, szturchnął nogą Parte Kinga.

Kaitlyn poczuła, jak jego moc przybiera na sile, by zatrzymać przybyłych w środku. Jak gdyby w otwartych drzwiach nagle wyrósł mur. Rob spojrzął na istoty na podłodze. Poblądł pod opalenizną, a światło w jego oczach przygasło.

I nagle było już po wszystkim, jego ruchy zrobiły się wolne. Tak samo jak pozostałych. Niczym muchy złapane na lep, pomyślała Kaitlyn. Komary w pajęczynie.

- Coś ty im zrobił? - wyszeptał Rob, przenosząc wolno wzrok z Sashy na pana Zetesa.

- Niefortunne badanie pilotażowe - powiedział bez emocji pan Zetes. - Nie denerwuj się. Sam się przekonasz, że po jakimś czasie to nie jest takie straszne.

- Maaaa - jęknął Sasha.

Rob próbował odsunąć się od pana Zetesa - Kaitlyn dostrzegła determinację na jego twarzy oraz napięte jak postronki mięśnie. Sasha i Parte King mu się przyglądali. Ich moc wzrosła i unieruchomiła Roba. Kaitlyn to nie tylko widziała, ale także czuła. Rob przestał z tym walczyć i stał, ciężko dysząc.

- Trzeba było się trzymać z daleka - odezwała się Joyce, która chyba była na krawędzi łoża. - Tak by było lepiej. Naprawdę.

Rob nawet na nią nie spojrzął. Patrzył na Kaitlyn.

Przepraszam, Kait. Wszystko schrzaniłem.

Kaitlyn poczuła wilgoć na policzkach.

To ja przepraszam. To przeze mnie tutaj jesteście.

Spojrzała na Tamsin. Zachodziła w głowę, czy jest jeszcze nadzieja. Ludzie z Bractwa należeli do rasy obdarzonej siłami psychicznymi, mieli starożytną wiedzę. Czy jest jakaś broń...?

Lecz twarz Tamsin niczego nie zdradzała. Dziewczyna wpatrywała się bez słowa w dwie istoty na podłodze. Usta miała otwarte z litości i bezradnego smutku. Chyba nawet nie przyszło jej do głowy, że mogliby walczyć.

No, tak, Aspekt, pomyślała Kaitlyn. Filozofia Bractwa. Nie odwoływanie się do przemocy, pasywny opór. Tamsin nie przyda się na wiele.

- Nie spodziewałem się, że ten poranek okaże się taki owocny - powiedział uradowany pan Zetes. Brakowało tylko, żeby zaczął zacierać ręce z radości. - Ostatnie dwa dni były znakomite, po prostu znakomite. Pora to dokończyć.

Zrobił krok w stronę Roba. Spowalniająca moc ludzkich poczwerek na niego nie oddziaływała.

- Zostawię was tu na dole, żebyście zawarli znajomość z moimi byłymi studentami - odparł. - Myślę, że wkrótce będziecie na tym samym poziomie komunikacji, zwłaszcza jeśli przywiążę was do samego kryształu. To dość bolesne, zwłaszcza na początku i w dużych dawkach. Ale wy to przecież już wiecie.

- Nie możemy po prostu zniknąć - odezwała się Anna. - Rodzice będą nas szukać. Dowiedzą się, co pan zrobił, i pana zabiją.

- Innymi słowy, nie upiecze mi się - przełożył beznamiętnie pan Zetes. - No, dalej, moja droga, powiedz to, nie mam nic przeciwko banałom. Prawda wygląda jednak tak, że jak najbardziej mi się upiecze. Widzisz, mam kilka posiadłości na terenie całego kraju oraz zagranicą. Kryształ nie jest aż taki niemobilny, jakby ci się mogło wydawać. Przywiozłem go do Stanów Zjednoczonych z bardzo daleka.

Spojrzał na Tamsin, jakby to był żart, który tylko ona mogła zrozumieć.

Nie zareagowała. Wzruszył lekko ramionami i ciągnął dalej:

- Więc, widzisz, mogę łatwo zabrać kryształ i swoich studentów gdzieś indziej. Nic więcej nie potrzebuję. Oczywiście was zostawię tutaj. Pod opieką rodziców.

I uśmiechnął się przerażająco.

Kaitlyn była dumna ze swoich współtowarzyszy. Stali w drzwiach, skrzepowani niewidocznymi więzami, ale żadne z nich się nie złamało ani nie okazało strachu. Anna stała z głową podniesioną wysoko. Lewis był wyprostowany, miał zaciśnięte pięści. Na jego okrągłej twarzy malowała się surowość. Rob wyglądał jak młody, gniewny anioł.

Kocham was, powiedziała do nich Kaitlyn. *Kocham was i jestem z was dumna*.

Jakiś głos przerwał jej pełne podziwu myśli.

- Nigdzie z wami nie jadę! Zostanę tu z nimi - oznajmiła z pasją Lidia.

Pan Zetes zmarszczył lekko brwi.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie pojedę! Nienawidzę tego, co robicie. Nienawidzę ciebie! - Lidia stała z przyciśniętymi do ciała łokciami i pięściami na wysokości ramion. - Nie obchodzi mnie, czy ci się tym razem powiedzie; nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie; nie obchodzi mnie, nie obchodzi mnie...

- Siedz cicho! - krzyknął wściekle pan Zetes.

Lidia zamilkła, lecz nadal kręciła głową, a jej ciemne włosy fruwały wokół głowy.

- Zrobisz, jak ci każę - burknął pan Zetes. - Albo zostaniesz tutaj, a nie wydaje mi się, żeby to ci się spodobało. - Spojrzał na Joyce. Był zły, że ktoś mu popsuł ten przyjemny poranek. - No, dobrze - mruknął. - Zakończmy to i chodźmy na śniadanie. Zdejmij chłopcom łańcuchy i przyprowadź ich tutaj.

Kaitlyn spojrzała na łańcuchy, którymi byli skuci Parte King i Sasha. Mieli je na obu kostkach nóg. A to znaczy, że jeden łańcuch był dla niej, jeden dla Roba, jeden dla Anny i jeden dla Lewisa. Tamsin pewnie nie będzie nawet próbowała walczyć.

Lecz po chwili Kaitlyn podniosła wzrok, bo coś było nie tak. Joyce nie ruszyła się z miejsca, by wykonać polecenie pana Zetesa. Stała i kręciła przecząco głową.

- Nie proszę cię, żebyś to zrobiła, Joyce, lecz ci rozkazuję!

Joyce jeszcze raz pokręciła głową, wolno i zdecydowanie. Jej akwamarynowe oczy były wbite w twarz mężczyzny.

- Brawo, Joyce - pochwaliła dziewczynę Kaitlyn, po czym zwróciła się do pana Zetesa: - Nie widzi pan? Wszyscy się zwracają przeciwko panu. I zawsze tak będzie. Nigdy pan nie wygra.

Pan Zetes spurpurowiał.

- Niesubordynacja! Niesubordynacja i brak dyscypliny! - zawołał. - Czy jest tu ktoś, kto wie, co to jest lojalność?

Jego przeszywający wzrok przesunął się po pomieszczeniu. Bri i Renny opuścili głowy.

Pan Zetes spojrzał na Szakala Maca.

- John! Weź klucze od Joyce i natychmiast rozkuj łańcuchy!

Szakal Mac posłuchał polecenia. Zabrał się do obmacywania kieszeni Joyce w poszukiwaniu klucza, ale odtrąciła jego rękę i sama go wyciągnęła, cały czas nie spuszczając oczu z pana Zetesa.

Mac przeszedł, powłócząc nogami, na środek pokoju i rozpiął łańcuchy Sashy.

- Daj mi je - rozkazał niecierpliwie pan Zetes. - A potem zdejmij pozostałe.

Gdy Mac zabrał się do wykonywania polecenia, pan Zetes popatrzył na Roba. Kaitlyn widziała, że próbuje odzyskać swoje wcześniejsze opanowanie, lecz mu się to nie udało. Był tylko rozgniewanym, starym człowiekiem, który marzy o zemście.

- No, dalej, spróbuj się szarpać - prowokował Roba. - Nie uda ci się poruszyć. A gdy cię skuję łańcuchami, chłopcy na podłodze przesuną cię po trochu w stronę kryształu, aż go dotkniesz. Tego wspaniałego kryształu, ostatniego ze starożytnych ognistych kamieni. No, dalej, popatrz na niego.

Wskazał na obsceniczną rzecz na środku pomieszczenia, na kryształ promieniujący własnym nieczystym, mlecznym światłem. Na czekające na nich wszystkich narzędzie śmierci.

- Gdy tylko go dotkniesz, twój umysł się przegrzeje - ciągnął pan Zetes. - W ciągu kilku godzin kompletnie się wypali. Staniesz się pustą skorupą. Twoja moc nadal tam będzie, ale ciebie już nie będzie. - Uklęknął i podciągnął łańcuch do kostki Roba. - A teraz...

- Nie wydaje mi się - powiedział Gabriel.

Gdy pan Zetes mówił do Roba, ludzkie poczwarki były zajęte kontrolowaniem Roba, a Szakal Mac zdejmował pozostałe łańcuchy, Gabriel przesunął się wolno do przodu. Kaitlyn to zauważyła, ale nie bardzo wiedziała, co planuje. Nic ze sobą nie miał. Poczwarki powstrzymają każdą próbę walki.

Lecz gdy Gabriel się odezwał, jednocześnie rozległ się świst. Ten dźwięk słyszała w pokoju Marisol i na Ivy Street, gdy z rękawa wysunął mu się nóż sprężynowy.

Tylko że tym razem to nie był nóż.

Trzymał w ręce odłamek kryształu. Dzierżył go niczym miecz gotowy do pchnięcia. Czubek znajdował się niecałe pół metra od dużego kryształu na środku pomieszczenia.

Teraz Kaitlyn zrozumiała, dlaczego zszedł na dół jako ostatni. Poszedł do pokoju Joyce po odłamek.

- Nie zakładaj łańcuchów - rozkazał Gabriel. - Albo przyłożę to do kryształu.

Kaitlyn usłyszała metaliczne kliknięcie i domyśliła się, że pan Zetes nie posłuchał.

Wyprostował się i popatrzył na Gabriela. Nie był spanikowany, zauważyła Kaitlyn.

- A teraz, Gabrieli - rzekł i zrobił krok w jego kierunku.

Mały krok. Gabriel zeszytniał. Koniuszek odłamka zadygotał. Kaitlyn widziała, że odłamek przyciąga jeden z narośli kryształu, jak stalaktyt i stalagmit, które próbują się zetknąć.

- Nie ruszaj się! Pan Zetes zamarł.

- A teraz... - odezwał się Gabriel. - Kto nie chce umrzeć, niech się lepiej cofnie.

W tym samym momencie pan Zetes kopnął jedną z leżących istot.

- Powstrzymajcie go! Zepchnijcie go pod ścianę.

Parte King, ten przypominający świerszcza, przetoczył się na bok i spojrzał na Gabriela. Sasha zwrócił ku niemu swoją nabrzmiałą, białą głowę. Obaj uśmiechali się od ucha do ucha.

Kaitlyn poczuła, że ich moc znowu narasta, ogarnia Gabriela niczym lepka żywica zbierająca się dokoła muchy i zamienia w bursztynowe więzienie. Zobaczyła, jak Gabriel

wyrywa się do przodu, po czym zamiera. Koniuszek odłamka był zaledwie kilka centymetrów od wyszczerbionej narośli.

Zebrała się w sobie i wrzasnęła:

- Słuchajcie! Jak wszyscy razem będziemy się poruszać, to może nas nie zatrzymają.

Wstała. Usłyszała wrzask pana Zetesa i poczuła opór powietrza. Walczyła z tym i wykrzykiwała:

- Odłamek! Niech ktoś dotrze do odłamka!

Zgromadzeni albo próbowali się poruszyć, albo powstrzymać przed tym innych. Bri starała się ruszyć z miejsca. Jej posępna mina zmieniła się w ponure zdecydowanie. Kaitlyn uświadomiła sobie, że Bri w końcu podjęła decyzję, po której stronie chce się opowiedzieć. Frost chciała ją powstrzymać, zablokowała ją niczym rozgrywający w kosza. Renny chciał się ruszyć. Szakal Mac rzucił łańcuchy i zaczął się z nim mocować jak w zwolnionym tempie.

Rob, Anna i Lewis starali się dostać do Gabriela. Ich stopy były jak przyklejone do podłogi, czasem jednak udawało im się zrobić krok. Nawet Tamsin próbowała. Pan Zetes obracał się wśród nich, wymachując laską i wrzeszcząc. Nie mógł sobie poradzić z nimi wszystkimi naraz.

I wtedy Kaitlyn zobaczyła, że Lidii nikt nie trzyma. Przemieszczała się - wolno, lecz zdecydowanie - w stronę Gabriela i odłamka.

- Joyce! - ryknął pan Zetes. - Zatrzymaj ją! Jest koło ciebie! Powstrzymaj ją!

Lecz Joyce pokręciła głową.

- Już pora z tym skończyć, Emmanuelu - powiedziała.

Natychmiast ją i Lidię uwięziło lepkie powietrze. Lidia nadal walczyła ze wszystkich sił.

- Trzymajcie ich! - zawołał pan Zetes i zaczął okładać Sashę i Parte Kinga laską. - Trzymajcie ich! Trzymajcie ich wszystkich!

Kaitlyn usłyszała okrutny świst laski, a potem głuchy odgłos uderzeń. Zobaczyła, że twarz Gabriela się ściera z wysiłku. Odłamek zadygotał i przysunął się o kolejny centymetr do kryształu.

- Gabrielu! - zawył pan Zetes. - Nie zapominaj o swoich ambicjach. Marzyłeś o dojściu na sam szczyt. Chciałeś zdobyć wszystko. Pieniądze, władzę, pozycję: wszystko, co ci się należy od życia.

Gabriel dyszał ciężko, pot spływał mu po skroniach.

- Chciałeś uznania swojej wyższości. Nie uda ci się tego zdobyć beze mnie - ciągnął gorączkowo pan Zetes. - Co będzie z tym wszystkim, Gabrielu? Z tym wszystkim, o czym zawsze marzyłeś?

Gabriel uniósł głowę na tyle, by spojrzeć panu Zetesowi prosto w oczy.

- Do diabła z tym wszystkim.

Po czym zacisnął zęby i jeszcze raz ruszył odłamek. Pan Zetes stracił panowanie nad sobą. Zaczął wrzeszczeć, przenikliwie i przesywająco i znowu zabrał się do okładania Sashy.

- Zatrzymaj go! Zatrzymaj go! Zatrzymaj go!

Głos Sashy również przybrał na sile - po raz pierwszy, odkąd go Kaitlyn zobaczyła.

- Ma-ma! Maaaa! Maaaa! Maaaaamoooo!

Kaitlyn sama zaczęła krzyczeć. Zanosila się mocno, z trudem łapała powietrze.

I nagle opór zniknął. Powietrze znowu było powietrzem. To, co się następnie wydarzyło, trwało tylko mgnienie oka. Umysł Kaitlyn zarejestrował to niczym fotografię. Zapisał, nim zdążył przeanalizować.

Poruszała się bez trudu. Sasha odwrócił się i spojrzał na pana Zetesa. Widziała twarz Sashy, która już nie była biała, lecz czerwona z wściekłości. I nagle pan Zetes poszybował w kierunku kryształu, jakby rzuciła nim jakaś gigantyczna ręka. Zderzył się z jego masą i

ostrymi naroślami. W tym samym momencie Gabriel pchnął odłamek do przodu niczym rapier.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Kaitlyn zdążyła tylko wysłać jedną myśl do swoich przyjaciół, gdy patrzyła, jak odłamek zbliża się do kryształu. Gabriel nadal go trzymał w dłoni...

Ochrońcie Gabriela! Otoczcie go swoimi myślami...

Słowa może nie były do końca czytelne, lecz jej intencja tak. Poczuli, jak wszyscy, Rob, Lewis i Anna, łączą z nią siły, by stworzyć barierę dokoła umysłu Gabriela i ochronić go przed destrukcją.

Zawodzenie pana Zetesa rozległo się dokładnie w chwili, gdy odłamek zetknął się z jedną z półprzezroczystych faset kryształu.

A potem...

Rozległy się różne dźwięki przeplecione przez siebie, zakończone wielkim hukiem. Przypominało to rozbijanie szkła. Był tam też dźwięk pędzącego pociągu towarowego. Oraz metaliczny odgłos garnków i patelni spadających jednocześnie na podłogę. Dokładały się do tego łoskot grzmotu oraz pęknięcie lodu na jeziorze. A także wysoki, przenikliwy krzyk mew, a może pana Zetesa?

A przez wszystkie te dźwięki Kaitlyn usłyszała muzykę - coś w rodzaju dźwięków, jakie wydają z siebie czasem śpiewające miedziane rury z wodą.

Było też światło. Takie światło, jakiego się człowiek spodziewa przed pojawieniem się grzyba atomowego. Kaitlyn odruchowo zamknęła oczy i zasłoniła sobie twarz dłonią, lecz ono i tak penetrowało jej powieki.

Były to kolory, na jakie nie przygotowały jej pastele ani buteleczki z farbami. Kobaltowa żółcień o niewyobrażalnej jaskrawości. Purpura w kolorze smoczej krwi, która przechodziła w języki czerwonego jak lava ognia. Ultrafioletowy, srebrzysty błękit. Wybuchaly jak fajerwerki, gromadziły się na krawędziach jej pola widzenia, zachodziły na siebie. Jedna jaskrawa eksplozja następowała po drugiej.

W końcu wszystko ustało. Kaitlyn widziała tylko tęcze powidoki, przepiękne wzory odcisnięte pod jej powiekami.

Bardzo ostrożnie otworzyła oczy i powoli odsunęła rękę od twarzy.

Jej wizję zakłócała kobaltowozielona plama. Ale widziała. Wielki, mleczny kryształ przemienił się w pył. Największe kawałki były wielkości kamyków.

Pan Zetes, który dotykał kryształu w momencie, gdy się rozpadł, również zniknął. Po prostu go nie było. Nie zostało po nim nic poza laską ze złotą główką, która wypadła mu z dłoni.

Sasha i Parte King leżeli bez ruchu. Ich twarze zastygły w wyrazie pustego oszołomienia. Może nie malował się na nich spokój, ale nie była to też udręka. Kaitlyn zrobiło się przykro, że nazwała ich ludzkimi poczwarkami. Ostatecznie byli istotami ludzkimi.

Wszyscy inni stali mniej więcej tam, gdzie przed wybuchem. Rozglądali się teraz dokoła.

- Już po wszystkim - wyszeptał w końcu Lewis. - Udało się. Już po wszystkim.

Do Kaitlyn też to z wolna docierało. Bri i Renny patrzyli jak lunatycy po przebudzeniu. Uwolnieni w końcu spod działania kryształu, pomyślała Kait. Spojrzała na Gabriela. Wpatrywał się w swoją rękę, tę, w której trzymał odłamek. Dłoń była zaróżowiona, jakby doznał lekkiego oparzenia.

- Odłamek też zniknął? - zapytała Kaitlyn.

Zwrócił na nią swoje szare oczy, zaskoczony dźwiękiem jej głosu. A potem znowu spojrzął na swoją dłoń.

- Owszem - odpowiedział i zamrugał. - Razem z kryształem. To było jak... Nie umiem tego wyjaśnić. Jakbym trzymał w ręce błyskawicę. Czułem przepływającą przez niego moc. To była moc... Timona. Timona, Mereniang i LeShana, wszystkich naraz. Jakby tu byli i walczyli. - Znowu podniósł wzrok i chyba trochę się zawstydził. - To chyba brzmi jak stek bzdur.

- Nie, wcale nie - odezwał się Rob mocnym głosem. - Ja ci wierzę.

Gabriel spojrzął na niego, zniknęła gdzie przestraszona, zawstydzona mina.

Kaitlyn czuła się tak, jakby w żyłach płynęła jej woda gazowana.

- Udało nam się - powiedziała. Spojrzała na swoich przyjaciół oraz na Lidię i już nie mogła się dłużej powstrzymać. Krzyknęła: - Ludzie, udało nam się!

Potem było jak w nabierającej prędkości kolejce górskiej. Wszyscy chcieli coś powiedzieć, przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Gadali o tym, co się wydarzyło, brali się w ramiona. Kaitlyn potrząsnęła Lidią i pocałowała Gabriela. Rob, który jakimś sposobem pozbył się łańcuchów, wziął do ręki warkocze Anny.

Bri i Renny również wiwatowali. Popychali się i wznosili coraz głośniejsze okrzyki radości. Joyce płakała. Jedną ręką kurczowo trzymała się Kaitlyn i szeptała coś, czego Kait nie słyszała. Lidia była pełnoprawnym członkiem zwycięskiej drużyny. Lewis prawie jej wyrwał rękę z barku.

Lecz trzy osoby nie świętowały. Tamsin klęczała przy dwóch nieżywych chłopcach na podłodze. Jej skośne oczy wypełniły się łzami. Łagodnym gestem zamknęła im oczy.

A Frost i Szakał Mac stali sztywno jak wmurowani, przyglądając się z przerażeniem i wrogością szaleństwu, które się rozgrywało wokół nich. Na ich widok Kaitlyn podeszła do Frost z otwartymi ramionami.

- No, chodź - powiedziała. - Nie ma się co martwić. Jakoś się dogadamy, co?

Nie było to może najgorętsze zaproszenie, ale Kaitlyn uznała, że w tych okolicznościach i tak wykazała się wspaniałomyślnością. Lecz bladoniebieskie oczy Frost tylko błysnęły. A twarz Szakała Maca wykrzywiła się w brzydkim grymasie.

Spojrzeni po sobie, po czym zgodnie ruszyli w stronę drzwi.

Kaitlyn była zbyt zaskoczona, by próbować ich zatrzymać. A gdy już odzyskała panowanie nad sobą, nie była pewna, czy w ogóle tego chce. Wrzaski i wiwaty przycichły. Spojrzała na Roba, który zrobił mały krok w stronę drzwi.

- Myślę, że powinniśmy ich puścić - powiedziała.

Obejrzał się za siebie, po czym wolno kiwnął głową. Gabriel i Lewis też się cofnęli.

Kaitlyn słyszała pośpieszne kroki nad głową, a potem trzaśnięcie drzwi frontowych. Zapadła cisza, w której dało się słyszeć szept Joyce.

- Przepraszam. Tak bardzo za wszystko przepraszam.

Kaitlyn odwróciła się do niej.

Akwamarynowe oczy Joyce były zaczerwienione. Jej twarz błyszczała od łez i potu, a zwykle gładkie jasne włosy były zmierzwione jak pierze. Różowy dres robił wrażenie przemoczonego.

Ona również wyglądała jak lunatyczka, która właśnie przebudziła się ze snu.

- Przepraszam - szeptała. - Za to, co zrobiłam. Za te straszne rzeczy. Ja... Ja...

Kaitlyn spojrzała na nią bezradnie.

- Tamsin! - powiedziała.

Jasna głowa się uniosła. Tamsin zobaczyła Joyce i wstała. Spojrzała dziewczynie prosto w twarz, a potem wzięła ją za łokieć i poprowadziła w stronę drzwi.

- Ogniste kamienie potrafią rzucać potężne zaklęcia. - Kait usłyszała jej przyciszony głos. - Mają ogromną siłę... rekonwalescencja bywa czasem długa...

Kaitlyn ogarnęło zadowolenie. Choć Tamsin wyglądała młodziej od Joyce, miała w sobie jakąś ponadczasową mądrość i zrozumienie. Joyce słuchała jej uważnie. Po chwili obie zniknęły za drzwiami.

Kait odwróciła się i spojrzała na swoich uśmiechniętych przyjaciół.

Dobra robota, powiedział Lewis.

Anna rzuciła: *Mam nadzieję, że dojdzie do siebie.*

Bri i Renny też się uśmiechali. Atmosfera dzikiej radości trochę przycichła, ale nadal kręciło im się wszystkim w głowach.

- Chodźmy na górę - powiedział Rob, biorąc Kaitlyn za rękę.

- No, tak, chyba powinnam się przebrać. - Kaitlyn zerknęła na swój kostium kąpielowy i uśmiechnęła się ironicznie. - Mamy mnóstwo rzeczy do załatwienia. O Boże, policja. Jakoś będziemy musieli to wszystko wytłumaczyć.

- Wolałabym się stąd wydostać, zanim to nastąpi - stwierdziła Bri.

Kaitlyn spojrzała za jej plecy i wyciągnęła drugą, wolną rękę do Gabriela.

- No, chodź... bohaterze. Chciałabym ci powiedzieć, co o tobie myślę.

- Ja też - odrzekł Rob, a jego złociste oczy promieniowały ciepłem.

Gabriel popatrzył na palce Kaitlyn przeplecione z palcami Roba. Uśmiechnął się, lecz Kaitlyn nie czuła już jego szczęścia.

- Cieszę się, że jest bezpieczna, z tobą - zwrócił się do Roba.

Kaitlyn zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. I nagle kolejna porcja wcześniejszej radości gdzieś się ulotniła.

- Proszę, chodź z nami na górę - poprosiła Gabriela. Kiwnął głową i uśmiechnął się uprzejmie, jak ktoś obcy.

Rozdział 16

Już nie jesteś wampirem telepatycznym - powiedział Lewis do Gabriela, gdy dotarli do jadalni. - To znaczy, nikt już nie jest, prawda? Według Bractwa zniszczenie kryształu oznacza twoje uleczenie.

Do Kaitlyn dotarło, że Lewis celowo trajkuje jak najęty, by zapełnić ciszę. Gabriel uśmiechnął się do niego z wdzięcznością, ale Kaitlyn dostrzegła cierpienie w jego szarych oczach.

Ona sama dobrze wiedziała, że powinna iść na górę, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Nigdy by nie pomyślała, że można w tak szokująco krótkim czasie przejść od szczęścia do totalnego smutku.

Była nieszczęśliwa, przerażona i chora z bólu. Jestem rozdarta, pomyślała, stojąc w rozświetlonej słońcem jadalni i trzymając Roba mocno za rękę. Już nigdy nie będę cała; nigdy nie będzie mi dobrze. Boże, błagam, powiedz mi, co mam zrobić.

Wysunęła rękę z dłoni Roba, bo nie była w stanie zamaskować cierpienia, a nie chciała, by to wyczuł.

Anna zarzuciła Kaitlyn kurtkę na ramiona i uściśniła jej rękę. Kaitlyn spojrzała na nią z wdzięcznością, lecz bez słowa.

Rob był trochę skonsternowany.

- Czy... czy ktoś jest ranny? - zapytał, rozglądając się dokoła. - Kaitlyn...?

- Nic mi nie jest. Ale ręka Gabriela...

Gabriel, który właśnie usiadł, poderwał ostro głowę do góry.

- Nic się nie stało. To tylko lekkie oparzenie.

Odruchowo podciągnął rękaw swetra i chciał się podrapać w przedramię, ale teraz szybko go opuścił.

- Pokaż. Nie, powiedziałem, że chcę zobaczyć.

Rob złapał mocno Gabriela za rękę.

- Nie, zostaw. To nie ta ręka!

Ton głosu Gabriela brzmiał niemal tak szorstko, jak za dawnych czasów, ale Kaitlyn wyczuła pod spodem nutę paniki.

- Ale ja coś tu wyczuwam. Przestań się wrywać i siedź spokojnie!

Również w głosie Roba brzmiała irytacja. Na siłę podwinął rękaw i spojrzał na rękę Gabriela.

Blade przedramię było pokryte okropnymi śladami. Zaognionymi ranami rozchylającymi się na brzegach, które nadal krwawiły. Oparzeniami, które zaczynały już nabierać brązowego koloru, ale w środku nadal były pęcherze. Pokrywały rękę Gabriela od nadgarstka do łokcia.

Kaitlyn zrobiło się niedobrze.

- Co się stało? - zapytał bardzo cicho Rob. - Kto ci to zrobił?

Uniósł przejrzyste złociste oczy na Gabriela i czekał na wyjaśnienie.

- Nikt. - Na twarzy Gabriela malował się gniew, ale także ulga. - To się... po prostu stało. Gdy rozsypał się kryształ.

Zapadła cisza. Lewis zmarszczył czoło, a Anna zagryzła kąciki ust. Bri oraz Renny się wycofali, jakby do nich dotarło, że to nie ich sprawa. Rob przyglądał się twardo Gabrielowi.

Kaitlyn próbowała zapanować nad płatkami, które latały jej przed oczami. Miała poczucie, że powinna wiedzieć, co się przydarzyło Gabrielowi. Wiedziała, gdyby tylko nad tym pomyślała.

- No, cóż, rozluźnij się - powiedział w końcu Rob wyważonym głosem. - Zmniejsz ból. I przyspiesz gojenie.

Położył jedną rękę na ramieniu Gabriela powyżej łokcia, a drugą ujął jego dłoń. Kaitlyn widziała, że szuka palcami punktów transferowych. Gabriel siedział postusznie i spokojnie, zupełnie jak nie on.

Rob naciskał kciukiem dłoń Gabriela. Zamknął oczy. Kaitlyn wyczuła, co robi. Wysyłał leczniczą energię do zranionej ręki, pobudzając jednocześnie ciało Gabriela do działania. Złociste iskry wędrowały żyłami chłopaka, złota mgielka otaczała jego przedramię. Kaitlyn czuła ciepło, czuła, jak ból Gabriela słabnie, jak jego mięśnie się rozluźniają.

Razem z tym rozluźnieniem opadły bariery. Kaitlyn to wiedziała. Wiedziała również, że lecznicze zdolności zbliżają Roba do ludzi. Po chwili zorientowała się, że robi Gabrielowi coś jeszcze. Bada jego umysł, rozgląda się za czymś.

Ejże!

Gabriel próbował wyrwać rękę ze stalowego uścisku. Uniósł głowę. Był rozwścieczony. Było już za późno.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie, szare oczy wbite w złociste, jak zawsze gdy ci dwaj się spotykali. Czas zamarł.

A potem mina Roba się zmieniła i się odsunął.

Gabriel złapał chore ramię do siebie. Na jego twarzy malował się wyraz buntu.

- Sam to sobie zrobiłeś - oznajmił beznamiętnie, spokojnie Rob. Nadal patrzył Gabrielowi prosto w oczy. - Żeby... żeby nie stracić kontaktu z Kaitlyn. - Powiedział to takim tonem, jakbym sam nie był do końca pewien ich znaczenia. - Oni jej coś robili i musiałeś rozmawiać z nią z dużej odległości. Ból pomógł ci mówić głośnie.

Gabriel milczał, ale Kaitlyn wiedziała, że to prawda. To przed nią ukrywał, gdy była w pomieszczeniu do całkowitej izolacji. Gdy posłał jej swoje najlepsze wspomnienia. Wyczuwała zmęczenie i coś w rodzaju bólu, ale resztę udało mu się przed nią ukryć.

- Użyłeś czyjś cygara oraz odłamków szkła - ciągnął dalej Rob, z coraz większą pewnością. - A potem drapałeś rany, żeby nie zasnąć.

Tak, pomyślała Kaitlyn, dołączając do Roba. Wiedziała, że on nie do końca rozumie sytuację, ale jednego był pewien.

- Kochasz ją, prawda? - w końcu z siebie wydusił. Gabriel opuścił wzrok i spojrzał w dywan.

- Tak - odpowiedział.

- Bardziej niż wszystko inne na świecie - dążył Rob. - Dla niej przeszedłbyś po tłuczonym szkłe.

- Owszem, do cholery - mruknął Gabriel. - Zadowolony?

Rob spojrzał na Kaitlyn.

Kręciło się jej w głowie, pragnęła się ruszyć, ale wciąż stała nieruchomo. Tylko jedna myśl wciąż do niej wracała - nie wolno skrzywdzić Roba. Za bardzo go kochała, nie chciała go zranić. Oczy Gabriela wyrażały dokładnie to samo.

Teraz już wiedziała, że można kochać dwie osoby jednocześnie - na różne sposoby. Rob nauczył ją, jak kochać, stopił lód wokół jej serca. Było to silne i pewne uczucie, pełne podziwu oraz zażyłości wynikającej z dzielenia tych samych sympatii i antypatii.

I nawet jeśli nie było w nim namiętności, jaka łączyła ją z Gabrielem, nie chciała, by Rob się o tym kiedykolwiek dowiedział.

Ale gdy na nią spojrzał, zrozumiała, że jej bariera ochronna legła w gruzach. Przez dwa dni nie zmrużyła oka i przez cały ten czas była w szponach agonii i przerażenia. Nie miała siły dalej się zasłaniać.

Widział wszystko na wylot. Rob wiedział.

- Ja nie... Nie czułam w ten sposób... aż do... Tyle się wydarzyło... - zawahała się Kaitlyn. Teraz najważniejsze było dobro Roba. Jej miłość do niego się zmieniła, ale nie potrafiła tego wytłumaczyć. - To pewnie tylko... Przejdzie mi. Niedługo...

- Nie, nie przejdzie, nie to - powiedział Rob. - Ani tobie nie przejdzie, ani jemu. A przynajmniej taką mam nadzieję. - Mówił bez ładu i składu. Co chwila przełykał ślinę. Parł jednak zawzięcie do przodu. - Kait, kocham cię. Wiesz, że tak jest. Ale z tym nie mogę rywalizować. - Cofnął się o krok. - Nie jestem ślepy. Jesteście dla siebie stworzeni.

Jest taki... zmartwiony, pomyślała niejasno Kaitlyn. Ale w jego głosie nie ma rozpacz.

I na jej oczach Anna podeszła i położyła mu dłoń na plecach. Kaitlyn spojrzała na nią ponad ramieniem Roba.

Anna uśmiechnęła się niepewnie. Jej ciemne oczy były pełne łez, błyszczały jednak wewnętrznym blaskiem.

I nagle Kaitlyn wypełniła lekkość. Jakby ktoś zdjął z jej piersi ogromny ciężar. Popatrzyła na Annę. Rob odruchowo oparł się o jej ramię.

Właśnie doświadczyłam prekognicji. Przesłała Annie falę miłości i radości. Będziecie razem bardzo szczęśliwi. Twoja najlepsza przyjaciółka trzyma za was kciuki.

Anna się rozpromieniła.

Pozwalasz mi?

Rozkazuję!

Lewis parsknął śmiechem, po czym powiedział :

- Czy ktoś coś mówił o remanentach? I może byśmy coś zjedli?

Bri, Renny i Lidia potraktowali to jak sygnał i pomaszrowali za nim do kuchni. Anna pociągnęła Roba za rękę, łagodnie, żeby również i jego wyprowadzić.

Poszli.

Kaitlyn odwróciła się wolno do Gabriela.

W ostatniej chwili do niej dotarło, że nikt nie zapytał jego o zdanie. Może, nawet jeśli ją kocha, wolałby się tego uczucia pozbyć? Może wcale jej już nie chce - teraz, gdy wszyscy się w to wmieszali?

Lecz Gabriel patrzył na nią. Widziała jego oczy.

Znała te oczy, gdy były pociemniałe od gniewu i zimne jak lód, i gdy przesłaniała je pajęczyna mrozu. Nigdy jednak nie widziała ich takich, jak teraz. Pełnych radości i niedowierzania.

Gabriel próbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. Patrzył na nią tak, jakby szukał jej całe lata i teraz niespodziewanie ją znalazł. Jakby chciał tylko na nią patrzeć i patrzeć.

Kaitlyn przypomniała sobie wszystko, co jej dał, słoneczne popołudnia, chłodne, kojące fale oceanu i muzykę, którą sam napisał. Dał jej wszystko, co było w nim najlepsze, wszystko, co się na niego składało.

Ona również chciała mu tyle dać.

Sam nie wiem, jak możesz mnie kochać. Słowa były ciche. *Przecież widziałaś, jaki jestem.*

Właśnie dlatego cię kocham, odpowiedziała Kaitlyn. *Mam nadzieję, że ty też. I nie przestajesz mnie kochać, gdy zobaczysz, jaka jestem.*

Wiem, jaka jesteś, Kait. Piękna, odważna, waleczna i..., przerwał, bo gardło mu się ścisnęło. *Dla ciebie chcę być lepszy. Przepraszam, że jestem takim głupkiem...*

Z odtamkiem w dłoni wyglądałeś jak rycerz. Kaitlyn przysunęła się do niego.

Naprawdę? - zaśmiał się niepewnie.

Mój rycerz. Jeszcze ci nie podziękowałam.

Teraz prawie go dotykała. Spojrzała mu prosto w oczy. Wyczuwała w nim coś, co wcześniej było tylko wrażeniem, gdy dzieliła się z nim energią. Dziecięcą, pełną zachwyty radość. Zaufanie i wrażliwość. I taki ogrom miłości...

I wtedy znalazła się w jego ramionach, i już nie byli oddzielnymi bytami. Ich umysły się połączyły, dzielili te same myśli, dzielili niewyobrażalne szczęście. Dzielili wszystko. Nawet się nie zorientowała, kiedy ją pocałował.

Wydawało się, że minęło dużo czasu, ale słońce nadal mocno świeciło. Kaitlyn położyła głowę na ramieniu Gabriela. Przepełniał ją spokój - spokój, światło i nadzieja. Nawet ziejąca dziura we wszechświecie, która została po LeShanie, wypełniła się światłem. Miała nadzieję, że on wie, co się dzisiaj wydarzyło i jest zadowolony.

- Niech Bóg sprawi, żebym był ciebie godny. W ekspresowym tempie - powiedział Gabriel.

Zabrzmiało to jak polecenie.

Kaitlyn się uśmiechnęła. Gabriel otaczał ją ciasno ramionami. Czuła się cudownie. Zawsze chciała się tak czuć. Lecz już nie byli wyrzuceni za nawias czasu. Usłyszała trzaskanie drzwiami i śmiech.

- Chyba powinniśmy sprawdzić, co się dzieje - stwierdziła.

Bardzo wolno, z oporami, wypuścił ją z objęć i wziął za rękę. Podeszli do schodów. Lidia właśnie schodziła. Bri z Rennym byli zaraz za nią. Musieli już przejrzeć szafy, bo każde dźwigało przynajmniej jedno pudło, torbę lub walizkę.

- Nie do końca wiemy, co nam będzie potrzebne - wyjaśniła Lidia.

Jej zielone oczy zerknęły niemalże nieśmiało zza burzy ciemnych włosów.

- Gdzie? - zapytała Kaitlyn.

- Nie słyszałaś? No tak, pewnie, że nie słyszałaś.

Lidia ruszyła w stronę laboratorium, a Bri i Renny poszli za nią. Kaitlyn z Gabrielem również tam pomaszzerowali.

- Joyce wraca z Tamsin do Bractwa - powiedziała Lidia, stawiając swoje pudło na biurku. - To było ciężkie.

- Z Tamsin?

- Owszem - zgodziła się Bri. - Jedziemy z nimi.

Kaitlyn przyglądała im się uważnie. Renny kiwał głową i co chwila poprawiał okulary.

- Tamsin mówi, że to pomoże Joyce dojść do siebie po długotrwałym kontakcie z kryształem - wyjaśniła Lidia. - Bri i Renny też. O, proszę, tam są.

Z kuchni właśnie wyszły Joyce i Tamsin. Włosy Joyce były znowu przygładzone, a jej wargi przestały drżeć. Spijała każde słowo z warg Tamsin.

- Wszyscy są tam mile widziani - mówiła Tamsin. - Pomożemy dzieciakom rozwinąć i nauczymy je kontrolować swoje moce. Nawet Lidii...

- Ja nie mam żadnych mocy - mruknęła Lidia. Tamsin uśmiechnęła się do niej.

- Należysz do starej rasy. Zobaczymy.

Kaitlyn zauważyła, że światło się zmieniło. To Rob stanął w drzwiach do kuchni. Zaraz za nim byli Lewis i Anna. Anna była bliżej.

Rob posłał jej uśmiech, prawdziwy uśmiech, pełen zadowolenia i optymizmu.

- Tamsin opowiedziała nam o nowej wyspie - powiedział. - Nie jest tam łatwo, ale pracują nad wszystkim. Ciężko im było bez Mereniang, a teraz, gdy zmarł LeShan... - Pokręcił głową, ale oczy mu błyszczały, jakby zobaczył przed sobą nowe wyzwanie.

- Rob! Chcesz powiedzieć... Ty też tam jedziesz?

- No, cóż, zastanawiam się nad tym. Pewnie przyda im się pomoc.

- I przywódca - dodała cicho Tamsin. - Innowacje, nowe pomysły... Dla nas to niełatwe.

Rob kiwnął głową.

- Pomogliście nam, a teraz nasza kolej. Sprawiedliwa wymiana.

I wielkie wyzwanie, za jakim Rob się rozglądał. Kaitlyn zakręciło się w głowie. Nie będzie to zbawianie świata, ale jego ulepszanie.

Nie bardzo wiedziała, co na to powiedzieć. Przypomniała sobie Kanadę, piękno lasów, bezkresne niebo. Nieokiełznany błękit oceanu.

- Oczywiście, kto chce, może tu zostać - stwierdziła szybko Joyce. - Instytut zostanie zamknięty na dobre, ale myślę, że mogłabym wam załatwić jakieś stypendia. Pan Zetes miał odłożone pieniądze; na prawników.

Tak, to całkiem rozsądne rozwiązanie. Szkoła, a potem studia. Jej ojciec by się ucieszył. A Gabriel jest miastowym chłopakiem. Kaitlyn zacisnęła palce na jego dłoni i poczuła jego myśl.

Moglibyśmy pojechać na małe wakacje, co? - zapytał. Jego szare oczy lśniły.

Poczucie szczęścia zalało Kaitlyn od stóp do głów.

Moglibyśmy, powiedziała do Roba, Anny i Lewisa. Szkołę nadrobimy w przyszłym roku. Zresztą to pewnie będzie bardzo pouczające doświadczenie...

I nie zerwalibyśmy połączenia, zauważył Rob. Wyczuła, że on też się ucieszył. On i Gabriel uśmiechali się do siebie.

Oczywiście nadejdzie dzień, gdy będziemy musieli je zerwać, powiedział szybko Lewis. Przecież nie możemy tak żyć wiecznie.

Pewnie, że nie, zgodziła się Anna, a jej mądre oczy zmrużyły się w kącikach.

Ale na razie..., dodał Lewis.

Na razie..., zgodzili się wszyscy.

Dokoła nich toczyła się rozmowa. Joyce podeszła do drzwi wejściowych i zapytała:

- Co to jest?

Lidia przekopywała się przez swoje pudło.

- Zapomniałam wam pokazać. Patrz, co znalazłam! - powiedziała do Lewisa.

Trzymała w rękach dwa przedmioty: budzik w kształcie krowy oraz jego aparat fotograficzny.

- Ejże, skąd je wzięłaś? To bezcenne rzeczy! - rzucił Lewis i wziął od niej krowę.

- Wiem. Pokaż mi, jak to działa. - Lidia się uśmiechnęła. To był jej nowy, nieśmiały uśmiech. Lewis się rozpromienił.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej ramię, tylko raz.

- Pokażę ci - odparł szelmowsko. - Jak tylko zostaniemy sami.

- Kaitlyn! Rob! - zawołała Joyce od drzwi. W jej głosie brzmiała mieszanina radości i łez. - Ktoś do was przyszedł. Chyba nie powinniście kazać mu czekać!

Poszli wszyscy, Kaitlyn, Gabriel, Rob, Anna, a za nimi Lewis i Lidia oraz Tamsin, Bri i Renny. Kaitlyn dotarła na ganek pierwsza i aż ją wmurowało.

- Och... - zdołała tylko z siebie wyrzucić. - Och, Marisol.

To była Marisol, wychudzona i trochę niepewna, podtrzymywana przez Tony'ego. Była blada, ale burza jej mahoniowych włosów się nie zmieniła. Na jej pełnych wargach tańczył uśmiech.

- Przyszłam zobaczyć się z tymi, którzy mnie wyleczyli - powiedziała. - I całą resztą.

- Wszyscy byli w to zaangażowani - oznajmił z dumą Tony.

Miał dziś na sobie koszulę, zauważyła Kaitlyn. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wygrał milion dolarów.

Kaitlyn uściśkała Marisol, a potem zrobiła miejsce dla Roba. Potem przyszła kolej na Lidię oraz Bri. Obie miały takie miny, jakby się bały, że Marisol się na nie rzuci, ale ona tylko się do nich uśmiechnęła i je uściśkała. Ci, którzy nie mogli dopchać się do Marisol, poklepywali się nawzajem.

A Joyce, która nie spuszczała wzroku z twarzy Marisol, wyglądała tak, jakby jej proces zdrowienia już się rozpoczął.

- Przynieśliśmy też twojego kociaka - powiedział Tony do Anny.

- Czyli wszyscy są w komplecie - oznajmiła Anna i przytuliła kotka do policzka, a potem podsunęła go Robowi.

- No tak! Wszyscy są tutaj! Zaraz, zaraz! - Lewis gdzieś pobiegł i wrócił po chwili. - Stańcie koło drzwi. Niektórzy mogą uklęknąć. A reszta pochyli się do środka! Trochę bardziej się zbliżcie!

Myślę, że już bliżej nie możemy, powiedział Gabriel, a Kaitlyn otoczył bezgłośny śmiech.

- Dobrze, tak trzymać! Uśmiech! - zawołał Lewis i pstryknął zdjęcie.

Koniec ;[